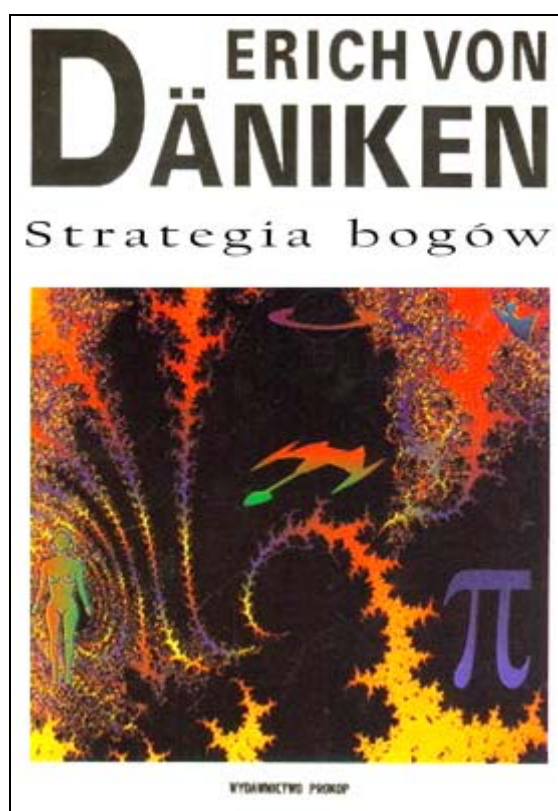


Erich von Däniken

STRATEGIA BOGÓW

Ósmy cud świata

Tytuł oryginału
Strategie der Götter



I. Mityczne czasy

Obawiać trzeba się nie tych, co mają inne zdanie, lecz tych, co mają inne zdanie, lecz są zbyt tchórzliwi, by je wypowiedzieć.

Napoleon Bonaparte (1769-1821)

Rzeczywistość jest bardziej fantastyczna niż najśmielsza fantazja.

Nim ruszę śladem sprzed wielu tysięcy lat, muszę opowiedzieć historię tyleż zdumiewającą co kontrowersyjną; historię, która zdarzyła się w Ameryce w pierwszym trzydziestoleciu minionego wieku - bo właśnie ona naprowadzi nas na ten ślad.

Wśród imigrantów, których wielkie grupy przybywały wówczas do Nowego Świata z Niemiec, Skandynawii, Irlandii i Anglii, znalazła się też rodzina Smithów ze Szkocji. Rodzina ta zamieszkała wraz z ośmiorgiem dzieci w małej miejscowości Palmyra w stanie Nowy Jork.

Tereny te stanowiły granicę cywilizacji - codzienny byt wymagał od mieszkańców niezwykle ciężkiej pracy. Amerykańska wojna o niepodległość (1775-1883) skończyła się wprawdzie już przed półwieczem, lecz ten ogromny kraj był nadal bardzo słabo zaludniony, a osadnicy wciąż musieli walczyć z pierwotnymi mieszkańcami kontynentu, Indianami.

Przybysze z Europy byli pracowici, z dawnej ojczyzny przywieźli ze sobą nie tylko narzędzia i wielki zasób dobrej woli, lecz również różnorodność wyznań, które propagowali z iście misjonarską żarliwością. Najróżniejsze sekty i wspólnoty religijne pleniły się niczym chwasty. Apostołowie zbawienia wszelkiej maści wygłaszali kazania, przeliczyli przeciwników w utarczkach słownych najśmielszymi obietnicami, zdobywali kolejnych wyznawców wizją najstraszniejszych kar rodem nie z tego świata. Kaplice, świątynie i kościoły wyrastały jak grzyby po deszczu - jak gdyby sam diabeł przybył tu, aby posiać zamęt w umysłach osadników.

Pani Smithowa wraz z trojgiem dzieci przyłączyła się - podobnie jak wielu innych imigrantów - do prezbiterianów. Ale dla jej osiemnastoletniego syna Josepha decyzja nie była taka łatwa - rozpaczliwie poszukiwał prawdziwego Boga, ponieważ rozumiał, że każdy z żarliwych głosicieli słowa bożego uznaje tylko własną rację i przekonanie, jakoby tylko on jeden całym swoim jestestwem walczył w imię Chrystusa. Joseph Smith (1805-1844) był nikim - do owej nocy 21 września 1823 roku, kiedy przeżył szczególną wizję.

Wizja Josepha Smitha

Jak w transie modlił się Joseph w swojej sypialni, gdy nagle dziwna światłość rozjaśniła pomieszczenie oślepiającym blaskiem. Ze światła wyszedł bosonogi anioł w białej szacie. Zjawa przedstawiła się przestraszonemu młodzieńcowi jako boski posłaniec Moroni i przekazała zdumiewające informacje:

W kamiennej skrytce, niedaleko domu Smithów, spoczywa w ukryciu księga wyryta na złotych płytach, będąca całościową relacją o dawnych mieszkańcach kontynentu amerykańskiego i o ich pochodzeniu. Obok złotych płyt leży napierśnik, do którego przymocowano dwa kamienie, tak zwane urim i tummim [Urim i tummim - kamienie wróżebne żydowskich kapłanów] - dzięki nim można przetłumaczyć stare pismo. Poza tym w kamiennej skrzyni jest również "boski kompas". Posłaniec znikł po przekazaniu informacji, że to Joseph Smith został wybrany do przetłumaczenia i ogłoszenia fragmentów zapisków.

Ale tylko na chwilę.

Za moment bowiem Moroni pojawił się znowu, powtórzył jeszcze raz sensacyjne informacje dodając do nich przerażające proroctwo, wedle którego w przyszłości nastaną straszliwe spustoszenia oraz klęski głodu.

Nie wiadomo, czy Moroni miał przekazywać wieści partiami, czy był zapominalski. W każdym razie pojawił się tej nocy jeszcze raz, aby do poprzednich posłań dorzucić ostrzeżenie, że Josephowi nie wolno nikomu pokazywać relikwii znajdujących się na wzgórzu Cumorah - zakaz nie dotyczył wszakże paru określonych osób. Jeśli postąpi wbrew zakazowi, zginie.

Co Joseph Smith znalazł na obiecany miejscu

Joseph Smith, niewyspany po niesamowitych nocnych zdarzeniach, przy skromnym śniadaniu opowiedział oczywiście ojcu o szokującym przeżyciu. Podobnie jak pozostali mieszkańcy osady, również Smith-senior był człowiekiem o bardzo bigoteryjnych poglądach, nie miał więc co do tego żadnych wątpliwości, że jego syn otrzymał rozkaz od samego Boga. Nakazał mu więc odszukać miejsce, opisane przez anioła Moroniego.

Oto relacja Josepha Smitha:

"W pobliżu wioski Manchester w hrabstwie Ontario, w stanie Nowy Jork, znajduje się spore wzgórze, najwyższe w okolicy. Na jego zachodnim zboczu, w pobliżu wierzchołka, leżały pod dość dużym kamieniem płyty przechowywane w kamiennej skrzyni. Głaz ten był od góry gruby w środku i obły, ku brzegom cieńszy tak, że środkowa jego część była widoczna spod ziemi, podczas gdy krawędzie przysypane były ziemią.

Usunąłem ziemię, postarałem się o drążek, podesadziłem go pod krawędź i z nieznacznym trudem uniosłem kamień. Spojrzawszy w głąb, rzeczywiście ujrzałem tam płyty oraz Urim i Thummim wraz z napierśnikiem, jak powiedział mi to posłaniec. Skrzynia, w której

spoczywały, utworzona była z kamieni spojonych masą w rodzaju cementu. Na dnie skrzyni leżały w poprzek dwa kamienie, a na nich spoczywały płyty oraz pozostałe przedmioty".

Gdy pobożny ów młodzieniec, ciekawy jak każdy poszukiwacz skarbów, sięgnął odruchowo po przedmioty, poczuł uderzenie. Spróbował powtórnie i znów trafił go paraliżujący cios. Za trzecim razem karą było uderzenie podobne porażeniu prądem - Joseph Smith padł bez czucia na ziemię.

W tym momencie pojawił się obok niego zagadkowy nocny posłaniec Moroni i rozkazał, aby Joseph przychodził tu co roku tego dnia, a kiedy przyjdzie pora, otrzyma święte przedmioty.

Czas nadszedł cztery lata później!

22 września 1827 roku Moroni przekazał Josephowi Smithowi złote płyty, napierśnik oraz lśniące "pomoce w tłumaczeniu" - urim i tummim. Moroni wbił dwudziestodwulatki do głowy, że zostanie pociągnięty do odpowiedzialności, jeżeli przez jego niedbalstwo prastare skarby zaginą.

Nie wiem, jak naprawdę wyglądała cała ta historia.

Mimo wszystko właśnie tak przekazano ją w Księdze Mormona, biblii Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich. Wierzy w nią kilka milionów mormonów, pobożnych i pracowitych ludzi, mających swój ośrodek w Salt Lake City w stanie Utah.

Nie wiem, czy Joseph Smith był religijnym psychopata, czy przebiegłym demagogiem, który wykorzystał panujący wówczas zamęt religijny dla zdobycia zwolenników swojej wiary. A może był po prostu bezinteresownym, uczciwym i szukającym prawdy prorokiem.

Nie wiem również, kto nawiedził młodzieńca w ową noc 21 września 1823 roku i kto przekazał mu cztery lata później ukryty skarb. Czy był to Indianin, wiedzący o istnieniu dziwnych płyt? Czy ukrył je sam, czy zrobił to ktoś z członków jego plemienia? A może ten Indianin nawrócony na wiarę chrześcijańską przez jedną z wielu wspólnot wyznaniowych, zdradził surowo chronioną tajemnicę? A może jakiś biały poszukiwacz skarbów, potrzebujący współnika, wtajemniczył Josepha Smitha w swoje plany? A może młodzieniec sam trafił na skarb i wymyślił historię o objawieniu, aby zwrócić na siebie uwagę otoczenia?

Nie umiem udzielić odpowiedzi na te pytania, jedno tylko wydaje mi się sprawą bezsporną:

Joseph Smith miał złote płyty z wrytym tekstem!

Jedenastu naocznych świadków

Z pomocą "kamieni tłumaczenia", urim i tummim, Joseph Smith przetłumaczył po 21 miesiącach pracy fragment tekstów z płyt, a następnie pokazał go w lipcu 1829 roku - rozumie się, że za zgodą Moroniego! - trzem czcigodnym i uczciwym mężom. Oliver Cowdery, David Whitmer i Martin Harris sporządzili dokument, w którym przysięgli na piśmie, iż widzieli płyty i to, co na nich wryto.

Świadectwo to ma swoją wagę, bo nie wyparł się go żaden z trzech panów, choć odwrócili się od Smitha i założonego przezeń kościoła

"Świętych Dni Ostatnich", a dwaj z nich stali się nawet jego zażartymi przeciwnikami. Żaden nie odwołał przysięgi.

Dwa dni po pokazaniu płyt trzem mężczyznom Smith przedstawił swój skarb wjasny dzień kolejnym świadkom, którzy mogli wziąć księgę do ręki i "przekartkować". Również oni poświadczyli ten fakt pieczęcią i podpisem:

"Wszystkim narodom, pokoleniom i różnojęzycznym ludom, do których dzieło to dotrze, niech będzie wiadomym, że Joseph Smith, Junior, tłumacz tego dzieła, pokazał nam płyty, o których mowa, a które wyglądały na zrobione ze złota, tyle zaś płyt, ile wspomniany Joseph Smith przetłumaczył, dotykaliśmy naszymi rękoma i widzieliśmy wyryte na nich znaki. Wszystko to miało wygląd starożytny i było osobliwej roboty. I z całą trzeźwością umysłu dajemy świadectwo, że wspomniany Joseph Smith pokazał nam te płyty, bo widzieliśmy je i trzymaliśmy je w naszych rękach, i wiemy z całą pewnością, że wspomniany Joseph Smith ma płyty, o których mówimy. I składamy nasze podpisy, aby dać światu świadectwo o tym, co widzieliśmy. I nie plamimy się kłamstwem, czego Bóg jest świadkiem.

Christian Whitmer
Jacob Whitmer
Peter Whitmer, Junior
John Whitmer

Hiram Page
Joseph Smith, Senior
Hyrum Smith
Samuel H. Smith"

Przysięga złożona przez jedenastu w sumie mężczyzn - z których żaden nie należał do kościoła założonego przez Josepha Smitha (byli to raczej walczący obrońcy starej wiary, którzy wezwali na świadka swojego Boga) - ma duże znaczenie, jeżeli weźmie się pod uwagę żarliwą pobożność i fanatyczne przywiązanie, powodowane strachem przed karą Sądu Ostatecznego, jakie osadnicy żywili wówczas do swoich wspólnot i sekt.

Księga Mormona

O tym, że Smith dysponował przez pewien czas płytami z tekstem, można wnioskować nie tylko z wystąpień przysięgłych świadków: mówi o tym również sama treść tłumaczenia! Wyklucza ono bowiem fałszerstwo carkowe - pewne wydaje się natomiast, że mamy do czynienia z fałszerstwem czgściowym.

Smith pisał, że złote płyty księgi są cienkie, że są nieco cieńsze od zwykłej blachy; "strony" były umocowane jak w segregatorze - za pomocą trzech kabłąków. Sama księga miała szerokość około 15 cm, wysokość około 20 cm i około 15 cm grubości. Jedną trzecią metalowych płyt dawało się bez trudu przewracać, pozostałe dwie trzecie natomiast były połączone w blok - "zapieczętowane". Smith sporządził odciski znaków z płyt, znaki te zostały zaklasyfikowane później przez naukowców jako "zreformowane egipskie hieroglify".

Dzisiejsza Księga Mormona Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dni

Ostatnich opiera się na tłumaczeniu zagadkowych płyt dokonany przez Josepha Smitha - uzupełnionym prorocत्वami dotyczącymi Jezusa (na pewno nie było ich w tekście pierwotnym) i jest jakby kontynuacją historii biblijnej, dopasowanej do wiary społeczeństwa amerykańskiego lat pięćdziesiątych minionego stulecia.

Smith wraz ze swoją religią Świętych Dni Ostatnich stał się wkrótce obiektem drwin, a także niechęca amerykańskich fundamentalistów, którzy trzymali się rygorystycznie "dasłownego odczytywania" Biblii i z całą żarliwością atakowali teologię krytyczną i nowoczesną biologię. Fundamentalisci są w USA nadal.

Dla Smitha cała historia zrobiła się niezbyt przyjemna, bo po zakończeniu tłumaczenia anioł Moroni zażądał zwrotu płyt, które miały być ukryte dla przyszłych pokoleń. Paza tłumaczeniem oraz potwierdzonymi przysięgą oświadczeniami jedenastu mężczyzn biedny Joseph nie dysponował więc dowodem na to, że prawie przez dwa lata co dzień miał w ręku złote płyty.

Ale młoda wspólnota mormońska trzymała się dzielnie. Powiększała się mimo ustawicznych prześladowań (dziś liczy 5 mln członków), choć już wtedy dochodziło w jej łonie do konfliktów, które doprowadziły w końcu do aresztowania Josepha i jego brata Hyruma. 27 czerwca 1844 roku motłoch wdarł się do więzienia w Carthage w stanie Illinois i zastrzelił obu braci. Pracowici i bogobojni mormoni mieli więc teraz swoich męczenników. Stanowili ścisłą wspólnotę i w ciągu 140 lat swojego istnienia stworzyli bezprzykładne religijne i świeckie imperium.

Wędrówka z Bliskiego Wschodu na kontynent amerykański

Między minionymi tysiącletkami a dniem przedwczorajszym minionego stulecia trwa nad mglistą otchłanią chybotliwy most, umocowany słabo do brzegów czasu - wiele zbutwiałych desek tego mostu zmusza badaczy, którzy nie chcą utonąć w odmętach terażniejszości, do wykonywania nader ryzykownych ewolucji. Do przerzucenia względnie solidnego mostu między tysiącletkami nadają się szczególnie dwa fragmenty Księgi Mormona: Księga Etera i Nefiego.

Na 24 płytach Księgi Etera zawarto historię ludu Jereda. W tłumaczeniu czytamy, że podobno już podczas budowy wieży Babel, a więc pod koniec trzeciego tysiąclecia prz. Chr., Jeredzi błagali swojego boga o wybawienie z wojennej zawieruchy. Bóg wysłuchał modlitw i poprowadził Jeredów w spektakularny sposób najpierw na pustynię, a potem przeprowadził ich przez ocean na kontynent amerykański. Podróż, opisana po najdrobniejsze szczegóły, trwała 344 dni. Na płytach nie zapisano, w jakim rejonie amerykańskiego wybrzeża zakończyła się wędrówka, ale zajrzyjmy do Księgi Etera:

"I stało się, że gdy zeszli do doliny Nimrod [chodzi o Mezopotamię - przyp. EvD], Pan zstąpił i rozmawiał z bratem Jereda, a był w obłoku, że brat Jereda nie widział Go. [...] I Pan szedł przed nimi i mówił im z obłoku, dokąd mają iść. I gdy wyszli z puszczy, zbudowali barki, którymi przeprowadzili się przez wielkie wody, kiero-

wani bez przerwy ręką Pana. [...] A były one małe i lekkie, że unosiły się na wodzie niczym ptactwo wodne. I zbudowali je w ten sposób, że były dopasowane i jak naczynia nie przepuszczały wody. Ich dno, ściany boczne i sklepienie były szczelne jak w naczyniu. Były one na długość drzewa z zaostrzoną przednią i tylną częścią i miały drzwi, które zamknięte pasowały dokładnie, że barka była szczelna niczym naczynie". (Et. 2:4 nn.)

Po zbudowaniu wedle wskazań "Pana" ośmiu nie mających okien, doskanale szczelnych pojazdów, Jeredzi zauważyli przykry błąd konstrukcyjny: gdy zamknięto drzwi, w łodzi robiło się ciemno choć oko wykol. Nie był to oczywiście błąd, bo "Pan" dał im zaraz 16 świecących "kamieni", po dwa na każdą łódź, "kamienie" zaś przez 344 dni świeciły gasnym światłem. Pierwsza klasa!

Łodzie - załadowane nasionami i drobnymi zwierzętami wszelkiego rodzaju - musiały być w zdumiewający sposób sterowane przy każdej pogodzie. Nawet jeśli tłumaczenie Księgi Etera tylko częściowo odpowiada oryginałowi, to i tak Jeredami kierował fenomenalny "Pan". Człowiek nie może wyjść ze zdumienia:

"Wiele razy pochłaniały ich głębiny morza, gdy burze i gwałtowne wichry piętrzyły nad nimi fale. I gdy pochłaniały ich głębiny morza, woda nie mogła wyrządzić im żadnej szkody, gdyż łodzie ich były szczelne jak naczynia i jak arka Noego. I będąc otoczeni ze wszystkich stron wodą wołali modląc się do Pana, i Pan wyprowadzał ich na powierzchnię morza". (Et. 6:6, 7)

Co to za Bóg zorganizował tę wyprawę?

Najpierw Bóg stworzył człowieka, potem unicestwił w potopie potomstwo jego potomków. Z tymi, którzy przeżyli, zawarł przymierze "po wieczne czasy" (I Mojż. 9,12). Krnąbrni ludzie chcieli być równi Bogu, zbudowali więc w Babilonie potężną wieżę. Rozgniewany Bóg rozproszył ich "po całej powierzchni ziemi" (I Mojż. 11,1 nn.). Wśród wypędzonych byli Jeredzi, którzy w stateczkach lekkich niczym ptactwo wodne, do tego zaopatrzonych w dziwne źródła światła, zostali skierawani do Ameryki.

Ale dlaczego Bóg, który chciał dać jakiejś grupie ludzi szansę przeżycia, męczył ich budową ośmiu stateczków? Czy nie mógł ich wyeksponować na odległy kontynent mocą swojej cudownej siły?

Czy Bóg ten nie potrafił czy nie chciał przewieźć Jeredów przez ocean drogą powietrzną? Bo o tym, że chciał przetransportować ich przez Wielką Wodę, świadczą fakty. Czy potrafił dać tylko techniczne wskazówki do wybudowania stateczków? Czy zapomniał, że w ich wnętrzu będzie ciemno jak w nocy, a dopiero potem skorygował swój błąd, dając podróżnym świecące kamienie? Nawet jeśli nie miał ochoty czynić cudu, nawet jeśli zmusił ludzi do ciężkiej pracy, pozostaje zagadką, dlaczego nie podrzucił Jeredom projektu statku pełnomorskiego, którym dało by się wygodnie przepłynąć Atlantyck. A skoro już płynęli w takich skorupkach, to dlaczego potężny Bóg, Pan wiatrów i chmur, nie postarał się o lepszą pogodę dla swoich owieczek?

To irytujące, że ów ponadczasowy i wszechwiedzący Bóg znał przyszłość tak powierzchownie. Czy nie przeczuwał, że w tysiące lat po podróży przez ocean przekaz da powody do wątpienia w jego wszechmoc? Czy prowokował pytanie: dlaczego zastosowano środki techniczne, dlaczego nie stał się cud? Postąpiłby znacznie rozsądniej stosując nie dające się wyjaśnić cudowne zjawisko. Cuda nie poddają się kalkulacjom krytycznego rozumu.

W końcu Jeredzi dotarli do Ameryki pod pokładami rachitycznych łódeczek. Czy jednak kierujący całą operacją "Bóg" nve dysponował dostatecznymi środkami technicznymi do przetransportowania swoich podopiecznych przez Wielką Wodę w mniej niebezpieczny sposób? Co to za "Bóg" zajmował się tymi sprawami przed 5000 lat?

Literatura mrocznej prehistorii jest w istocie mityczna. Nic nie wiadomo na pewno. Bezgranicznie głupiej ludzkości zawsze udawało się zniszczyć przekazy z minionych epok. Liczącą 50000 woluminów wielką bibliotekę w Pergamonie w Azji Mniejszej obrócono w perzynę. Zniszczono wspaniałe biblioteki w starej Jerozolimie i w Aleksandrii, płomienie pochłoneły przeogromne księgozbiory Majów i Azteków. Ludzie zawsze niszczyli zbiory wiedzy przeszłości - ale na szczęście nie dość skrupulatnie. Istnieją jeszcze fragmenty tysiącletnich przekazów, z których można z trudem ułożyć puzzle, ukazujące wizerunki działających niegdyś "bogów". Szczątki tekstów nie pozwalają wysnuć wniosku co do wieku przekazów. Kronikarze zapisywali bezkrytycznie wszystko, co było im dane przeżyć i o czym dowiedzieli się ze słyszenia. Bardzo stare, po prostu stare oraz "nowe" historie splatały ię w barwne opowieści. Epoki mieszały się jak w mikserze. Lata zataczały kręgi, grupując się z biegiem stuleci wokół jednego punktu.

Nie pozostaje nam więc dziś nic innego, jak zerwać kolejne warstwy z tej "cebuli" - odsłonić wnętrze, istotę rzeczy. To, na co natrafimy w "sarnym sednie", nie jest wcale "cudowne", niewyjaśnialne, nie odwołuje się do wiary, lecz jest sprawą rozumu - da się więc zanalizować i wyjaśnić. Idąc od sedna przekazów - po usunięciu naleciałości - można odnaleźć ślady, pozostawione dla ciekawych świata ludzi dalekiej przyszłości. Przyszłość ta właśnie się zaczęła!

Księga na kamieniu szafiru

W Legendach Żydów zpradawnych czasów można przeczytać, że anioł Raziel "z rozkazu Najwyższego" przyniósł Adamowi po jego wypędzeniu z raju księgę, której tekst wyryto jasno i wyraźnie "na kamieniu szafiru". Anioł poinformował Adama, że może się kształcić z tej księgi. Ojciec rodzaju ludzkiego pojął, że książka jest niezwykle cenna, chował ją zatem po każdej lekturze do jaskini.

Z księgi Adam dowiedział się...

"[...] wszystkiego o swoich członkach i żyłach, i o wszystkim, co dzieje się w środku jego ciała, o jego celach i przyczynach".

Nauczył się też rozumieć bieg planet. Z pomocą księgi mógł:

"[...] badać orbity Księżyca i Aldebarana, Oriona i Syriusza. Potrafił wymienić nazwę każdego nieba i wiedział, na czym polegajego istota.

[...] Wiedział co to huk grzmotu, co to błyskawica, umiał też powiedzieć, co zdarzy się od pełni do pełni".

"Księga" na szafirze zawierająca wskazówki z dziedziny anatomii i astronomii? Prezent Raziela dla Adama był równie zaskakujący jak anioła Moroniego dla Josepha Smitha!

Dla kronikarzy z zamierzchłej przeszłości było to coś w rodzaju "kaczki dziennikarskiej". "Księga" na szafirze? Kompletna bzdura!

My, mądre dzieci epoki komputerów, wiemy, że to, co niegdyś było nie do pomyślenia, dziś jest możliwe do zrealizowania z technicznego punktu widzenia. Każdy wie, że w technice półprzewodnikowej "ryje się" płytki krzemu, aby zmagazynować na nich miliony informacji. Patrząc z perspektywy dnia dzisiejszego nasuwa się pytanie: czy zapis tekstu na szafirze był efektem technologii wyprzedzającej daleko naszą?

Legendy Żydów z pradawnych czasów mówią, że Adam miał przekazać drogocenną księgę synowi Setowi, który z kolei pozostawił ją swoim potomkom, od Henocha, Noego, Abrahama, Mojżesza, Aarona - same tęgie głowy! - aż po Salomona (ok. 965-926 prz. Chr.), króla Judy i Izraela, który zdobył swoją olbrzymią wiedzę dzięki szafirowi.

Wedle Legend Żydów z pradawnych czasów apokryficzna Księga Henocha ma być częścią "szafirowej księgi" Adama. Henoch, siódmy z dziesięciu praojców, pozostawał oczywiście w bezpośrednim kontakcie z Bogiem, rozmawiał ze "strażnikami nieba" i "upadłymi aniołami". Mając 365 lat został - wcale nie umarł - w spektakularny sposób "usunięty" do nieba. Najstarsze żydowskie legendy podają dalej, że Henoch zdobył swoją obszerną wiedzę za pośrednictwem "szafirowej księgi" Adama i gromadził wokół siebie ludzi, by ich nauczać, objawiając mądrości z niej pochodzące:

"Gdy zatem ludzie siedzieli wokół Henocha, a Henoch powiedział do nich, wzniesli oczy i ujrzeli zstępujący z nieba kształt rumaka, a rumak ten burzą spadał na ziemię. Wówczas powiedzieli o tym ludzie Henochowi, a Henoch odparł im: Dla mnie zstąpił ów rumak. Czas nadszedł oraz dzień, gdy od was odejdę i odtąd nigdy was już nie ujrzę. A rumak już był i stał przed Henochem, a wszyscy, co byli z Henochem, widzieli to wyraźnie".

Starożydowski przekaz mówi dalej, iż wierni wcale nie chcieli opuszczać Henocha w pądróży do nieba, że podążali za nim, choć on prosił ich po siedmiokroć, aby go zostawili, że napominał ich stanowczo, aby zawrócili, gdyż inaczej umrą. Podobno po każdym takim ostrzeżeniu pewna grupa ludzi odchodziła do domów, lecz najwytrwalsi zostawali przy Henochu. Wierność, przywiązanie, ciekawość? W końcu Henoch dał za wygraną, choć był zły:

"Ponieważ uparli się, że z nim pójdą, on przestał do nich mówić, a oni poszli za nim i już nie zawrócili. W siódmy dzień zaś zdarzyło się, że Henoch w burzy wjechał do nieba na ognistym wozie ciągniętym przez ogniste rumaki".

W jak "nieboski" sposób odbywał się start Henocha ku niebu, opisują starożydowskie przekazy. Gdy nastał spokój, ludzie, którzy zawrócili, odnaleźli swoich towarzyszy do ostatniej chwili depczących Henochowi po piętach: gorliwcy leżeli martwi na stanowisku startowym - najmocniej przepraszam! - na miejscu, z którego wznosił się Henoch z pomocą

rumaków ognistych.

Wielkie czasy bogów

Mityczne czasy między pojawieniem się Adama w scenariuszu historii ludzkości a budową wieży Babel były pierwszym okresem działalności bogów, latających rumaków plujących ogniem, zagadkowych śmierci i zdumiewających narodzin.

Historia ta sięga bardzo daleko w przeszłość, choć poznaliśmy ją dopiero w 1947 r. Wtedy to bowiem natrafiono w Qumran na sensacyjne znaleziska: w miejscowych grotach odkryto w glinianych pojemnikach rękopisy z II w. prz. Chr.

Jeden z nich mówi o Lameku, praojcu koczowników i muzyków, a zarazem ojcu Noego.

Lamek jest kontent zapewne jeszcze i dziś, że intymne historie rodzinne nie wyszły na jaw za jego życia - bo są równie nieprzyjemne, co zdumiewające. Małżonka Lameka, Bat-Enosz, wydała na świat dziecko, mimo że Lamek nie wszedł z nią do łoża. Dopiero później dowiedział się od swojego dziadka Henocha, że nasienie w łono jego małżonki włożyli "strażnicy nieba". Lamek okazał się wielkoduszny i uznał dziecko za swoje. Na prośbę "strażników", spółdzone w tak dziwny sposób dziecko nazwano Noe. Noe zdobył światową sławę jako człowiek, który przeżył potop.

Jakby nie dość było tych kłopotów, nie udało się też utrzymać w tajemnicy narodzin w żadnym razie nie w naturalny sposób spółdzonego dziecka syna Lameka, Nira. Żoną Nira była Sopranima, osoba - jak twierdzi rodzina - bezpłodna. Wielokrotne próby Nira zapłodnienia Sopranimy spełzyły na niczym. Dla kapłana Najwyższego, jakim był Nir, podziwianego za mądrość przez prostych ludzi, niesłychaną hańbą stała się wiadomość o ciąży małżonki. Wstrząśnięty i rozgniewany w najwyższym stopniu, Nir zelżył Sopranimę w tak okropny sposób, iż padła trupem, z jej łona jednak wyszedł chłopczyk o wzroście trzylatka. Nir zawołał wtedy swojego brata Noego. Obaj pochowali Sopranimę i dali chłopcu imię Melchisedek. Melchisedek stał się znany jako legendarny król-kapłan Salemu, późniejszego Jeru-Salemu.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że w przypadku Melchisedeka chodziło o "niebiańskie narodziny". Zanim Pan otworzył hydranty zapoczątkowując potop, z nieba zstąpił archanioł Michał i oznajmił przybranemu ojcu Nirowi, iż to "Pan" zasadził Melchisedeka w łonie Sopranimy. Dlatego właśnie - zrozumiałe! - "Pan" przysłał archanioła Michała z rozkazem zabrania Melchisedeka do raj, aby tam przetrwał w zdrowiu rychły potop:

"I wziął Michał chłopca w ową noc, w którą i on zstąpił na ziemię, a wziął go na swe skrzydła i umieścił w raj Adama".

Melchisedek przeżył! Po potopie pojawił się znowu. Píše o tym kronikarz Mojżesz:

"A gdy wracał po zwycięstwie nad Kedorlaomerem i królami, którzy z nim byli, wyszedł mu na spotkanie król Sodomy do doliny Szewe, doliny królewskiej, Melchisedek zaś, król Salemu, wyniósł chleb

i wino. A był on kapłanem Boga Najwyższego. I błogosławił mu, mówiąc: Niech będzie błogosławiony Abram przez Boga Najwyższego, stwórcy nieba i ziemi! I niech będzie błogosławiony Bóg Najwyższy, który wydał nieprzyjaciół twaich w ręce twoje! A Abram dał mu dziesięcinę ze wszystkiego". (I Mojż. 14, 17-20)

Setki znawców i egzegetów Biblii gorączkowały się nad tym fragmentem: "Oczywiste jest, że zdumiewająca postać króla-kapłana Salemu, który zjawia się i znika jak deus ex machina, intrygowała potomnych".

Zdarzyła się tam istotnie rzecz nadzwyczajna. W hierarchii tradycji żydowskiej na czele stał Abraham, pierwszy z patriarchów i założycieli religii. A tu nagle pojawia się prawie nikomu nie znany Melchisedek i błogosławi Abrahama! Ale to jeszcze nie wszystko: patriarcha składa dobrowolnie królowi Salemu "dziesięcinę ze wszystkiego"! Cóż to był za kapłan "Boga Najwyższego"? Istniał tylko jeden Bóg, którego uznawał również Abraham. A może Abraham wiedział o nadzwyczajnych "niebiańskich narodzinach"? Ten Melchisedek pojawia się poza planem - nie daje się umieścić w gotowym schemacie.

Odrzuciwszy naiwną wiarę i odważywszy się na nowoczesne spekulacje, można zagadkę Melchisedeka rozwiązać: Grupa istot pozaziemskich, składająca się z tak zwanych bogów, poczęła Noego i Melchisedeka za pomocą sztucznego zapłodnienia. Prawni ojcowie, Lamek i Nir, uznali ich za swoich synów wbrew własnemu przekonaniu, mieli bowiem jeszcze w pamięci zapewnienia swoich małżonek, Bat-Enosz i Sopranimy, że synowie zostali zasiani w ich łonach przez istoty "niebiańskie". Są to ci sami niebiańscy bogowie, którzy unicestwili potomność, ponieważ eksperyment genetyczny zaczął posuwać się w niewłaściwym kierunku. Przed potopem uchroniono oba "produkty" manipulacji genetycznych: Noe, kapitan arki, stał się patriarchą nowego rodzaju, król-kapłan Melchisedek zaś jego mistrzem.

Fakt, iż Melchisedek żył przed i po potopie, nie powinien nam przeszkadzać. Było to możliwe dzięki zjawisku odkrytemu przez Alberta Einsteina i udowodnionemu eksperymentalnie: jeżeli Melchisedek wsiadł - za sprawą archanioła Michała - do statku kosmicznego, który z wielką szybkością odleciał a następnie powrócił na Ziemię, to po względnie krótkim czasie lotu na Ziemi mogły upłynąć wieki lub tysiąclecia, a załoga statku wcale się przy tym nie postarzała. Melchisedek był nadal młody i gotowy do wypełniania kolejnych zadań.

[O efektach przesunięcia w czasie innych postaci biblijnych pisałem w mojej książce Beweise (Dowody).]

Nie zależy to ani od upływu czasu, ani od imion. "Legendarne" przekazy nie dają się umieścić w czasie. Czy człowiek, który przeżył potop, w istocie nazywał się Noe, jak twierdzi Biblia? A może nazywał się Utnapisztim, jak chce sumerski epos Gilgamesz, powstały około 2000 r. prz. Chr.? A może wcale nie nazywał się Utnapisztim, lecz Mulkuëikai, jak kolumbijscy Indianie Kagaba nazywają swojego proroka, który przeżył potop w czarodziejskim statku? Imiona - dym to i mary. Ważna jest istota przekazu.

Most między tysiącletkami

Czyżbyśmy stracili z oczu Księgę Mormona? Co wspólnego ma anioł Raziel z wniebowstąpieniem Henocha, co wspólnego ma sztuczne poczęcie Noego i Melchisedeka z Księgą Mormona?

W przełożonej przez Smitha Księdze Etera czytamy, że Jeredzi wyruszyli na ośmiu stateczkach na morze w czasach budowy wieży Babel. Jeredzi wywodzą się od Jereda, ten zaś był ojcem Henocha!

"Jered" znaczy tyle co "ten, który zstąpił", zrozumiałe jest więc, że Jeredzi pochodzili z "boskiej linii" i dlatego bogowie skierowali ich po potopie do nowej dziedzicznej krainy. Zespół kosmonautów troszczył się o potomstwo. Wygląda to na nepotyzm.

Przypomnijmy sobie: W Księdze Etera Jeredzi przybywają do nowej ojczyzny na ośmiu pozbawionych okien stateczkach, szczelnych jak naczynia. Podobną podróż opisuje babiloński epos Enuma elisz. Jest tam też mowa o potopie, ale ten, któremu udaje się przeżyć, nazywa się Atra-Hasis. W tym zachowanym we fragmentach utworze bóg Enki przekazuje wybranemu do przeżycia Atra-Hasisowi dokładne wskazania, jak zbudować statek. Na protest Atra-Hasisa, że nie zna się na budowie statków, bóg Enki rysuje na ziemi plan wodnego pojazdu, opatrując go wyjaśnieniami.

Amerykański orientalista Zacharia Sitchin, pierwszy naukowiec, który odważył się na współczesną interpretację tekstów sumerskich, asyryjskich, babilońskich i biblijnych, pisze:

"Enki domagał się, aby Atra-Hasis zbudował statek 'przemysłany', zamykany hermetycznie i uszczelniony 'lepką mazią'. Statek nie mógł mieć pokładu ani żadnego otworu, przez który 'wnikałoby słońce'. Miał być jak 'statek Apsu', sulili - dokładnie to słowo (soleleth) stosuje współczesny język hebrajski na określenie łodzi podwodnej. - Niech to będzie statek MA.GUr.Gur! - powiedział Enki (statek, który może się kołysać i wywracać)".

Dręczące pytania

W 1827 roku w rękach Josepha Smitha znajdowały się niezwykle złote płyty. Biedny imigrant ze Szkocji nie znał ani języka aramejskiego, ani starohebrajskiego, nigdy nie widział sumerskiego pisma klinowego, ba!, w owych czasach nie było na świecie naukowca, który w ogóle mógłby przetłumaczyć sumerskie teksty, ponieważ odkryto je - podobnie jak słynny epos o Gilgameszu - znacznie później: W jaki więc sposób wyjaśnić podobieństwa między Księgą Etera a tekstami odkrytymi później?

Ludzie każdej epoki patrzą na historię przez okulary szlifowane przez naukowców. Okulary z warsztatów nauk ścisłych - matematyki, fizyki, biologii, chemii - wyostrzają obraz. Gdy jednak do godności nauki wyniesiono teologię i psychologię, okulary zaszły mgłą - duecik ten należało pozostawić raczej w sferze ducha. Gdy teolodzy i psychologowie

wrzuca stare teksty do swoich "naukowych" mikserów, to wychodzi z tego co najwyżej mętna wiara. Ten produkt ma być efektem naukowego poznania? Brrr!

W nieco subtelniejszy sposób, w elitarnym języku naukowej nomenklatury, wyznaje się pogląd, że jednak starożytni kronikarze kłamali. Naukowcy zapędzeni w kozi róg są raczej gotowi zaakceptować fakt (na co nie potrafia się zdobyć archeolodzy, etnologzy i prehistorycy), że już przed tysiącami ludzie potrafili budować pełnomorskie statki z prawdziwego zdarzenia... niż uznać obecność "bogów" - nieznanych nauczycieli.

Czy kronikarze, autorzy eposu Enuma elisz, kłamią pisząc, że bóg Enki uczył Atra-Hasisa budowy statków? Dlaczego dopiero za sprawą bogów Noe i Untapisztim wpadli na pomysł zbudowania statków tak szczelnych i solidnych, że pozwoliły im przeżyć? W jakim czarodziejskim warsztacie skonstruowano sztuczne oświetlenie dla floty Jeredów? Jeżeli nie było uczonych, to jak wytłumaczyć "cud" sztucznych zapłodnień, które doprowadziły do narodzin tak wielkich postaci jak Noe i Melchisedek?

Wiem, że Noe nie był pierwowozorem! Najstarszym sumerskim Noem nie był nawet Untapisztim, ale znacznie odeń starszy Ziusudra. Przykład ten dowodnie świadczy o tym, że różni kronikarze: a) czerpali z dawniejszych źródeł oraz b) bohaterom z minionych czasów nadawali imiona typowe dla swojego ludu. Niezależnie jednak od tego, pod jakim imieniem pogromcy potopu wchodzili do legend, zawsze byli boskiego pochodzenia.

Poszlaki pozwalające sformułować list gończy

Kto założywszy czyste, krytyczne okulary przestudiuje zachowane we fragmentach starożytne teksty, znajdzie w nich elementy pozwalające zidentyfikować "bogów".

W przeciwieństwie do Boga panującego w Universum, boskie postacie z legend i mitów wcale nie były wszechmocne. Nie występowały w strojach baśniowych wróżek, które czarodziejską różdżką przenosiły całe grupy ludzi z jednego miejsca w drugie. "Bogowie" latali wprawdzie nad ziemią, w szczególnych przypadkach brali na pokład latających statków pasażerów, ale w swoich pojazdach nie przewozili większych grup ludzi. To jasne: "bogowie" nie mieli dużych statków kosmicznych, ich możliwości techniczne były bardzo ograniczone: Pojazdy te były prawdopodobnie czymś pośrednim między promem kosmicznym a śmigłowcem. To, że w czasach biblijnych taki niewielki lądowik był realny z technicznego punktu widzenia, dowiódł inżynier NASA Joseph Blumrich na podstawie Księgi Ezechiela.

Z wielkiego macierzystego statku kosmicznego, krążącego po orbicie wokółziemskiej - którego nigdy nie ujrzeli mieszkańcy Błękitnej Planety - przybywały na Ziemię mniejsze pojazdy. Tak jak amerykański prom kosmiczny, mieściły one tylko kilka osób. Przed wejściem w atmosferę statek hamował silnikiem strumieniowym. Silnik czerpał energię z reaktora nuklearnego. (Przeciwnicy energii atomowej zaraz

podniosą larum. że na pewno napromieniowywało to załogę statku. Bzdura. Dlaczego marynarze atomowych łodzi podwodnych nie są napromieniowani nawet po dłuższych rejsach?)

Na wysokości 10 km nad Ziemią pojazd się zatrzymywał. Z korpusu wysuwały się dwa lub cztery wirniki nośne. (Wirniki nie mogły się wysuwać, powiedzą sceptycy. Mogły, bo - przykładem niech będzie antena samochodowa! - były składane. A energia? Dostarczał jej oczywiście reaktor atomowy.) Lądownik opuszczał się na Ziemię, mogąc siadać zarówno na równinach, jak i w terenie górzystym. (Utopia? Skąd istoty pozaziemskie znaly gęstość atmosfery ziemskiej? Jak wyglądały wirniki nośne? Stojąc na znacznie wyższym poziomie techniki od mieszkańców Ziemi, zbadały to wszystko krążąc na orbicie wokółziemskiej. Poza tym: śruba okrętowa porusza statek w każdym ośrodku ciekłym - czy będzie to woda słodka, czy słona, olej, czy morze whisky. Konstruktorzy samolotów dawno rozwiązali problem ustawiania aktywnych elementów wirnika nośnego śmigłowca w zależności od ciśnienia atmosferycznego.)

Lądowaniem śmigłowców można by też wytłumaczyć hałas, grzmoty i dudnienia słyszane podczas przybywania "bogów", a opisywane z wyraźnym strachem przez kronikarzy starożytności.

W niewielkich lądownikach nie można było oczywiście przewozić większych grup ludzi. Kiedy jakiś "bóg" najwyższy, niebiański, chciał przetransportować przez ocean swoich pupilów, uczył ich - co zawarto w legendach - jak budować statki.

Jeżeli nie uda się nam już odnaleźć następnych pradawnych tekstów - które bez wątplenia czekają gdzieś na swojego odkrywcę - nie dowiemy się, w jakich legendarnych czasach zdarzyło się to wszystko. Kiedyś na Ziemi działali "bogowie".

Większość entografów jest dziś zdania, że miały miejsce kontakty między Starym a Nowym Światem - przez cieśninę Beringa albo przez Antlantycką, co udowodnił Thar Heyerdahl swoimi wyprawami na tratwie. Podobieństwa między kulturami Ameryki Południowej i Środkowej a Bliskiego Wschodu są bezsporne. Świadczą o tym następujące przykłady:

Pokrewieństwa	
Bliski i Środkowy Wschód	Ameryka Południowa i Środkowa
Dokładne obliczenia kalendarzowe Sumerów, Babilończyków i Egipcjan	Równie dokładne kalendarze Inków i (później) Majów
Umiejętność obróbki i transportu kamiennych megalitycznych gigantów u Sumerów, Babilończyków, Egipcjan i innych ludów	Takimi samymi umiejętnościami technicznymi dysponowały plemiona preinkaskie oraz Inkowie. Ich świadectwa można oglądać w Tiahuanaco, Boliwii i Sacsayhuaman (Peru)
Dolmeny i menhiry w Galilei, Samarii i Judei oraz w prehistorycznej Francji i Anglii	Takie same znaleziska w Kolumbii
Sarkofagi wycinane z jednego olbrzymiego kamienia	To samo
Mumifikacje	To samo
Zorientowane astronomicznie prehistoryczne kręgi i prostokąty kamienne	Takie same znaleziska z okresu prehistorii w Peru i Kolumbii
Potężne, skierowane ku niebu oznaczenia na pustyni w dzisiejszej Arabii Saudyjskiej	To samo w Peru (Nazca, Palpa) i na stromych wybrzeżach Chile
Małżeństwa braci z siostrami u Babilończyków i faraonów egipskich	Kazirodztwo było praktykowane również u Inków dla zachowania "boskiej krwi" boga Słońca
Przekazy o potopie zawierające te same szczegóły (np. kruk i gołąb wypuszczany z arki) u Sumerów, Babilończyków i Żydów	Takie same przekazy u kolumbijskich Indian Kagaba oraz potomków meksykańskich Azteków. Aztecki Noe nazywa się Tapi. Aztecka relacja o potopie jest identyczna z biblijną
Deformacje czaszek niemowląt u Egipcjan	Takie same deformacje u plemion preinkaskich oraz inkaskich

Wizerunki operacji czaszki na żywych ludziach u Babilończyków i Egipcjan	Takie same trepancje u Inków i wszystkich plemion indiańskich
Umiejętności inżynieryjno-techniczne pozwalające na budowę wielkich systemów irygacyjnych u Babilończyków	To samo u Inków i Majów. Ostatnio z powietrza i satelitów stwierdzono istnienie wielkich systemów irygacyjnych Majów
Ozdoby głowy albo korona z piór noszona dla ukazania, że jest się blisko "tego, który lata". Wodzowie egipscy i hetyccy	Takie same zwyczaje u Inków i wszystkich plemion indiańskich
Cześć oddawana "latającemu wężowi" u Babilończyków, Egipcjan, Hetytów i innych ludów Mezopotamii	Budowle Inków i Majów roją się od "latających wężów"
Budowa piramid dla oddania czci bogom i dla zbliżenia się do nich	Strzelające w niebo piramidy schodkowe Majów nie wyglądają wprawdzie tak samo jak nieco mniej strome, wykładane płytami piramidy w okolicach Kairu, lecz przecież i w Egipcie stały piramidy schodkowe - np. w Sakkara. Ogromna piramida w Teotihuacan w Meksyku jest porównywalna z piramidami egipskimi. Mezopotamskie zikkuraty są schodkowymi pierwowzorami piramid
W I Księdze Mojżeszowej napisano: "cała ziemia miała jeden język i jednakowe słowa" (I Mojż. 11,1)	W Popol Vuh, legendzie o stworzeniu Majów-Quiche, w Części II, Rozdział III, napisano: "Jeden był język wszystkich. Nie wzywali drewna ani kamienia [...]", a w Części III, Rozdział V: "Cóż takiego uczyniliśmy? Jesteśmy zgubieni! W czym zostaliśmy oszukani? Jedną była nasza mowa, gdy przybyliśmy tam, do Tulan"

<p>W II Księdze Mojżeszowej Pan mówi do Mojżesza: "Ty zaś podnieś łaskę swoją i wyciągnij rękę swoją nad morze, i rozdziel je, a synowie izraelscy przejdą środkiem morza po suchym gruncie" (II Mojż. 14, 16)</p>	<p>W legendach Cakchiquelów, szczepie plemienia Majów, czytamy: "Wetknijmy ostrza naszych laszek w piach pod morzem i prędko ujarzmimy piachem morze. Pomogą nam nasze czerwone laski, które otrzymaliśmy przed bramami Tuli [...] Gdy dotarliśmy do krańca morza, Balam-Quitze dotknął je swoją łaską, a zaraz otworzyła się droga"</p>
<p>Nieco dalej, również w II Księdze Mojżeszowej, możemy natomiast przeczytać następujący fragment: "A Mojżesz wyciągnął rękę nad morze. Pan zaś sprowadził gwałtowny wiatr wschodni wiejący przez całą noc i cofnął morze, i zamienił w suchy ląd. Wody się rozstały. A synowie izraelscy szli środkiem morza po suchym gruncie, wody zaś były im jakby murem po ich prawej i lewej stronie" (II Mojż. 14, 21-22)</p>	<p>W Popol Vuh, Część III, Rozdział VII, czytamy: "[...] jakby nie było morza, przeszli na tę stronę; po kamieniach przeszli, po kamieniach okrągłych, leżących na piasku. Z tej też przyczyny zostały one nazwane Kamieniami w Szeregu, Wyrwanymi Piaskami, takie imiona im nadali, gdy wędrowali pośród morza, pośród rozstępujących się przed nimi wód"</p>
<p>W I Księdze Mojżeszowej jest taki fragment: "[...] To będzie znakiem przymierza, które ja ustanawiam między mną a między wami i między każdą istotą żyjącą, która jest z wami, po wieczne czasy" (I Mojż. 9, 12) W księdze Daniela znalazły się takie słowa: "Wtedy związano tych mężów w ich płaszczach, tunikach, czapkach i w pozostałych ubraniach i wrzucono do wnętrza rozpalonego pieca ognistego [...] A on odpowiadając rzekł: Oto ja widzę czterech mężów chodzących wolno w środku ognia i nie ma na nich żadnego uszkodzenia, a wygląd czwartej osoby podobny jest do anioła" (Dan. 3, 21 i 25)</p>	<p>W Popol Vuh, Część IV, Rozdział V, napisano: "To będzie pamiątka, którą wam zostawiam. To będzie wasza potęga. Żegnam się pełen smutku - dodał. Wtedy zostawił znak swego istnienia [...]"</p> <p>W Popol Vuh, Część II, Rozdział X, czytamy: "Potem wstąpili w ogień w Domu Ognia, gdzie był tylko ogień, ale nie spłonęli. Palily się tylko węgle i drwa. I tak samo gdy nastał świt, byli cali. Ale pragnieniem [Panów Xibalba] było, aby umarli tam, w tym domu, do którego weszli. Jednakże nie stało się tak i przeraziło to wielce Panów Xibalba"</p>

Byłoby niezwykle korzystne a zarazem godne podziwu, gdyby tę skromną listę zdumiewających podobieństw starożytnych tekstów Starego i Nowego Świata rozbudować w jakiejś pracy doktorskiej do rozmiarów okazałej książki - jeżeli rzeczywiście można mówić o zainteresowaniu rozwiązywaniem zagadek przeszłości.

Thor Heyerdahl zwrócił uwagę świata nauki na inne pokrewieństwa - podobna technika tkania bawełny, rytuał obrzezania, takie same złote wyroby jubilerskie, podobna technika wojenna itd. . Gerd von Hassler, dziennikarz i popularyzator nauki, wykazał dziwne podobieństwo imion bogów i miast na obu kontynentach.

Ostatnie wątpliwości co do importu kultury z rejonu Mezopotamii do Ameryki Południowej i Środkowej rozwiewa Popol Tiuh - w Części IV, Rozdział V i VI czytamy, iż praojcowie przybyli ze Wschodu:

"Takie więc było zniknięcie i koniec Balam-Quitze, Balam-Acaba, Mahucutaha i Iqui-Balama, pierwszych mężów, którzy przybyli stamtąd, zza morza, skąd wstaje słońce. Uplłynęło dużo czasu, odkąd tu przyszli, aż do chwili gdy umarli, będąc już bardzo starymi, wodzowie i ofiarnicy, bo tak ich zwano. [...] przyszli, gdy udali się za morze, aby otrzymać malowidła z Tulan, malowidła, jak nazywano to, na czym przedstawili swe dzieje".

W 1519 roku, kiedy hiszpańscy zdobywcy rozłożyli się obozem przed Tenochtitlan, władca Azteków Montezuma (1466-1520) wygłosił do indiańskich kapłanów i najwyższych dygnitarzy mowę, zaczynającą się tak:

"Tako wam, jako i mnie wiadome jest, iż przodkowie nasi nie pochodzą z tego kraju, w którym żyjemy, lecz pod dowództwem wielkiego księcia przywędrowali z bardzo daleka".

Montezuma był wodzem wykształconym, był uczony wedle stanu współczesnej mu nauki, znał również dobrze przekazy przodków. Wiedział, o czym mówi. Przybycie Hiszpanów pod przywództwem Hernana Cortesa było dlań spełnieniem wiary w powrót boga Quetzalcoatl, nie stawiał więc oporu.

Nieistotne jest wobec tego już pytanie, czy nastąpił wpływ jednej kultury na drugą, należy się raczej odważyć na podjęcie próby znalezienia odpowiedzi, kiedy to nastąpiło i dlaczego.

Kiedy i dlaczego?

Bezczelowe jest zgadywanie, kiedy to się zdarzyło. Mimo dających się datować znalezisk archeologicznych, nieznane są nawet terminy choćby bardzo przybliżone. Aztecy powoływali się na przekazy tak stare, że nie mieli najmniejszego pojęcia o ich początkach. Tak samo było u Majów oraz Inków. To, co dopisywał za każdym razem kolejny pisarz, było mu znane tylko ze słyszenia: "To było w zapisach ojców". Nie podawano źródeł - bardzo naganne. Autorzy kronik nie wiedzieli ani kim byli ci ojcowie, ani kiedy przybyli.

Datowania archeologiczne jednak sięgają coraz dalej w przeszłość. W "Scientific American" słynny badacz historii Majów Norman Hammond opisał pochodzące z 2600 r. prz. Chr. ceramiczne znaleziska

z Jukataniu, półwyspu oddzielającego Zatokę Meksykańską od Morza Karaibskiego. Na podstawie motywów artystycznych przedstawionych na ceramice można doliczyć jeszcze parę preklasycznych okresów w historii Majów. Nowe datowanie wprowadza do sprawy okropny chaos, wedle bowiem dotychczasowej opinii archeologów Stare Imperium Majów liczy się od ok. 600 r. prz. Chr., preklasyczny okres natomiast zaczął się najwcześniej ok. 900 r. prz. Chr. Cóż począć z niepotrzebnymi skorupami, za starymi o 1500 lat jak na obowiązujący schemat? Najchętniej zakopano by je z powrotem i zapomniano, pozostawiając tym samym twarde orzech do zgryzienia przyszłym pokoleniom. Każde nowe datowanie utrudnia rozwiązanie tej łamigłówki, z nadzieją czekamy też na kolejne znaleziska. Ostatnia opinia nauki brzmi: na temat daty legendarnego przybycia przodków Majów nie można powiedzieć nic pewnego ani na podstawie świadectw pisanych, ani archeologicznych. Daty mającą mgliście w mroku historii.

Równie niejasny jest też sposób pokonywania odległości. Wczesną wiosną i zimą można przejść przez pokrytą lodem Cieśninę Beringa - między Przylądkiem Księcia Walii w Ameryce Północnej a Przylądkiem Dieżniewa w Azji. Przez cały rok jednak dryfujące lody i mgły utrudniają tu zarówno żeglugę, jak i przejście suchą nogą. W razie prehistorycznej wędrowki ta niebezpieczna lodowa droga nie wydaje się najlepszym pomysłem. Ale jeśli założymy, że do przepłynięcia Atlantyku stosowano tratwy, kanu albo prymitywne łodzie żaglowe, to musimy przyjąć, że cel podróży był wędrowcom znany.

Doceniam oczywiście odwagę i umiłowanie ryzyka naszych przodków, którzy dopiero co opuścili epokę kamienną. Uważam, że znaleźli się w trudnej sytuacji, potrafili być odważni nawet do szaleństwa, ale na pewno nie mieli skłonności samobójczych. Byli mieszkańcami lądu, obawiali się więc rozszalałego morza, które słabiutkie tratwy łamało jak zapalki. Jeżeli mimo to odważyli się na podjęcie tak niebezpiecznej wyprawy, cel musiał im się po stokroć opłacać. Gdy zaakceptujemy tę możliwość, to jasna będzie przynajmniej odpowiedź na pytanie "dlaczego?": "bogowie" przyrzekli im ziemię obiecaną! Konsekwencją obietnicy jednak była konieczność nauczania ludzi budowy statków, nawigacji etc. Bogowie wskazywali też płynącym kruchymi łupinkami niewielkim grupkom ludzi - bo nie była to wcale "wędrowka ludów" - drogę do celu. Tak, jak zapisano to w przekazach.

Nieokielznany rozum

Pozostaje jeszcze spekulacja, jakie znaczenie dla przemieszczenia niewielkiej liczby ludzi w inne rejony Ziemi miała "boskość". Czy chodziło o przeniesienie pół-boskich potomków na nowe, bezpieczniejsze ziemie dziedziczne? Czy "bogowie" przewidzieli kierunek rozwoju ludzkości, kierunek wykształcania się ludzkiej inteligencji? A może oczekiwali, iż wśród potomków sztucznie spłodzonych patriarchów Noego i Melchisedeka będą naukowcy, którzy odnajdą i zrozumieją "boską" spuściznę? Czy byli pewni, że pozostawione ślady nigdy nie ulegną zniszczeniu?

Istoty żywe podlegają uwarunkowaniom niezależnym od ich woli. Moskity lecą nocą do światła świecy i nie potrafią się od tego powstrzymać. Zeby żyć, człowiek musi jeść i pić, czy mu się to podoba, czy nie. Są to biologiczne funkcje organizmu.

Istota obdarzona inteligencją zadaje pytania, czy tego chce, czy nie. Inteligencja chce wiedzieć: Jak było kiedyś? W jaki sposób staliśmy się tacy, jacy jesteśmy? Od kogo pochodzi myślenie odróżniające Homo sapiens od zwierząt? Seria takich pytań doprowadzi nas niechybnie do "bogów" - czy chcemy tego, czy nie. Rozum jest nieokiełznaną bestią. Wciąż pyta: jak było kiedyś? I stwierdza w końcu, że historia ludzkości pozbawiona "bogów" prowadzi na manowce.

Mity i legendy są świadectwem wielkiego wrażenia, jakie na prehistorycznych ludziach wywarło pojawienie się "bogów". Kronikarze podejmowali wątek przekazu i snuli go dalej. "Boskie" czyny znalazły tam swój wyraz: od pełnego efektów przypominających burzę pojawienia się przybyszów, po wielakrotne instrukcje udzielane Ziemianom. Dysponując "boskimi" możliwościami, nasi przadkowie "przekładali" na arcydzieła architektury to, czego się nauczyli, posługiwali się "ponadczasową" techniką, tworzyli zdumiewające dzieła sztuki. Cywilizacja tak rozwinięta jak nasza powinna się nad tym zastanowić. Tak się sądzi.

Księga Nefiego

O tym, jak rozmyślnie porozmieszczano ślady, przekonuje księga Popol Vuh, należąca do wielkich świadectw jutrzejszej ludzkości. Napisało tam, że boscy słudzy przenieśli przez morze "malowidła z Tulan, malowidła, jak nazywano to, na czym przedstawili swe dzieje". Tak więc stary przekaz Majów-Quiche powołuje się na pisma jeszcze starsze, a część Księgi Mormona stanowią właśnie takie pisma. Z 24 płyt Księgi Mormona - a stanowią one tylko niewielką część całości - Joseph Smith przetłumaczył opis przepłynięcia Atlantyku przez Jeredów.

Zasadniczą część księgi przetłumaczył Joseph Smith z Płyt Nefiego. Kim był Nefi? Był synem żydowskiej rodziny, która ok. 600 r. prz. Chr. - a więc tysiące lat po wyczynie Jeredów - mieszkała w Jerozolimie. Ojcem Nefiego był Lehi, matką - Saria.

W Księdze Mormona Nefi opowiada:

[...] na początku pierwszego roku panowania Sedecjasza, króla Judy, pojawiło się tam wielu proroków głoszących ludziom, że jeśli się nie nawrócą, wielkie miasto Jerozolima ulegnie zagładzie". (1 Ne. 1:4)

Zgadza się. Jeruzalem obrócono w perzynę w 586 r. prz. Chr. Z tej legendarnej epoki znani są Jeremiasz i Ezechiel. Musiały to być czasy szczególne, obaj prorocy bowiem - Jeremiasz i Ezechiel - nieustannie rozmawiali ze swoim "bagiem", który zstępował na ziemię w pojeździe wydzielającym okropny hałas i ogień.

To samo, co spotkało obu proroków, przydarzyło się ojcu Nefiego, Lehiemu:

"I gdy modlił się do Pana, ukazał się słup ognia i zatrzymał na skale przed nim [...] I stało się, że zobaczył Jednego zstępującego z nieba, i Jego blask zaćmiewał blask słońca w południe". (1 Ne. 1:6, 1:9)

Istota z kolumny ognistej rozkazała Lehiemu zawołać Sarię, synów i córki - a więc i Nefiego - oraz przyjaciół rodziny. Grupkę tę wybrano do dalekiej podróży. Pokonawszy parę bardziej i mniej istotnych problemów, wybrańcy pod przywództwem tajemniczego "Pana" zbudowali statek:

"I Pan przemówił do mnie: Zbudujesz statek, jak ci to pokażę, abym mógł przepawić twoich przez te wody". (1 Ne. 17:9)

Ale to jeszcze nie wszystko, bo tajemnicza istota podarowała budowniczym statku "pożywienie dla kosmonautów", którego nie trzeba było przyrządzać ani gotować. Wiedziała nie tylko, że jedzenie potrzebne jest ciału i duszy, lecz również to, że podróżnym niezbędny jest jeszcze jeden przyrząd - kompas!

"I rano, gdy mój ojciec wstał i podszedł do wejścia namiotu, ku swemu ogromnemu zdziwieniu ujrzał na ziemi kulę misternej roboty z wyśmienitego mosiądzu. I w kuli tej umieszczone były dwie strzałki i jedna z nich wskazywała kierunek, w którym mieliśmy podążać na pustyni. [...] I podążaliśmy według wskazań kuli, która prowadziła nas przez żyzne obszary pustyni." (1 Ne. 16:10, 16:16)

Podczas podróży Lehi zmarł. Po nim dowództwo przejął Nefi. Z powodu specjalnych względów, jakimi "Pan" darzył Nefiego, zazdrośni bracia pojмали go i zawiązali. Z niemiłej sytuacji wybawił Nefiego kompas:

"I stało się, że gdy zawiązali mnie tak mocno, że nie mogłem się poruszyć, busola, którą nam Pan dał, przestała działać": (1 Ne. 18:12)

Bunt wygasł, ekspedycja dotarła do kontynentu amerykańskiego razem z metalowymi płytami i kompasem:

"I ja, Nefi, zabrałem także ze sobą wyryte na mosiężnych płytach kroniki i kulę, czyli busolę, którą, jak już pisałem, Pan przygotował dla mojego ojca". (2 Ne. 5:12)

Na podstawie opisów Nefiego mormońscy badacze sądzą, że grupa powędrowała z wybrzeży Morza Czerwonego przez Półwysep Arabski aż na wybrzeża Oceanu Indyjskiego - w okolicy Zatoki Adeńskiej - gdzie zbudowała swój statek, aby przez południowe rejony Oceanu Spokojnego dotrzeć do Ameryki Południowej. J. E. Talmage stwierdził, że było to około 590 r. prz. Chr. - zapamiętajmy sobie dobrze tę datę.

Istnieje zadziwiający dublet: opowieść, którą Joseph Smith przełożył w 1827 roku z metalowych płyt, możemy znaleźć w Popol Vuh. Smith jednak nie mógł znać treści biblii Majów-Quiche, Wolfgang Cerdan przetłumaczył ją bowiem dopiero w latach pięćdziesiątych naszego stulecia!

[Polski przekład Popol Vuh, Księgi rady narodu Quichce ukazał się w 1980 r., jego autorami są Halina Czarnocka i Carlos Marrodan Casas (przyp. tłum.).]

Bezprzykładna budowa

Na kontynent amerykański dotarły niezależnie od siebie dwie grupy przybyszów:

- Jeredzi w hermetycznie zamkniętych stateczkach, w czasie pierwszej "boskiej fali". Były to mityczne czasy, w których kronikarze dokładnie pomieszczyli "szafirową" księgę Adama, wniebowstąpienie Henocha, dzieci z próbówki, czyli Noego i Melchisedeka, oraz "panów" stworzenia, znanych jako Utnapisztim, Ziusudra i wielu, wielu innych;

- Nefici, którzy przybywając ze wschodu dotarli do Ameryki Południowej tysiące lat później, około 590 r. prz. Chr.

Wkrótce po wylądowaniu Nefi kazał wznieść świątynię:

"I ja, Nefi, zbudowałem świątynię na wzór świątyni Salomona, ale bez tak wielu drogocennych rzeczy, gdyż nie znaleźliśmy ich na tej ziemi. Dlatego ta świątynia nie mogła być jak świątynia Salomona, lecz sposób budowy był na wzór świątyni Salomona i jej wykonanie było misterne". (2 Ne. 5:16)

Nie chodzi mi wcale o udowodnienie, które fragmenty Księgi Mormona są prawdziwe. Wiernych Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich ucieszy jednak zapewne fakt, że produktem ubocznym moich badań jest następujący dowód:

Nefi zbudował świątynię "na wzór świątyni Salomona". Jeśli to prawda, to gdzieś w Ameryce Południowej musi stać pomniejszona replika świątyni, którą Salomon rozkazał wznieść w Jerozolimie - struktura architektoniczna z dziedzińcami wewnętrznymi i zewnętrznymi, z miejscem świętym i czterema bramami na cztery strony świata. Świątynia ta powstałaby między VI a V w. prz. Chr.

Poza tym: świątynię Nefiego zbudowano by bez wzorów i zapożyczeń typowych dla architektury Ameryki Południowej. Poszukiwana świątynia byłaby "budowlą znikąd" - nie obciążoną miejscową tradycją.

Trafiłem nie tylko na ślad świątyni, do której pasują te założenia, lecz również na ślad "Pana", który przyprowadził Nefitów do Ameryki Południowej. Czy po przybyciu "bóg" ten istniał nadal, czy rozplynął się niczym duch? Poza tym: gdzie Nefi zwerbował robotników? Do Ameryki Południowej przybył przecież z niewielką grupką ludzi.

Zaraz po przybyciu Nefici zaczęli "uprawiać ziemię i siał nasiona. I zasialiśmy wszystkie nasiona, które zabraliśmy z Jerozolimy [...]" (1 Ne. 18:24).

Następnie zaczęli płodzić potomstwo - wyznawali wielożeństwo (zabronione im przez państwo w 1890 r.). Zakładając, że grupa imigrantów składała się ze 100 kobiet i 100 mężczyzn, a każda kobieta rodziła jedno dziecko rocznie, to społeczeństwo Nefitów miałoby po 15 latach 1500 nowych członków. Pierworodni, mający po 15 lat, a więc dojrzały płciowo, od razu poszli za przykładem dorosłych i walnie przyczynili się do powiększenia grupy. Po 30 latach przynajmniej 5000 Nefitów mogło już chwalić "Pana". Było zatem dość ludzi, aby rozpocząć budowę świątyni, szczególnie gdyby do pracy zgodzili się dołączyć pierwotni mieszkańcy kontynentu. Dość było siły roboczej.

"Pan" był obecny! Zaraz po przybyciu dał Nefiemu zadanie:

"I stało się, że z nakazu Pana sporządziłem płyty z metalu, abym mógł na nich zapisać dzieje mojego ludu". (1 Ne. 19:1)

Minęło 30 lat. "Pan" przywiązywał wagę do konsekwentnie prowadzonego "dziennika pokładowego". Znowu nakazał Nefiemu:

"I upłynęło trzydzieści lat od czasu, gdy opuściliśmy Jerozolimę. [...]

I stało się, że Pan Bóg powiedział mi: Przygotuj inne płyty i dla pożytku twojego ludu zapisz na nich wiele z tego, co jest dobre w Moich oczach". (2 Ne. 5 : 28, 5 : 30)

Czy "Pan" był zarozumiały? Dlaczego chciał, aby zapisywano rzeczy, które były "dobre w Jego oczach"? Bezustannie żąda, aby jego złote słowa ryto na metalowych płytach, uważa, że są niezwykle ważne dla przyszłości - inaczej pozwoliliby zapisywać je na materiałach palnych, jak papirus, skóra czy drewno. Sprytny "Pan" troszczył się o trwałość swoich przekazów - adresowanych do inteligentnych istot przyszłości.

Trudne pytania: Czy w Ameryce Południowej znajduje się świątynia zbudowana na wzór świątyni Salomona? Czy można tam znaleźć dowody na działalność bogów?

Zapraszam do jej zwiedzenia.

II. Na początku wszystko było inne

Zwrócić na coś uwagę większości
znaczy: pomóc zdrowemu rozsądkowi
wpaść na właściwy ślad.
Gotthold Ephraim Lessing (1729-1781)

Lało jak z cebra w ów dzień kwietniowy 1980 roku, gdy przed naszymi drzwiami stanęło dwóch przemokłych do suchej nitki mormońskich misjonarzy. Starszy, mający około 30 lat, był Amerykaninem i nazywał się Charly; młodszy, Paul, mieszkał w Bernie. Posłańcy Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich podarowali mi niemiecki przekład Księgi Mormona, siedem innych wersji językowych stało już w mojej bibliotece. Zaprosiłem misjonarzy do domu, aby rozgrzali się przy filiżance kawy.

Paul zapytał, co sędzę o Księdze Mormona. Powiedziałem, że - moim zdaniem - treść Płyt Etera i Nefiego jest bardzo interesująca i zawiera wiele informacji. Stwierdziłem też, że w żadnym razie nie uważam ich za fałszerstwo, choć przyznaję z ubolewaniem, iż do tekstu oryginalnego dodano później różne dość prostackie prorocтва dotyczące Jezusa Chrystusa.

Młodzi nosiciele wiary nie chcieli się z tym zgodzić, bo albo cała Księga Mormona powstała z inspiracji Ducha Świętego, ergo jest prawdziwa, albo całość jest do niczego. Obeznany nieco z tematem, dałem im do zrozumienia, iż czuję zdecydowaną niechęć do takiej dyskusji, co berneńczyk zrozumiał w lot - jakby wbrew powszechnemu

przekonaniu, że mieszkańcy tego miasta nie są zbyt lotni - i powiedział:
- Bez wątplenia zna pan wiele zrujnowanych budowli w Ameryce Południowej. Nie widział pan ruin przypominających jerozolimską świątynię Salomona?

Zgodnie z prawdą powiedziałem, że nic takiego nie przychodzi mi do głowy. Misjonarze pożegnali się, nie podejmując dalszych, beznadziejnych prób nawrócenia mnie. Ten kwietniowy dzień był tak okropny, że na pewno znaleźli kolejną ofiarę swojej żarliwości, jeżeli tylko chcieli zasłużyć się błękitnemu niebu.

Paul zabił mi ćwieka, który co chwila dawał znać o sobie.

Pytanie, czy w Ameryce Południowej jest świątynia wymieniona w Księdze Nefiego, nie było dla mnie mniej ważne niż pytanie, czy istniała świątynia, którą tak wyczerpująco opisał w Starym Testamencie prorok Ezechiel - świątynia w dalekim kraju, na wysokiej górze, zbudowana jak świątynia Salomona. Byłoby nadzwyczaj interesujące, gdyby w Ameryce Południowej istniała świątynia odpowiadająca opisom Ezechiela.

Co wspólnego ma Nefi z Księgi Mormona z biblijnym Ezechielem? Obaj żyli w tych samych czasach, w tym samym rejonie geograficznym. Może nawet się znali. Obaj opisywali latającego boga, który zstępował na ziemię i udzielał ludziom różnych rad. Właśnie na rozkaz tego boga Nefi polecił wzniesć w Ameryce Południowej świątynię, z tym samym bogiem poleciał Ezechiel do dalekiego kraju, gdzie pokazano mu kompleks świątynny na wysokiej górze, zbudowany jak świątynia Salomona. Udowodniono, że Ezechiel mieszkał w Jerozolimie i w Babilonu. Jeśli ktoś pokazał mu świątynię w Ameryce Południowej - a prorok opisał ją z niewiarygodną dokładnością - to ten ktoś musiał go tam zawieźć drogą powietrzną. Nie ma innej możliwości.

Moje poszukiwania świątyni Salomona w Ameryce Południowej były zainspirowane nie tylko lekturą Księgi Mormona, poszukiwałem bowiem także świątyni opisywanej przez Ezechiela oraz śladów "latającego boga", który w maczał w tym palce. Dopiero później pomyślałem sobie, jakie by to było fascynujące, gdyby zetknęły się oba ślady.

Andyjska Jerozolima nazywa się
Chavin de Huantar

W oczach migotały mi fotografie świątyń, zamieszczone w pracach archeologicznych. Znalezienie świątyni właściwej stało się dla mnie ważniejsze niż dla zapalonego flatelisty zdobycie "błękitnego Mauritiusa". Za każdym razem, kiedy zaczynałem dostrzegać podobieństwa, plan jerozolimskiej świątyni Salomona mówił, że mojemu "znalezisku" czegoś brakuje, że jest za młode lub za stare, że nie powstało za czasów Ezechiela i Nefiego. Zgromadziłem 39 bogato ilustrowanych dzieł. W każdym omawiano Chavin de Huantar. Postanowiłem odwiedzić to miejsce, zmierzyć je dokładnie, poznać okolicę.

Rok 1981. Słotna i zimna wiosna w Europie. Gdy w stolicy Peru Limie wynajmowałem radziecki łazik, ładę-niwę, panowała tam jesień.

Wczesnym rankiem, długo przed świtem, ruszyłem asfaltową szosą - Panamericana del Norte - jedną z najwspanialszych tras widokowych świata, przez piaszczyste pustynie wzdłuż wybrzeży w kierunku Trujillo, czwartego co do wielkości miasta Peru. W pobliżu miasteczka Pativilca zjechałem z Panamericany. Droga biegła teraz między plantacjami trzciny cukrowej.

Kiedy w małej placówce celnej uiściłem 250 soles, od strony lady doleciał mnie zapach benzyny. Okazało się, że samochód nie ma korka paliwa. Owinałem kamień plastikową torbą i zatkałem dziurę.

Mniej więcej po 30 km jazdy kamienną pustynią obok groźnych urwisk, droga zaczęła się łagodnie wznosić. Po odgałęzieniu do Pativilca - w dali widać ruiny indiańskiej twierdzy z epoki Chimu - na wysokości 780 m dotarłem do Chasquitambo, wiochy zabitej dechami. W dawnych czasach był to punkt kontrolny inkaskich posłańców-biegaczy. Dziś to miejsce też nadaje się tylko do tego, aby je ominąć.

Ciasnymi serpentynami rozpoczął się podjazd nad rdzawobrazową przełęczą. Po chwili ciężkie chmury deszczowe znalazły się pod nami, zniknęły też ściany mgły, pozwalając ujrzeć dalekie szczyty - jasnobrązowe bądź lśniące czernią.

Z każdym zakrętem wznosiliśmy się coraz wyżej, a moja rozklekotana i kaszląca łada-niwa miała coraz mniejszą ochotę na kontynuowanie podróży. Wspaniały produkt komunizmu nie dawał sobie rady nawet na drugim biegu. Koło Cajacay, na wysokości 2600 m, staruszka wyzionęła ducha. Astma. Silnikowi zabrakło tlenu. Zdjąłem pokrywę filtra powietrza. Wymienny wkład, który zazwyczaj bez trudu przepuszcza powietrze, wyglądał jak gipsowy opatrunek. Wyrzuciłem wszystko, zamknąłem pokrywę, przekręciłem kluczyk i... krnąbrny wehikuł skoczył do przodu jak rasowy koń. Zrozumiał, że muszę dostać się na szczyty.

Towarzysze podróży

Pokonując kolejne zakręty miałem wrażenie, że za następnym ujrzę przełęcz. Żłudna to była nadzieja, bo przede mną wciąż otwierały się nowe doliny. Lepianki na skraju drogi pojawiały się coraz rzadziej. Indianie w kolorowych ponczach, z ciężkimi tobołami na plecach, stawiali powoli krok za krokiem - w niezmiennym, wypróbowanym rytmie. Człowiek dziwi się, w jaki sposób pracownicy autochtoni potrafią przeżyć na tej nieurodzajnej, skalistej ziemi. Jedna trzecia liczącego 14,6 miliona mieszkańców Peru mieszka w wysoko położonych częściach kraju.

Po dotarciu na wysokość 4100 m znalazłem się wreszcie na zimnej, spowitej chmurami przełęczy. W europejskich szerokościach geograficznych byłaby to strefa wiecznych śniegów, ale Peru leży bliżej równika. Tu rosła nawet skąpa trawa i suche krzaki.

Młoda Indianka o ciemnobrązowej cerze - z niemowlęciami w chustce na piersi i ciężkim workiem kartotli na plecach - spojrzała na mnie nieufnie wielkimi, ciemnymi oczami, gdy zapytałem, czy mogę ją podwieźć: tak uprzejmi nieznajomi rzadko pojawiają się pewnie w tej

okolicy. Zdjąłem jej worek i położyłem za siedzenia. Wsiadła i uśmiechnęła się z zażenowaniem, gdy udało się jej wreszcie ogarnąć sześć spódnic, jakie noszą Indianki. Minęliśmy zamrażającą lagunę Conococha, mając przed sobą jezory lodowca wznoszącego się na 6600 m szczytu Cordillera de Huayhuash.

Z milkliwej Indianki wyciągnąłem informację o celu jej podróży - było nim Catac leżące na wysokości 3540 m, w dolinie Rio Santa. Wstrząsnęła mną myśl, że kobieta z dzieckiem i takim ciężarem musiałaby iść 40 km, co zajęłoby jej dwa dni - samochodem dotarlibyśmy tam w ciągu pół godziny. W Catac jest rozgałęzienie drogi prowadzące do Chavin de Huantar.

Na jedynej tu stacji benzynowej "wziąłem na pokład" młodą damę oraz dwóch mężczyzn - ona nazywała się Ruth, czarnobrody mężczyzna - Uri, rudobrody - Isaak. Byli to Izraelczycy, którzy postanowili przez rok wędrować po świecie gdzie oczy poniosą - nie mogli się jednak oderwać od takich obiektów jak Chavin de Huantar. Zapytali, co mnie tu sprowadza. Na początek poprzestałem na mętnych aluzjach do świątyni Salomona i proroka Ezechiela. Nie wiedziałem, czy nie są to przypadkiem ortodoksyjni żydzi, których zaszokuje prawdziwy cel mojej ekspedycji.

- Jest pan Szwajcarem? - zapytał Uri. - To zna pan na pewno książki Ericha von Danikena. Gość głosi idee, co do których nie jestem pewien, czy są szalone, czy może mają ręce i nogi...

Zagryzłem wargi.

W Catac skończył się asfalt, dalej gruntowa droga prowadziła zakolami do malowniczego lodowego górskiego jeziora Quericocha (3980 m n.p.m.). Wzrok przykuwały pokryte śniegiem szczyty Yanamarey (5260 m n.p.m.).

Potem był tunel przy przełęczy Kahuish (4510 m n.p.m.). Słowo "tunel" może wywołać u mieszkańców krajów uprzemysłowionych niewłaściwe skojarzenia, należy więc zwrócić uwagę, że tutejszy był w istocie tylko pośpiesznie wykutym w skale "korytarzem", przez który prowadziła droga z dziurami po kolana. Ze stropu i ścian kapąca woda z lodowca. Świateł i znaków regulujących ruch nie ma oczywiście na tej jednokierunkowej drodze z koszmarne snu. Jeżeli z przeciwnej strony widać zbliżające się w fontannach wody światła jakiegoś pojazdu, to kierowca będący bliżej wyjścia musi wycofać swój samochód. Oczywiście każdy wjeżdża do "tunelu" z nadzieją, że nie natknie się na nikogo jadącego z przeciwka. Ta droga nie zasługuje nawet na jedną gwiazdkę w przewodniku.

O ile wjazd na przełęcz był męczący, o tyle stromy zjazd w dolinę Mosny mógł przyprawić o drżenie kolan i zawrót głowy nawet tak wytrawnego kierowcęjakja. Dróżka, przyklejona do ściany przepaści, wiła się ciasnymi zakrętami niczym wąż bez końca. Marzyłem, żeby nie mieć prawego oka, bo właśnie po tej stronie rozciągała się złowroga przepaść. W okolicach wioski Machac (3180 m n.p.m.) wjechałiśmy w dolinę. Niezmierzone ruiny Chavin de Huantar są tuż przy drodze.

Hotel "Turistas" był wypełniony do ostatniego łóżka - nie przez turystów, lecz archeologów. Zebrała się tu śmietanka przedstawicieli

tego zawodu z Niemiec i Peru. Spośród dostojnej grupy profesorowie Udo Oberem i Hennig Bischof pozdrowili mnie uprzejmie, ich peruwiańscy koledzy natomiast uprzejmie i życzliwie. Dla Niemców jestem wciąż nieobliczalnym laikiem, który nie wiadomo, z czym wyskoczy. Peruwiańczycy traktują mnie inaczej. Kiedy przed kilku laty byłem uroczyście przyjmowany przez członków rady gminy miasta Nazca, burmistrz powiedział w laudatio, że istnieje wiele teorii na temat zagadkowych linii na płaskowyżu Nazca. Trudno dziś rozstrzygnąć, czy były to kalendarze, czy też miejsca startu balonów na gorące powietrze, pozostałości inkaskich dróg czy rysunki kultowe, place gry albo oznaczenia terenowe dla istot pozaziemskich. "Nas, którzy tu żyjemy i pracujemy - powiedział burmistrz Nazca - wcale nie interesuje, który specjalista ma rację. Pewne jest tylko to, że pan Erich von Daniken przysporzył naszemu regionowi największej liczby turystów!" I o to chodzi.

Przy kolacji Izraelczycy zapytali, czy mogą mi jakoś pomóc - w końcu dowiedzieli się, kto ich podwiózł. Z wdzięcznością przyjąłem propozycję, bo przy pomiarach przydałaby mi się scriptgirl.

W zamku, który nigdy nie był zamkiem

Izraelczycy oczekiwali mnie w dobrym nastroju na osłonecznionym wzgórzu przed ruinami. Jakby to było oczywiste, wzięli aparaty fotograficzne i przyrządy pomiarowe. Przez wielką drewnianą bramę weszliśmy w ruiny Chavin de Huantar.

Zachowana część kornpleksu nazywa się El Castillo, zamek - choć nigdy nie była zamkiem. Jest to prostokątny budynek długości 72,9 m i szerokości 70 m. Elewację tworzą wielkie bloki granitu, dopasowane co do milimetra. Ciosy dolne, najstarsze i najbliższe gruntu, zachowały się najlepiej. Im wyżej pochylanego ku środkowi budynku, tym wyraźniejsze są ślady erozji - podobnie jak w świątyni Salomona w Jerozolimie, nad którą przeszło 36 wojen, niszcząc ją 17 razy. I w Chavin, i w Jerozolimie najniższe ciosy były jakby podstawą, na której wznoszono coraz to nowe mury.

Główny portal Castilla jest skierowany na wschód - tam, skąd wstaje słońce - w kierunku Jerozolimy. Dwie kolumny, na których spoczywa monolit długości 9 m - są obłożone kwadratowymi i prostokątnymi płytami granitu. Masywne kolumny - podobnie jak monolit zamykający i płyty osłony - są w całości pokryte reliefami niezrozumiałej treści. Przez wieki wiatry i deszcze zatarły ryty, również ludzie poobijali niestety delikatne cyzelacje. W czasach swojej świetności ta potężna budowla, widziana z bliska, musiała sprawiać wrażenie prawie jednolitego bloku kamienia. El Castillo był zakończeniem, zwieńczeniem kompleksu świątynnego, był miejscem najświętszym, gdzie wstęp mieli tylko najwyżsi kapłani.

Dzisiaj za monumentalnym portalem głównym leży kupa gruzu, porośnięta kępami trawy. Kalka stopni niżej znajduje się plac, zajmujący całą szerokość Castillo - dziedziniec przed miejscem świętym. Schody, oddalone od Castillo o 36 m, biegną na drugi wielki dziedziniec

o wymiarach 70 x 42 m, z którego kolejne schody prowadzą na kwadratowe, tak zwane "zagłębione miejsce" (długość boku 49,7 m).

Na północ i na południe od "zagłębionego miejsca" wznoszą się platformy, których jeszcze nie odkopano, na paru monolitach wystających z ziemi widać jednak rękę ludzką. Całe to miejsce zajmuje powierzchnię około 13 ha, do dziś jednak odsłonięto tylko kompleks świątynny. Wiadomo, że cała ta struktura architektoniczna stała na sztucznie wzniesionych, kamiennych platformach.

Z "zagłębionego miejsca" cztery ciągi schodów biegną na cztery strony świata, co potwierdza kompas. Plateau długości 80 m opada ku Mośnie, płynącej na południowy wschód ad kompleksu świątynnego.

Od zachodniego muru Castillo do rogu południowo-wschodniego budowla ma 228 m. Część, na której rozpoczęto prace wykopaliskowe, ma szerokość 175 m. W wymiarach tych nie mieści się mur, otaczający niegdyś ten obszar. Jego imponujące resztki widać jeszcze po stronie zachodniej.

W każdym razie wznosiła się tu kiedyś potężna, prostokątna budowla o dziedzińcach wewnętrznych i zewnętrznych oraz wznoszącym się - jeszcze dziś - na wysokość 10 m sanktuarium z dziedzińcami wewnętrznymi, przeznaczonymi dla kapłanów, i zewnętrznymi dla ludu. Ciągi schodów i bramy orientują prostokątny budynek zgodnie ze stronami świata, a portal główny jest skierowany na wschód - tak samo jak w jerozolimskiej świątyni Salomana.

Jerozolimska świątynia Salomona nie jest już prostokątna jak kiedyś, jej rzut przypomina obecnie trapez nierównoboczny o długości 315 m na północy, 280 m na południu, 485 m na zachodzie i 470 m na wschodzie.

Pierwotnie świątynia stała jednak na rzucie prostokąta. Za deformacje odpowiedzialny jest król Herod I Wielki, który kazał podwoić jej obszar, a ponieważ brakowało miejsca, zbudowano mury oporowe, na których - wówczas - rozmieszczano kolejne platformy. Ruth, Uri oraz Isaak zdejmowali wymiary z dziedzińców świątynnych, murów i monolitów. Ja fotografowałem wszystko pod wszelkimi możliwymi kątami. Zatkąło mnie, kiedy w przerwie na papierosa Ruth oddała mi mój blok zaciśnięty w klipsie na plastikowym blaciku: profesjonalizm jej pracy rzucił się w oczy! Precyzyjne linie tworzyły doskonały plan sytuacyjny. Szkic budowli obejmował również mury, monolity, stopnie, ciągi schodów i zagłębione miejsca. Na końcach linu niewielkie strzałki wskazywały długość danego odcinka.

Usiedliśmy na skałach, których tu nie brakowało. Zapytałem nowych przyjaciół, kim są z zawodu. Ruth stwierdziła sucho:

- Jestem geodetką, praktycznie na codzień zajmuję się pomiarami gruntów i dróg.

To stąd ta perfekcja! Uri był nauczycielem, Isaak - pilotem. Bogowie podsunęli mi właściwych ludzi! We czwórkę odwaliliśmy robotę, na którą sam strawiłbym wedle prostego rachunku cztery razy więcej czasu.

Potem zabraliśmy się do badania korytarzy i sztolni, rozciągających się niczym sieć pod Chavin de Huantar. Przejście po wschodniej stronie wielkiego placu miało tylko 1,1 m wysokości i 67 cm szerokości, nie można się więc w nim było nawet wyprostować. Kiedyś korytarz był

wyższy, ale 17 stycznia 1945 r. Chavin de Huantar nawiedziła wielka powódź. Po wschodniej stronie kompleksu płynie rzeczka Mosna, po stronie północno-zachodniej - między ruinami a indiańską wioską Chavin - spada w dół potok Huacheqsa, biorący początek w leżącym wysoko w górach jeziorze, przyjmującym wodę z topniejącego lodowca. W grudniu 1944 i w styczniu 1945 roku do jeziora spłynęły znaczne ilości wody, skalne brzegi zbiornika wodnego pękły niczym mury zapory. Potok zamienił się w rozszalałą rzekę i zalał niżej położone części Chavin de Huantar, pokrywając je warstwą czarnobrunatnego szlamu, który dostał się również do podziemnych przejść. Woda spłynęła - żwir, piach i szlam zostały.

Przejście, przez które przedzierałem się przy świetle latarki, było więc niegdyś wyższe albo głębsze - jak kto woli. Tam, gdzie udało mi się dojść korytarzem pod ruinami, ujrzałem pięć sztolni rozgałęziających się na boki - mających po 60 cm wysokości i po 48 cm szerokości. Mogły to być elementy systemu wodociągowego, zwłaszcza że przejście główne biegło w kierunku Mosny.

Po stronie zachodniej jednak korytarz wysokości 1,72 m biegł na południe, nie w kierunku strumienia, a więc w przypadku podziemnej infrastruktury nie może w żadnym razie chodzić o sztolnie, którymi płynęła woda.

Chavin de Huantar było zalewane już w dawnych czasach. W 1919 r. peruwiański archeolog Julio C. Tello prowadził tu wraz z grupą Indian szeroko zakrojone prace wykopaliskowe. Gdy przybył tam po raz wtóry w 1934 roku, okazało się, że wody potoku "zniszczyły część głównego skrzydła". Tello pisze, iż jedna trzecia kompleksu, którą widział nietkniętą, była zniszczona, wiele podziemnych przejść i kanałów zostało zamulonych. W odległości paru kilometrów od świątyni Tello odkrył resztki ceramiki, przedmioty metalowe i kamienne osadzone na rzecznej płyciźnie. Pochodziły one z ruin świątyni.

Kiedy świątynia stała jeszcze nie naruszona w całej swej wspaniałości, górskie potoki nie mogły jej nic uczynić. Spojenia megalitycznych murów były szczelne, abok i pod Chavin de Huantar funkcjonował system kanałów, potoki były uregulowane. Dopiero kiedy zwalone drzewa i monolity zaczęły blokować koryto, dopiero kiedy złodzieje grobów powybijali dziury w murach Castillo, woda mogła zacząć wypróbowywać swoją niszczycielską siłę na budowlach.

Nazajutrz moi Izraelczycy wsiedli do autobusu dla Indian, gdzie ludzie jechali stłoczeni jak śledzie w beczce. Przyrzekłem, że każdemu z nich wyślę po jednej z moich książek w hebrajskim przekładzie z dedykacją. Znaliśmy się tylko dwa dni, ale jadąc łądą-niwą do ruin, aby dokładniej zbadać przejścia w krecim pagórku, dotkliwie odczuwałem brak Ruth i obu brodaczy.

W świecie podziemi - blisko bogów

Po północnej stronie Castillo są dwie sztolnie zamknięte żelaznymi kratami, żeby turyści nie wchodzili na własną rękę do ciemnego labiryntu. Sam stwierdziłem, że to labirynt.

Zaraz za wejściem pierwsza ze sztolni prowadzi do szczególnego miejsca, El Lanzon - słowo to oznacza dzidę albo oszczep. El Lanzon jest umiejscowiony na prostokątnym skrzyżowaniu dwóch korytarzy, mających wprawdzie ponad 3 m wysokości, ale tylko 50 cm szerokości. Monolityczne płyty granitu tworzą sufit - tak masywny, jakby miał przetrwać wieczność.

Przejście to nie byłoby warte wspomnienia, nawet mimo dziwnych proporcji, gdyby nie niepojęta zagadka: El Lanzon jest olbrzymią stelą o wysokości ponad 4 m, kamienne przejścia jednak mają co najwyżej 3 m wysokości! Jak zatem wniesiono tu stelę? Nie zrobiono jej z gumy, którą można wyginać. Nie, nie, to nie błąd! Tego przedmiotu nie da się tu dotransportować także w pozycji horyzontalnej, ze względu na zakręty korytarza mającego tylko 50 cm szerokości. Jest tylko jedna możliwość: tajemniczy projektanci Chavin de Huantar jeszcze przed rozpoczęciem budowy zaplanowali otwór w suficie, przez który można było opuścić stelę na skrzyżowanie obu przejść, zanim wyrosła nad nimi świątynia.

Nikt nie wie, co przedstawia El Lanzon. Czeski archeolog i etnograf Miloslav Stingl uznał stelę za:

"[...] nadzwyczaj dziwną istotę. Nad dolną wargą występują potężne zęby jaguara. Oczy kierują się nieruchomo w górę, jak gdyby patrzyły w niebo. Nawet pas, obejmujący ciało boga, jest zdobiony głowami jaguara. Z pasa zwisają dwie wężowe głowy. Jedną rękę - prawą - bóg trzyma wzniesioną, drugą wziął się pod bok".

Jest to opis, nie interpretacja, ale mnie trudno zrozumieć nawet to, bo nie udaje mi się rozpoznać w steli żadnej opisanej "istoty". Tak, można tu zobaczyć wielki pysk, z którego szcęk wyrastają zęby jaguara, nie są to jednak śmiertcionośne kły, jakie mają zazwyczaj jaguary. Tak, tam gdzie Miloslav Stingl widzi zęby jaguara, ja widzę - dysponując nie mniejszą fantazją - zawiasy, zresztą cała stela sprawia moim zdaniem wrażenie raczej jakiegoś urządzenia niż wizerunku zwierzęcia.

Poza przejściem, którym szedłem a które wychodzi na El Lanzon, wszystkie korytarze biegnące ze skrzyżowania kończą się ślepo. Po kilku krokach zatrzymałem się zawsze przed murem. Wydawało mi się to nader dziwne. Jaki to miało sens, że projektanci Chavin de Huantar wybudowali tylko przejście do El Lanzon, inne sztolnie zaś zakończyli dla żartu ślepych murami? Tyle zachodu dla jednego głupiego architektonicznego dowcipu? Podejrzewam, że w ślepych korytarzach są sekretne drzwi. Właśnie tak.

Ponieważ nie mogłem przejść, musiałem zawrócić. Na dworze oślepiło mnie słońce, bardzo jasne na wysokości 3000 m. Zamrugałem oczyma i wszedłem do drugiej sztolni, obiegającej El Castillo w kierunku na południe. Słabe żarówki na ścianach wysiadły. Po omacku wyostałem się na zewnątrz. Miły strażnik pożyczył mi - jako fant zostawiłem mu swoją zapalniczkę, której będzie mi wkrótce brakować - przedpotopową karbidówkę. Jej zapach przypominał mi

lampę mojego pierwszego roweru.

Jaskrawozielone światło padało na wykuty korytarz, znów 3 m wysokości, i na monolityczne stropy. Wkrótce od sztolni odeszły dwa przejścia, biegnące pod kątem prostym - wybrałem lewe.

Omali się nie potknąłem o dziwny kamienny przedmiot, który po pośpiesznych oględzinach okazał się podobną do ludzkiej głową w hełmie. Dawniej ściany były ozdobione reliefami, przedstawiającymi wznoszące się postacie ze sztywnymi skrzydłami - do dziś zachowały się jedynie fragmenty, świadczące o całości. Reliefy są tak precyzyjne, tak płytko cyzelowane, jak gdyby ćwiczył tu swoje hobby współczesny nam dentysta dysponujący maszyną do borowania zębów - dentyści jednak nie miewają czasu na takie podziemne zajęcia, inwestują raczej w budownictwo naziemne, do tego owocujące czynszami. Także i tu stanęła mi zaraz na drodze potężna ściana.

Z gorliwością i cierpliwością harcerza zawróciłem do wejścia, poszukałem kolejnej dziury i wdrapawszy się po siedmiu stromych schodkach dotarłem do następnego korytarza, mającego 1,3 m szerokości i 1,83 m wysokości. Dwóch nieproszonych gości mogłoby tu iść spokojnie obok siebie. W poprzek końca schodów biegnie wąskie przejście, z którego trzy dalsze prowadzą do trzech pomieszczeń o długości 5,7 m, szerokości 1,94 m i wysokości 2,25 m. Karbidówka wyczarowywała zielonkawym światłem groteskowy nastrój: dziwne kamienne głowy rzucały ku mnie dumne, nieco szydercze spojrzenia, wskazywały na swoje hełmy. Pytały podstępnie: co o nas sądzisz?

Czasem człowiek chce przejść przez ścianę, ale ani rusz mu to nie wychodzi. Poczłapałem z powrotem do głównego korytarza, dwa razy obróciłem się o 90° wokół własnej osi, zapamiętałem to sobie i wkroczyłem do kolejnego pomieszczenia. Tam kamienne głowy stały na grubej desce w porządnym szeregu, naprzeciw reliefów pełnych legendarnych wizerunków. Ile podobnych przejść i pomieszczeń czeka jeszcze na odkrycie? Może na swego odkrywcę czeka gdzieś pod ruinami tajemnicza "bogów", może gdzieś pod ziemią budowniczości pozostawili klucz do niezrozumianej kultury Chavin de Huantar.

Gdy centymetr po centymetrze przeszukiwałem wzrokiem ścianę zamykającą przejście, mając nadzieję, że znajdę wskazówkę, gdzie jest dalsza droga, karbidówka wydała z sykiem ostatnie tchnienie. Znalazłem się w zupełnej ciemności. Było cicho jak w grobie. Dopiero teraz poczułem delikatny prąd powietrza biegnący przez pomieszczenie. Gdzieś działała wentylacja. Pozbawiony zmysłu wzroku poszedłem za ciągiem powietrza, natknąłem się na kamienne głowy, wpadłem na monolity. Parę razy błysnąłem fleszem - miałem dość baterii. Prąd powietrza płynął spod podłogi przy tylnej ścianie. Czy jest tam przejście prowadzące pod ziemię? Obmaciałem kamień, nacisnąłem na wypukłości ciosu - nic się nie stało.

Ostrożnie posuwałem się noga za nogą, błyskałem fleszem - brakowało mi zapalniczki, która wygrzewała się w kieszeni strażnika.

Wszystkie ściany były do siebie podobne, na żadnej nie było najmniejszej wskazówki, w którą stronę się zwrócić. Musiałem znaleźć schody o siedmiu stopniach, którymi mógłbym zejść. Ale schody, które właśnie wymacałem, prowadziły w górę. Prąd powietrza był silniejszy w pobliżu ścian. Na czworakach popęzłem do góry, pokonałem siedem stopni, potem nieco nad sobą ujrzałem światło. Sztolnia prowadziła pod żelazną kratę, którą bez większego trudu udało mi się podnieść. Wyszedłem z podziemi na świeże powietrze i próbowałem się zorientować, gdzie jestem.

Ta cholerna siódemka

Z labiryntu wydostałem się mniej więcej w centrum Castillo, wysoko nad głównym wejściem skierowanym na wschód. Poda mną rozciągał się wielki prostokąt kompleksu świątynnego. Po pokonaniu paru stopni zrobiłem sobie odpoczynek pod bramą główną, spojrzałem w górę, żeby stwierdzić, z której dziury wylazłem... i tuż nad sobą, na dolnej stronie monolitu spoczywającego na kolumnach wejścia, ujrzałem charakterystyczne wizerunki latających istot.

Było to 14 cherubinów, jak Biblia określa "strażników nieba": siedem postaci, podobnych do ptaków drapieżnych a zarazem sprawiających wrażenie jakiegoś urządzenia, patrzyło na północ, siedem - na południe. Przyszło mi do głowy, że wszystkie schody, po których tu wchodziłem albo schodziłem, miały siedem stopni. Czy "święta liczba" siedem była kluczową liczbą także dla Chavin de Huantar?

Siódemka ma tradycję, nie tylko jako cholerny siódmy rok małżeństwa. Jej magii szuka się w okresie siedmiu dni, podczas którego księżyc "odbywa" jedną ze swoich czterech kwadr. Około 1600 r. prz. Chr. Babilończycy porzucili stosowany dotąd tydzień pięciodniowy - uraz wszystkich związków zawodowych - i wprowadzili siedmiodniowy. W siedmiu ciałach niebieskich - Słońcu, Księżycu, Merkury, Wenus, Marsie, Jowiszu i Saturnie - uznali ogólny porządek Kosmosu. Dla Żydów znaczenie świętej "siódemki" opiera się na siedmiu dniach stworzenia i siedmioramiennym świeczniku w Namiocie Zgromadzenia. W Objawieniu św. Jana mamy "księgę [...] zapieczętowaną siedmioma pieczęciami" (Obj. 5,1). "Siódemka" ma także znaczenie w buddyzmie i w malajskim kręgu kulturowym. W starożytnej Grecji obowiązywały terminy siedmiodniowe. Teby rniały siedem bram, było siedmiu mędrców... i jest również siedem cudów świata. Czy liczbę siedem czczono też w Chavin de Huantar?

Wobec pracowników służb tajnych wywiadów naszych czasów żaden szyfr nie jest pewny. Czy nie można złamać szyfrów, które na naszych oczach czekają na rozszyfrowanie?

Tam na dole, na "zagłębionym miejscu", jeden z pracowników Julia C. Tella odkrył obelisk, stojący dziś w Muzeum Archeologicznym w Limie. Obelisk ten, nazwany "obeliskiem Tella", nadal czeka, aż ktoś odczyta jego hieroglificzny język. Spędziłem przed nim wiele godzin, fotografowałem go, szkicowałem ryty. Peruwiańskich archeologów zapytałem o prawdopodobną interpretację hieroglifów. Zauważyłem od

razu, że nikt nic nie wie na pewno, gdy tylko zaintonowano archeologiczną arię o kultach: o kulcie jaguara, o kulcie ptaków drapieżnych itd. Mógłbym tu zanucić jeszcze piosnkę o piramidach - na obelisku Tella widać niewielkie piramidy.

Pod placem, gdzie znaleziono obelisk, stał "ołtarz siedmiu kóz" (znany również jako "ołtarz gwiazdozbioru Oriona"). Nie starczyło mi wprawdzie zoologicznej fantazji do rozpoznania na nim siedmiu kóz, lecz układ siedmiu otworów w ołtarzu odpowiada mniej więcej rozmieszczeniu gwiazd w Orionie. A wszędzie pojawia się cholerna siódemka. Literatura fachowa potwaerdza, że również w Chavin de Huantar była co najmniej liczbą świętą. Gdzie nasz bohater 007? A może archeolodzy powinni sprawadzić deszyfranta? Śpiewka o "kulcie" jest nieco oklepana.

Naukawe znaki zapytania

Każdy zwiedzający Museo Antropológico y Arqueológico na Plaza Bolivar w Limie przechodzi obok "steli Raimondiego". Stela ta pochodzi z Chavin de Huantar. W 1873 roku Antonio Raimondi przetransportował do stolicy wykonaną z diorytu stelę, mającą 1,75 metra wysokości, 73 cm szerokości i 17 cm grubości.

Co sądzą naukowcy o reliefach zdobiących to dzieło sztuki? Niech wyrecytują swoje przypowieści:

Miloslav Stingl:

"Stela Raimondiego [...] przedstawia człowieka-jaguara. Z jego boskiej głowy wyrastają jednak kolejne, w coraz bardziej wyrafinowany sposób stylizowane głowy takich ludzi jaguarów, z których pysków znów wyrastają potężne kły".

Profesor H. D. Disselhaff:

"Na czworokątnej płycie znajduje się wyprostowany człowiek jaguar, który w obu rękach trzyma wieloczęściowe berło, bogato zdobione liniami krzywymi, dolna część berła przechodzi w stylizowane głowy drapieżników, na górze w symbol roślinny. Wysoka ozdoba głowy składa się z pysków drapieżników i głów węży, ciała węży mają realistycznie narysowane głowy [...] Głównymi motywami, jakie tu przedstawiono, są: hybrydy ludzko-zwierzęce, drapieżne koty, węże i ptaki drapieżne".

Rudolf Portner i Nigel Davis:

"[...] przedstawia widzianą z przodu postać z głową drapieżnika. W zgiętych rękach trzyma zdobną laskę, która wystaje wysoko nad głowę postaci. Górne dwie trzecie kamienia są wypełnione pełnym fantazji nakryciem głowy, składającym się z ponakładanych jeden na drugi symboli ust z wywieszonymi językami, z których wychodzą ukośnie w lewo i w prawo do góry równoległe głowy węży".

Profesor Hermann Trimborn:

"Już w 1873 roku znalazła się tu kamienna płyta, tak zwana stela Raimondiego, której relief wyabrazował kotowatego potwora z berłami w szponach; wieńczy go struktura złożona z otwartych pysków drapieżników, z których wychodzą węże".

Profesor Horst Nachtigall:

"Stela tajestjedną z najbardziej interesujących rzeźb amerykańskich kultur megalitycznych. Przedstawia ona stojącą ludzko-zwierzęcą postać o głowie zwierzęcia i ozdobie głowy złożonej z głów potworów, otoczonej aureolą. Ręce i nogi mają zwierzęce pazury; ciało otacza pas z węży".

Dr Siegfried Huber:

"Detale reliefów są jak szyfr: kły, głowy węzów, zagadkowe sploty, oczy - symboliczne same z siebie - surrealistyczne, jeżeli w ogóle można na to znaleźć jakieś określenie. Skamieniały, grozący gest przerażonego jestestwa".

Dr Friedrich Katz:

"[...] Także tu można znaleźć włosy ułożone w kształt węża i rysy twarzy noszące silne cechy pyska jaguara. Kamień Raimondiego składa się z warstw wielu ciał i twarzy w niemal monstrialnej formie".

Dr H. G. Franz:

"Stojąca postać wyobraża religijnego przywódcę, kapłana, szamana - obojętne, jak go nazwiemy - w masce, która jawi się jako maska na samą twarz albo narzucana na głowę, z fantastycznie uformowanym futrem zwierzęcym. Masko-łelłm przeobraża się w maskę-wieżę [...] Nogi kończą się pazurami jaguara lub szponami orła. Konstrukcja maski wznosi się wysoko nad niewielką, jakby przygniecioną, stojącą postacią [...] To, co znajduje się jeszcze wyżej, jest na pewno częścią struktury maski, składającej się z wielu poustawianych na sobie pysków zwierzęcych w kształcie szeroko postawianych jakby smoczych górnych szczęk, które są uniesione do góry".

Dr Inge von Wedemeyer:

"[...] skończony obraz najwyższego wcielenia boga, boga stworzenia Wirakoczy".

A teraz niech łaskawy Czytelnik obróci, proszę, fotografię steli Raimondiego o 180°, czyli niech ją postawi na głowie - wówczas okaże się, że owa tak wieloznaczna i wiele razy interpretowana postać po prostu leci z góry! Oczywiście pazury, orle szpony, nogi człowieka-jaguara - cokolwiek by to było - znalazły się po prostu na niewłaściwym miejscu, lecz do rozpoznania zjawiska lotu potrzeba naprawdę znacznie mniej fantazji niż do odkrycia tych wszystkich głupich tajemnic zoologicznych, które koniec końców nie mają i tak najmniejszego sensu.

Jeśli przedstawia się tak sprzeczne interpretacje szyfrów reliefowych - jedyne słowo, które pasuje mi w tym całym zamęcie interpretacyjnym - to powinno się też znaleźć miejsce na moje spekulatywne pytania: Czy złowrózbe berła nie sprawiają wrażenia przedmiotów czysto technicznych? Czy przypadkiem mamy tu do czynienia nie z jaguarem czy skarłowaciałym człowiekiem-jaguarem z "w wyrafinowany sposób stylizowanymi głowami" czy maskami-wieżami, lecz ze schematycznym rysunkiem silnika z dyszami wtryskowymi i przewodami? Czy chodzi o łamigłówkę technologii przyszłości, którą zrozumiemy dopiero wówczas, kiedy sami znajdziemy się na dość wysokim poziomie techniki?

Nie wiem, jakie informacje zawiera stela, jasne jest dla mnie tylko jedno: że to archeologiczne dreptanie w miejscu nigdy nie doprowadzi nas do celu. Brakuje tu odwagi nieortodoksyjnego myślenia. "Ignorować wywodzi się od ignorancji", mawiał Artur Schopenhauer (1788-1860). Nic dodać, nic ująć.

"Niewyjaśniony wpływ z zewnątrz..."

Chavin de Huantar płata fachowcom figla samym swoim istnieniem: zespół świątynny jest pierwowzorem, nie można go umieścić na żadnym etapie kulturowego rozwoju tego regionu. Chavin de Huantar pojawia się nagle - bez zapowiedzi - i wkracza w uporządkowaną izdbkę archeologów mówiąc: oto jestem, kultura Chavin de Huantar! Ta nagłość powoduje, że czoło pokrywa się z rozpaczy potem, i wzburza udręczone szare komórki.

To zdziwienie słyhać w słowach trzech słynnych naukowców.

Profesor Walter Krickeberg:

"Podkreślano już, że rozwój wysokiej kultury w dawnej Ameryce nie dokonywał się ewolucyjnie, nieprzerwanie, lecz że przebiegał skokowo, chciałoby się nawet powiedzieć w sposób wybuchowy [...] z pozoru pozbawione korzeni, bez etapów wstępnych, pojawiły się od razu na scenie najstarsze amerykańskie wysokie kultury: w Mezoameryce olmecka, w rejonie Andów kultura Chavin. Być może to zadziwiające zjawisko da się wytłumaczyć w sposób zadowalający tylko wtedy, gdy przyjmie się istnienie jednego lub kilku impulsów, które na dawną Amerykę oddziaływały z zewnątrz".

Miloslav Stinl:

"Pojawienie się kultury Chavin było niczym wybuch, nieoczekiwane wyładowanie elektryczne, którego oddziaływania i skutki objęły w istocie całe Peru".

Profesor H. D. Disselhoff:

"W moim przekonaniu powstanie kultury Chavin spowodował jakiś nie wyjaśniony jeszcze wpływ z zewnątrz".

Zdumienie ogarnia wszystkich, którzy widzieli Chavin de Huantar. Wyrównano tam i splantowano teren o powierzchni prawie 50 tys. metrów kwadratowych. Już podczas sporządzania wstępnego projektu budowli naziemnych przewidziano istnienie głębokiego systemu kanalizacyjnego, w skałach wykuta (wysadzono?) korytarze mogące służyć też ewentualnej ucieczce, cały zaś układ Castillo wraz z budowlami sąsiednimi i placami pasował dokładnie do podziemnej infrastruktury. Działalność geniusza, osiągnięcie jedyne w swoim rodzaju na świecie, jeżeli nie ma wzoru. Pod jerozolimską świątynią Salomona także znajdowały się podziemne korytarze. Intensywniejsze ostatnio prace wykopaliskowe w Jerozolimie doprowadziły niedawno do odkrycia nieznanych przejść, a jest jeszcze do odkrycia wiele podobieństw między zespołem świątynnym w Jerozolimie a Chavin de Huantar. Prace archeologiczne trwają.

Nie, bez odpowiedniego technicznego know-how zbudowanie Chavin de Huantar było niemożliwe. A ponieważ takie know-how zdaniem

fachowców na kontynencie amerykańskim nie istniało, to musiało być ono zatem towarem importowanym. Pracowali tam pierwszorzędni kamieniarze, nie zaś Indianie pośpiesznie przyuczeni do pracy. Istniały narzędzia, udoskonalane z biegiem lat przez pokolenia rzemieślników. Całość zaprojektował zespół doświadczonych architektów budownictwa lądowego, wyspecjalizowanych w budownictwie naziemnym i podziemnym. Kiedy budowle były gotowe w stanie surowym, do pracy stawili się artyści dysponujący wspaniałymi umiejętnościami i zaczęli zdobić setki kamiennych płyt. Czy stworzyli wówczas styl Chavin de Huantar?

Zdaniem fachowców również ten styl nie ma pierwowzoru. Czy pojawił się po prostu wraz z całą swoją perfekcyjnością? Nie zrozumiane do dziś rysunki płaskich reliefów niepokoją zagadkami. Ryty na stelach, na obeliskach i kamaennych wykładzinach ścian przedstawiają unisono istoty ludzko-zwierzęce i roboty. Na steli El Lanzon, na steli Raimondiego, na obelisku Tella i na monolitycznych płytach naściennych - wszędzie ten sam styl z tymi samymi szyframi. Nikt nie zaprzeczy, że pracowało tu mnóstwo rzeźbiarzy, a wszyscy wywodzili się z tej samej szkoły. Dzieła Chavin de Huantar są niezwykle same w sobie, "we własnym sosie". Czy o to chodziło?

W rejonie Mezopotamii "uskrzydłone bóstwa" są równie liczne jak gwiazdy na niebie. Ich wizerunki lewitują nad portalami pałaców, zdobią sale tronowe i grobowce. Znajdują się na sumerskich, babilońskich, asyryjskich i hetyckich walcach pieczętnych, którymi w owych czasach opatrywano dokumenty urzędowe i prywatne. "Uskrzydłone bóstwa" fruwały i unoszą się również w Chavin de Huantar w abstrakcjach artystycznej doskonałości.

Indianin z wyżyn, Julio C. Tello, nadal najwybitniejszy archeolog Chavin de Huantar, określił te dzieła sztuki jako wytwory "nadmierzającej rasy". Wizerunki wyrzeźbione na płytach uznał za skrzyżowania ryby i smoka. Z ruin wyniósł fragmenty wyobrażające elementy smoka, kondora i człowieka - monstra, które z dzisiejszego punktu widzenia przypominają z grubsza jakieś maszyny. Nad tym wszystkim unoszą się z rozpostartymi skrzydłami stylizowane kondory - nie mają one jednak dziobów, oczu i głów ptasich. Są to zdumiewające hybrydy ptaka, zwierzęcia, człowieka i potwora - surrealistyczne dzieła wspaniałej sztuki z zupełnie innego świata, autorstwa nadzwyczajnej rasy, sprawiające wrażenie jakby dłuta rzeźbiarzy były prowadzone przez istoty spoza Ziemi.

Sztuka w roli ambasadora

Na temat Chavin de Huantar napisano całe biblioteki. Po przeczytaniu większej części tytułów pozwolę sobie przedstawić w tym miejscu kilka cytatów:

"Radość przedstawiania krzywizn jest charakterystyczna dla Chavin de Huantar. Tak wyraziste krzywizny nie występują w żadnym innym stylu wielkiego Peru".

"W swoich nadzwyczaj skomplikowanych wizerunkach zwierząt

Chavin de Huantar osiąga stopień doskonałości i wyrafinowania, nieznanym ludzkim przestawieniem. Reliefy świadczą o mistrzostwie graniczącym z wirtuozerią: wielkie, twarde kamienie są pokryte labiryntem eleganckich elastycznych linii, sprawiających wrażenie, jakby wykreślono je piórkiem."

"Zawiłość i subtelność [...] surowość i jakość krzywizn, krótko - cała koncepcja sugeruje, że jesteśmy bardzo dalecy od początków tej sztuki, która bez najmniejszych wątpliwości rozwijała się niegdyś stosując jakieś inne medium, nie wielkie rzeźby z kamienia."

"Dlaczego tak wielkie religijne style artystyczne powstały w Mezameryce i w Peru (Chavin), gdzie indziej zaś nie? Co było impulsem wyzwalającym ten geniusz? Nie wiem."

Z "rysunkami piarkiem" płaskorzeźb korespondują wspaniałe kolumny i rzeźbione głowy. Amerykański archeolog Wendell C. Bennett znalazł dwa tuziny takich głów - po części ludzkich, po części zwierzęcych. Wszystkie były opatrzone rytami typowymi dla Chavin. Pierwotnie głowy te znajdowały się na gzymsach i ścianach świątyń. Do dziś tylko dwie pozostały na swoim miejscu.

Są to głowy bardzo różnorodne - raz mają szerokie nosy i wydatne usta, raz pod nosem otwiera się prostokątny pysk zwierzęcy o zębach Drakuli, jeszcze innym razem głowy nie mają w ogóle twarzy. Niektóre zostały wyposażone w takie techniczne akcesoria jak hełmy, ochroniacze na uszy, maski na usta i okularopodobne osłony na oczy. Wspólny dla wszystkich twarzy jest nieprzyjemny wyraz obcości, dystansu i chłodu.

Bennett wykopał również megalityczne płyty z ornamentyką będącą bez wątpienia również jakimś komunikatem - nie zawierające ani postaci ludzkich, ani zwierzęcych: linie krzywe powtarzają się tam obok rysunków abstrakcyjno-figuratywnych. Tajemnicy tego języka symboli nie udało nam się zgłębić po dziś dzień - mimo naszych umiejętności. Przemawia to przeciw nani, nie przeciw dawnym artystom, którzy za pomocą takich środków powierzyli kamieniom swoje posłania.

Nie warto byłoby wyolbrzymiać wizerunków hybryd ludzko-zwierzęcych - ukazywały że wszystkie stare kultury - gdyby w Chavin de Huantar nie przetrwał subtelny styl ornamentyki, który razem z potworami ma więcej do przekazania, niż nam się zdaje. Obserwatorowi nasuwa się przypuszczenie, że artyści, którzy w perfekcyjny sposób opanowali formę, nie wiedzieli w istocie, co uwieczniają. Czy "dyktowano" im, co mają wyrzeźbić? Czy przedstawiali obrazy zaczerpnięte z wyobraźni, kiedy z grubsza, za pomocą aluzyjnych wizerunków jaguarów i kondorów utrwalali nieznaną coś, co spadało z nieba? Czy wizerunki na kamiennych portalach były inspirowane pamięcią o bogach w hełmach, o bogach z gniewem na obliczu władczo wydających rozkazy?

Kiedy Henoch i Elias wstępował w niebo, przekazano, że w zdarzeniu tym brały udział rumaki płujące ogniem. Nasi przodkowie, którym te czworonogi były znacznie bliższe niż nam, doskonale wiedzieli, że konie nie płują ogniem i nie latają. Najprawdopodobniej zilustrowano albo opisano coś niezrozumiałego, podkładając siłę konia pod symbol potężnej siły jakiegoś nieznanego tworu. A propos: KM, czyli koń

mechaniczny, jest dla nas techniczną jednostką mocy. Uskrzydłonym, pluącym ogniem koniem rejonu Mezopotamii był dla mieszkańców Chavin de Huantar uskrzydłony jaguar albo kondor. A ponieważ te zwierzęta wozily w przestworzach istoty podobne do ludzi, powstały zagmatwane wizerunki, które wcale nie były "surrealistyczne" we właściwym znaczeniu tego słowa, lecz po prostu stanowiły próbę oddania realnych przeżyć.

W Księdze Joba ze Starego Testamentu galopuje paradnie "hipopotam", który nie jest i nie może być hipopotamem, ponieważ:

"Jego kości niby rury miedziane, jego członki jak drągi żelazne. [...] Jego parskanie rzuca błyski, a jego oczy są jak powieki zorzy: Z jego paszczy wychodzą płonące pochodnie, pryskają iskry ogniste. Z jego nozdrzy bucha dym jakby z kotła rozpalonego i kipiącego. Jego dech rozpala węgle, a z jego paszczy bije płomień [...] Gdy się podnosi, drżą nawet najsilniejsi, a fale morskie cofają się. Gdy się go uderzy, ani miecz się nie ostoi, ani dzida, ani włócznia, ani strzała. Żelazo ma za słomę, a miedź za drzewo zbutwiałe. [...] Głębinię wprawia we wrzenie jak kocioł, morze wzburza jak wrzącą masę. Za sobą pozostawia świetlistą smugę, tak że toń wygląda jak pokryta siwizną. Na ziemi nie ma mu równego; jest to stworzenie nieustraszone". [Job 40,18; 41,10-13,17-19, 23-25]

Mocne słowa, ta pochwała utechnicznionego "hipopotama"! Specjaliści od Starego Testamentu uważają, że "mowy Joba i odpowiedź Boga", będące pochodzenia egipskiego i babilońskiego, opiewają nieznanne istoty. Uwiecznieniu przeżyć służyły też reliefy Chavin de Huantar.

Sprawia to wrażenie, jakby andyjscy artyści byli dopiero co po lekturze sumerskiego eposu o Gilgameszu, w którym można znaleźć literackie opisy hybryd, uwiecznionych przez nich w kamieniu:

"Żmudnie trdują się dalej [Gilgamesz i Enkidu], aż do wierzchołka turnicy, gdzie przewspaniała bujność cedrów wieńczy siedzibę bożyszczy. W olśniewającej bieli promienieje święty stołb bogini Irnini. [...] Naraz przeraźny rozlegnie się parsk - zaszumią drzewa. Dojrzeli: - Oto Chumbaba sam się przybliża. Łapy miał jako lew, ciało łuską miedzianą pancerne, u nóg szponiaste pazury sępa, na łbie miał rogi bawołu, a chwost i człon mu się kończą w mordzie wężowej! [...] Strzałami miotnęli w potwora, rzucili oszczepem. W tył odskoczyły pociski: on stał nietknięty".

Czym było Chavin de Huantar?

Fachowcy są zdania, że Chavin de Huantar było miejscem pielgrzymek, ośrodkiem religijnym zagadkowego ludu, który pojawił się niespodzianie w wysokogórskiej dolinie Mosny i którego kultura przez kilka stuleci wyciskała piętno na całym regionie - pogląd ten tak przedstawia amerykańista Friedrich Katz:

"Większość badaczy wierzy w sprawcze siły kultu, powstawanie nowej religii, która rozprzestrzeniła się na większych częściach terytoriów andyjskich. Uważa się niejednokrotnie, że Chavin, a być

może również inne ośrodki tej kultury, były wielkimi miejscami kultu i stały się następnie celem pielgrzymek. Pielgrzymi roznieśli wieść o nowej religii po najodleglejszych wsiach. Jest w tym prawidłowość, jeszcze dziś bowiem widzi się ośrodki wiary i pielgrzymów, którzy przemierzają setki, a nawet tysiące kilometrów, żeby dotrzeć do świętego miejsca".

W swoich studiach nad Chavin Gordon R. Willey dochodzi do tego samego wniosku: "Chavin jest bez wątpienia wielkim ośrodkiem obrzędowym". Pogląd ten podziela też Julio C. Tello.

Każda religia ma swojego sprawcę, założyciela. Izraelici Starego Testamentu składali hołdy Bogu, Panu, który stworzył Adama i Ewę, ostrzegł Noego przed potopem oraz rozmawiał z Abrahamem i Mojżeszem. W Nowym Testamencie zgrupowano przypowieści i wskazania wiążące się z osobą Jezusa. Założycielami religii są też Budda i Mahomet, prorocy istniejący kiedyś naprawdę. Gdziekolwiek na świecie powstawały religie, zawsze były przyporządkowane postaciom ludzko-boskim. W żadnym przypadku religie nie wywodziły się - że tak powiem - z masowego oświecenia, jakie spływało na ludzi. Zawsze istniały istoty, osobowości, które żyły pośród ludzi - albo postacie, które przeżyły w przeszłości to, co głosiły.

W przypadku religijnego kultu Chavin nie ma założyciela religii. Błuznierstwem byłoby wymienianie jaguarów, kondorów czy węzów tylko dlatego, że nie ma żadnej osoby nawiedzanej!

Istnieją badacze, którzy kult ludzko-zwierzęcy łączą z szamanizmem. Szamani byli czarownikami, wysyłającymi swoje dusze do świata duchów albo zapewniającymi im wstęp we własne eiąła. Nigel Davis, mieszkający od 20 lat w Meksyku, jest zdania, że:

"Kto potrafi w dżungli ująć cało i zdrowo jaguarowi, jest uważany przez Mojosów [wschodnia Boliwia - przyp. EvD] za wyróżnionego przez boga i zostaje włączony do bractwa szamanów. Mojosowie są nadal wyznawcami jednego kultu poświęconego temu bóstwu".

Bez wątpienia szamanizm był powszechny wśród ludów pierwotnych, można również odczuć, że proste dzieci natury chciałyby dysponować cechami zwierząt - szybkością jaguara, przebiegłością węża, umiejętnościami ptaka (jest to marzenie wspólne wszystkim ludom). Truizmem jest twierdzenie, że ofiary zwierząt składano, aby te zwierzęta przebłagać. Nigdy w życiu artyści wywodzący się z ludów pierwotnych nie "przypisywali" dzikim zwierzętom właściwości, których sami nie zaobserwowali: węże wily się po ziemi - ale nie latały, jaguary biegały i skakały - ale nie latały, kondory zaś nie miały łap jaguara. To przecież proste.

Religie i kultury zawierały w sobie prawa i nauki moralne. Czy powstały one za przyczyną jaguara, pozostającego w związku małżeńskim z szamanem? Czy kondory wyartykułowały pobożne nauki? I - to już szczyt bezsensu! - czy wśród zwierząt byli architekci, którzy wznieśli Chavin de Huanter, aby stworzyć sobie ośrodek religijny?

Jeżeli zaakceptujemy na próbę twierdzenie, że religia Chavin była istotnie religią kondora i jaguara, to czy ci wspaniali artyści nie zadaliby sobie w takim razie szczególnego trudu, aby jak najdokładniej przedstawić swoje uwielbiane zwierzęta, do których się modlili i których

się obawiali? Czy wówczas nie podziwialibyśmy pośród kamiennych monumentów Chavin de Huantar doskonałych wizerunków tych zwierząt, tak wspaniałych, jak to potrafili robić starożytni Egipcjanie i Babilończycy w przypadku byka Apisa i lwa? Czyż nie należałoby oczekiwać, że w Chavin de Huantar odkryto by co najmniej jednego zmumifikowanego jaguara albo kondora, tak jak Egipcjanie zmumifikowali miliony świętych sokołów boga słońca Ra? W Chavin de Huantar nie znaleziono ani jednej mumii świętego zwierzęcia.

Jakiemu bogu poświęcono zespół świątynny? Bóg ten potrafił latać jak kondor a przypominał też jaguara. Potrafił uśmiercać jak wąż i miał ludzkie rysy. Dysponował inteligencją mądrego władcy. Cóż za bóg zjednoczył w sobie te wszystkie cechy!

Próba datowania Chavin de Huantar

Wcześniejsze badania sytuowały świątynię w okresie 1000 - 700 r. prz. Chr. Teolog i historyk Siegfried Huber, który przez dłuższy czas mieszkał w krajach andyjskich, pisze:

"Gdyby ustalić początki na rok 850 prz. Chr., to Chavin okaże się stylem artystycznym najstarszym i najdojrzalszym w formie i w technice [...] Potem około 850 roku prz. Chr. w kraju pojawili się obcy przybysze i spowodowali, że ludzie miejscowi zaczęli przyjmować ich wartości myślowe".

Ostatnio budowy świątyni nie odsuwa się już tak daleko w przeszłość. Archeolodzy peruwiańscy przyjmują, że Chavin de Huantar powstało między 800 a 500 r. prz. Chr. Nic dokładnie jeszcze nie wiadomo, ponieważ tolerancja wszystkich stosowanych obecnie metod datowania wynosi +/- 200 lat. Fizyka daje nam wprawdzie do dyspozycji nowoczesne instrumentarium do określania wieku reliktyw przeszłości, uzyskane daty jednak są nadal niepewne.

Ponieważ zajmowanie się archeologią jest modne, interesujące będzie dowiedzieć się czegoś bliższego o technice metod datowania.

Daty oblicza się wykorzystując zjawisko okresu połowicznego rozpadu izotopów radioaktywnych. Okres połowicznego rozpadu jest wycinkiem czasu, w jakim ulega rozpadowi połowa dowolnej ilości początkowej jakiegoś izotopu. Za punkt wyjścia należy więc przyjąć pewną wielkość. W przypadku metody C-14 zakłada się, że stałą jest atmosfera ziemską z niezmienną ilością radioaktywnego izotopu węgla. Jak bardzo niepewny jest to punkt wyjścia, stwierdza nawet literatura fachowa: w historii Ziemi ilość izotopu węgla, uznawana za stałą, ulegała wahaniom. Dlaczego tak się działo, nie wiadomo - nie podkreśla się jednak faktu, że datowania dokonywane tą metodą są problematyczne.

Poza tym datowanie zależy też od samych obiektów. Z rejonu danej świątyni można bowiem datować zarówno strzęp tkaniny, jak i resztki węgla drzewnego. Tylko co będzie, jeśli strzępy tkaniny stanowiły niegdyś względnie nową suknię tancerki świątynnej, która uprawiała swój kunszt w prastarej już świątyni? Nic o wieku budowli nie powiedzą nam też resztki węgla drzewnego, bo ogień mógł przecież płonąć już na

jej ruinach.

Współczesna fizyka daje nam do dyspozycji jedenaście metod datowania. Możliwości uzyskania jednoznacznych wyników są jednak nadal bardzo ograniczone. Każda metoda ma swoje wady i źródła błędów. Analizy dają się zastosować za każdym razem tylko do określonych substancji i w zależności od danego miejsca wymagają przyjęcia lokalnych założeń; które często bywają nieznane.

Tak na przykład mikroanaliza wymaga wiedzy o tym, jak duże było niegdyś w miejscu badań stężenie azotu, fluoru i uranu. Kto będzie znał dokładne dane? W przypadku metody potasowo-argonowej wartość pomiaru jest związana z danymi dotyczącymi ilości argonu, jaka wniknęła w skały z biegiem tysiącleci. Analiza aminokwasów ma tę niedogodność, że można ją stosować tylko do przedmiotów, które znajdowały się w umiarkowanych temperaturach, bo w temperaturze wyższej reakcje chemiczne ulegają zmianie. Nikt nie może mieć pewności, czy badany przedmiot nie był wystawiony na działanie wyższej temperatury. Świątynie płonęły, a potem wznoszono je na nowo na starych fundamentach. Każda z metod ma swoje wady.

Profesor Richard Burleigh, specjalista w dziedzinie datowania, snuje takie prognozy na przyszłość:

"Kolejnego wielkiego postępu w datowaniu metodą radioaktywnego węgla należy zapewne oczekiwać po metodzie akceleracji cząsteczek. Metoda ta będzie wymagać dysponowania tylko kilkoma miligramami badanej substancji i da szybsze efekty niż metody obecne, przy czym najdalsza granica datowania wyniesie najprawdopodobniej około 100 tys. lat. Ze względu na wysokie koszty tylko niewiele uprzywilejowanych instytucji będzie mogło posługiwać się tą metodą".

Metoda ta ma więc już dziś wielką wadę: aparatura jest droga. Przy urzędowym niejako braku zainteresowaniu rządów najdawniejszą historią ludzkości, w okrojonych budżetach nie będzie funduszy na zakup takich urządzeń. A może najwybitniejsi technicy powinni wynaleźć maszynę czasu, która pozwalałaby podróżować w przeszłość? Czy wyszłyby nam na wierzch ze zdumienia!

Datowanie Chavin de Huantar może być ewentualnie prawidłowe dla okresu 1000-500 r. prz. Chr.

Amerykańscy zajmujący się archeologią zwracają uwagę na fakt, że mniej więcej w tym samym czasie powstała w Meksyku równie zagadkowa kultura Olmeków. Olmekowie, pierwotni mieszkańcy wybrzeży Zatoki Meksykańskiej, istotnie stworzyli dzieła sztuki, mające często wiele wspólnego ze stylem Chavin. Taką ceramikę znaleziono na przykład na Monte Alban, w religijnym ośrodku Zapoteków, oraz w Veracruz i w Tlatilco na obrzeżach miasta Meksyk. Głowy potworów, wyrzeźbione w kamieniu przez Olmeków, wykazują podobieństwa z nieznanymi braćmi z Chavin, tyle że ich koledzy, stojący dziś w parku-muzeum La Venta koło Villahermosy, są nieporównanie więksi. W Museo Nacional de Antropologia w mieście Meksyk są kamienne olmekie głowy węzów opatrzone atrybutami technicznymi o takim wyglądzie, jakby pochodziły z Chavin de Huantar. Czy więc kultura Chavin ma swój odpowiednik?

Nie chcę się mieszać w spory naukowców, która kultura wywierała wpływ na którą, pragnę tylko skonstatować, że Chavin de Huantar znajduje się w Andach południowoamerykańskich, nie zaś w środkowoamerykańskim Meksyku. Przy dwustuletniej tolerancji dla dat początkowych nie można wykluczyć, że grupy ludzi z Chavin powędrowały na północ bądź popłynęły tam morzem i "zainfekowały" Olmeków. Między Peru a Meksykiem nie ma przeszkód nie do pokonania, istnieje natomiast dość powodów do podjęcia takiej wyprawy - na przykład, aby krzewić doskonałą i skuteczną religię. Zarliwość religijna była zawsze dobrą inspiracją awanturniczych wypraw. Przez 200 brakujących lat wszystko mogło się zdarzyć!

Literatura fachowa reprezentuje zwykle pogląd, że Ameryka była zasiedlana od północy, od obszaru dzisiejszej Kanady, na południe. Tego, że jest to nie zawsze słuszne, dowiódł za pomocą faktów i dat Joseph Blumrich w książce Kassara i siedem światów. Jest wiele datowań dotyczących terenów Ameryki Południowej i Środkowej, starszych od datowań dotyczących obszaru Ameryki Północnej i vice versa - na północy archeolodzy wydobyli na światło dzienne wyroby artystyczne starsze od artefaktów z południa.

Po cóż więc spory o rzecz tak niejasną? Przesiedlano się zarówno z północy na południe, jak i z południa na północ, Do migracji wewnętrznych dochodziły fale imigrantów, którzy przeprawiali się przez ocean wraz ze swoimi wysokimi kulturami pozbawionymi początków.

Podsumowanie

W Księdze Mormona Nefi opowiada, że przywiózł zza morza relacje o przeszłości swojego ludu. Po przybyciu kazał wznieść świątynię "na wzór świątyni Salomona". Czy nie chodzi o Chavin de Huantar?

Nefi tak uzasadnia powód, dla którego nie zbudował jej w pobliżu wybrzeża, tylko w wysokich Andach:

"Mimo to ich gniew przybierał na sile, że nawet chcieli odebrać mi życie. I szemrali przeciwko mnie mówiąc: Nasz młodszy brat umyślił sobie panować nad nami. Doświadczyliśmy już wiele z jego powodu, zabijmy go więc, aby nam nie dokuczał więcej swoimi napomnieniami. Nie pozwolimy, aby był naszym panującym, gdyż panowanie nad tym ludem należy do nas, starszych braci". (2 Ne. 5:2 nn.)

Konflikt był zaprogramowany. "Bóg" rozkazał Nefiemu odłączyć się wraz z grupą jego zwolenników. Nefi posłuchał:

"I zabraliśmy nasze namioty oraz wszystko, co mogliśmy wziąć ze sobą, i wędrowaliśmy w puszczy przez wiele dni. I po wielu dniach wędrowki rozbiliśmy nasze namioty". (2 Ne. 5 : 7)

Gdziekolwiek docierali przybysze, zawsze znajdowali się na pogórzach andyjskim, a była to - wyjąwszy niewiele skrawków żyznej ziemi w dolinach rzek - prawdziwa pustynia. "Ujść w puszczy" mogłoby więc znaczyć, że Nefici szli w kierunku gór, bo nigdzie indziej, jak okiem sięgnąć, nie było żadnego pustkowia. Poza tym gdzież można znaleźć lepsze miejsce schronienia niż w górskich dolinach?

W obcym kraju nowicjusze trzymali się cieków wodnych, które tak

czy siak prowadziły do źródeł. A Bóg zawsze był przy wędrowcach. Nefi pisał o tym. Pisał również o tym, że ów Bóg potrafił latać. Rozkazał wybrańcowi Nefiemu: "Przygotuj inne płyty i dla pożytku twojego ludu zapisz na nich wiele z tego, co jest dobre w Moich oczach.

Nie kwestionowany jest związek budowniczych Chavin de Huantar z morzem: w górach znaleziono muszle i wyroby z macicy perłowej.

Nefi miał dotrzeć do Ameryki Północnej około 590 r. prz. Chr. Trzydzieści lat później kazał wznieść świątynię. Kompleks Chavin de Huantar datuje się między 800 a 500 r. prz. Chr., najpóźniej zaś między 1000 a 600 r. prz. Chr.

Nefi widział świątynię Salomona na własne oczy; wśród jego ludzi znajdowały się również bardzo wykształcone rodziny - mówi o tym przecież w 1 Księdze - może wśród nich byli też architekci znający plany świątyni.

Kiedy Nefi opuszczał Jerozolimę, miasto było prawdopodobnie okupowane przez Babilończyków. W 586 r. prz. Chr. świątynia Salomona została całkowicie zniszczona przez żołnierzy Nabuchodonozora. Spekulacja, ale prawdopodobną, będzie twierdzenie, że plany świętej budowli przesmyglano za granicę, aby wznieść ją znowu w innym miejscu, lecz w dawnej piękności - jako pamiątkę starego kraju i symbol starej wiary.

Zespół świątynny Chavin de Huantar wydaje się być dokładnym odbiciem świątyni Salomona:

- Chavin de Huantar miało dziedzińce zewnętrzne i wewnętrzne, miejsca poświęcone, sanktuarium (El Castillo), wydzielone pomieszczenia dla pielgrzymów, kapłanów i arcykapłanów, mury świątyni miały części zewnętrzne dla "nieczystych" a nawet wspomniany przez Biblię strumyczek... wszystko jak w świątyni Salomona;
- Chavin de Huantar było zorientowane na cztery strony świata... jak świątynia Salomona;
- dla Chavin de Huantar siódemka była liczbą świętą... jak dla świątyni Salomona;
- Chavin de Huantar było miejscem świętym, ośrodkiem religijnym i miejscem pielgrzymek... jak świątynia Salomona;
- Chavin de Huantar wznosi się nad podziemnymi sztolniami i kanałami... jak świątynia Salomona;
- Chavin de Huantar miało w pozbawionej okien świątyni (El Castillo) system wentylacyjny, pomieszczenia miały sztuczne oświetlenie... jak w najświętszym miejscu świątyni Salomona;
- budowniczy Chavin czcili latającego boga... jak Izraelici.

Ostatnie stwierdzenie napotka na sprzeciw: Izraelici czcili tylko jednego, "niewypowiadalnego" Boga. Był to Bóg izraelski, który zstępował na ziemię w ogniu, hałasie, drzeniu ziemi i dymie, jak to obrazowo przedstawia Stary Testament. Był to Bóg, który polecił Mojżeszowi zakreślić granicę wokół świętej góry, żeby lud ochronić przed unicestwieniem, kiedy się zbliży:

"A góra Synaj cała dymiła, gdyż Pan zstąpił na nią w ogniu. Jej dym unosił się jak dym z pieca, a cała góra trzęsła się bardzo".
(I Mojż. 19,18)

Zgodnie z zakazem, w świątyni Salomona nie było wizerunków Boga.

Czy nie przeciwstawiono się temu zakazowi, a tylko go ominięto tworząc abstrakcyjne boskie wizerunki - jak w Chavin de Huantar? Fakt, że Salomon służył nie tylko swemu Bogu, lecz tolerował również innych bogów, potwierdza nawet Stary Testament:

"Król Salomon pokochał wiele kobiet cudzoziemskich [...] Z narodów, co do których Pan nakazał Izrealitom: Nie łączcie się z nimi [...] nakłonią bowiem na pewno wasze serca do swoich bogów. Otóż do tych zapalał Salomon miłością. Miał on siedemset żon prawowitych i trzysta nałożnic, a te jego kobiety omamiły jego serce. Gdy się zaś Salomon zestarzał, jego żony odwróciły jego serce do innych bogów, tak że jego serce nie było szczere wobec Pana, Boga jego, jak serce Dawida, jego ojca". (I Król. 11, 1 nn.)

Nigdy już nie będzie można ustalić, czy jego świątynia nie została wówczas przyozdobiona abstrakcyjnymi wizerunkami obcych bogów, bo w 586 r. prz. Chr. Babilończycy obrócili ją w perzynę. Odbudowaną kazał spalić w 70 r. po Chr. cesarz rzymski Tytus Flawiusz. Czy zniszczone reliefy i kamienne rzeźby zawierały wizerunki bogów? Za tym faktem przemawiałoby istnienie wyobrażeń bogów o ludzko-zwierzęcej postaci w najbliższym regionie geograficznym: Babilończycy sporządzali ich doskonałe wizerunki. Jak w Chavin de Huantar.

W przypadku świątyni Nefiego jest w Chavin de Huantar więcej podobieństw do jerozolimskiej świątyni Salomona, niż może przetrwać przypadkowy żołądek. Znalazłem je w trakcie mojej wyprawy, która miała podjąć ślad prowadzący do świątyni Ezechiela.

Akta "Ezechiel" są aktami szczególnymi, sprawą kryminalną. Sprawą dla Heinricha Schliemanna.

Otwórzmy je!

III. Sprawa dla Heinricha Schliemanna

Że coś się dzieje, to nic.
Wszystkim jest o tym wiedzieć.

Egon Friedell (1878-1938)

Dla Heinricha Schliemanna gwiazdy okazały się łaskawe w pewien letni wieczór 1837 roku, kiedy to jakiś pijany mężczyzna wszedł do sklepiku jego ojca w Neubukow i zaczął z emfazą recytować po grecku Homera. Pijak był kiedyś uczniem gimnazjum, o czym przypominał sobie w zamroczeniu alkoholowym. Piętnastoletni Heinrich Schliemann nie zrozumiał wprawdzie ani słowa, zauroczyła go jednak "muzyka" tej mowy. Postanowił nauczyć się greckiego.

Bogowie jednak skomplikowali mu losy. Gdyby młody człowiek nie uległ wypadkowi podczas transportowania ciężarów i nie okazał się nieprzydatny do zawodu, byłby zapewne skazany na nudną egzystencję

w meklemburskim miasteczku. Heinrich zaciągnął się więc na statek handlowy płynący do Ameryki Południowej jako chłopiec okrętowy, co było wówczas marzeniem każdego młokosa. Statek rozbił się u wybrzeży Holandii, młody matros uratował się jednak i wylądował w Amsterdamie bez grosza przy duszy. Wakowała akurat posada w jakimś domu handlowym. I Heinrich zrobił karierę. W każdej wolnej chwili wkuwał języki. Holenderski, francuski, angielski, włoski i hiszpański opanował równie doskonale jak rosyjski. Dzięki tym umiejętnościom powierzano mu zawsze ważne zadania, szczególnie w interesach z Rosją.

W czasie wojny krymskiej, prowadzonej przez Francję, Anglię i Turcję przeciw Rosji w latach 1853-1856, Schliemann najpierw był w Petersburgu przedstawicielem amsterdamskiego domu handlowego. Ale wkrótce założył własną firmę handlową i zdobył znaczny majątek. Podróżował po Europie i po Wschodzie, a jego godzina wybiła w 1868 roku: zamieszkał w Atenach i rozpoczął naukę starogreckiego. Po pięciu miesiącach czytał Homera w oryginale, po dwóch latach znał na pamięć dzieła twórcy Iliady i Odysei.

Z głową pełną Homera i okazałą sumką w banku Schliemann uznał legendy sięgające w przeszłość do drugiego tysiąclecia prz. Chr. wcale nie za wytwory poetyckiej fantazji, lecz za prawdę. Kiedy opublikował swoje poglądy w 1869 r., świat archeologiczny zastrząsł się ze śmiechu. Wkrótce przejdzie im jednak ochota do żartów z dyletanta, który - jak uważali - lepiej by zrobił stojąc dalej spokojnie przy kupieckim kantorze, zamiast bez akademicko-archeologicznego błogosławieństwa ogłaszać publiczności wytwory swojego chorego umysłu.

W latach 1870-1872 Schliemann prowadził prace wykopaliskowe w Hisarlik w Azji Mniejszej, które uważał za opisywaną przez Homera Troję. Wspaniałymi znaleziskami udowodnił archeologom, że przekazy warto brać dosłownie: odkrył dziewięć nawarstwionych z biegiem czasu poziomów osadniczych - starą homerycką Troję, której budowle padły ofiarą pożaru w roku 2200 prz. Chr. Znaleziono złote i srebrne skarby. Gliniane naczynia dowiodły, że znano wtedy koło garncarskie. W szóstej warstwie trafiono na znaleziska ze średniej epoki brązu (ok. 1800 prz. Chr.): na powierzchni o średnicy 200 m stały kamienne mury i wieże, pomieszczenia wewnętrzne były wzniesione na kolistych tarasach. Mykeńska ceramika okazała się importem - dokładnie tak jak opisał to Homer.

W drugiej warstwie odkopano ruiny wspaniałego zamku Priama i Hektora, zniszczonego przez Agamemnona - znowu zgodnie z opisem Homera.

Amator Schliemann dał sygnał do nowego spojrzenia na badania starożytności: z przekonaniem, że dzieła Homera w najdrobniejszych szczegółach są tożsame ze źródłami historycznymi, odkrył przedhomerycki świat drugiego tysiąclecia prz. Chr. Schliemannowi należy zawdzięczać, że rozpoczęto badania prehistorii w rejonie śródziemnomorskim. Złote skarby Troi i groby królewskie w Mykenach oraz liczący ponad 4000 lat złoty skarb króla Priama Schliemann podarował berlińskiemu Museum für Vor- und Frühgeschichte.

Uczeni okopali się natychmiast za chytrym określeniem "nauka

łopaty", twierdząc najbezczelniej, że Schliemann miał po prostu szczęście. Szczęście? Facet bierze dosłownie stare przekazy i zostaje największym odkrywcą wszechczasów.

Heinricha Schliemanna, uhonorowanego tymczasem najwyższymi akademickimi godnościami, pochowano 4 stycznia 1891 r. w Atenach. Gdyby Schliemann żył dzisiaj, dałbym mu pewną wskazówkę.

W stresie

Przed każdą książką ten sam problem wyzwała we mnie stres. Kiedy uświadomiłem sobie swoje położenie - pisząc te słowa - zacząłem się zastanawiać, czym naprawdę jest nasz stres powszedni?

Z biblioteki wyciągnąłem książkę Hansa Selyego 'Stres życia' i zacząłem czytać o człowieku, który odkrył to zjawisko epoki i zawyrokował, że nie jest ono w istocie chorobą, lecz mechanizmem dopasowania się organizmu do warunków, w jakich się znaleźliśmy. Stres wcale nie musi być zawsze szkodliwy - jest zarazem solą życia, ponieważ każda emocja i każda czynność powoduje stres. Ten sam stres, który kogoś wpędza w chorobę, może być dla innego ożywczą inspiracją! Należę więc niewątpliwie do tych "innych".

Hans Selye, "ojciec stresu", oświadczył, że napisał swoją książkę dla lekarzy i dla laików, był więc zmuszony umieścić w niej fragmenty niezrozumiałe dla laika oraz wyjaśnienia będące truizmem dla medyków. Wykręcił się więc sianem umieszczając przed każdym rozdziałem krótkie streszczenie, nieistotne dla fachowca, lecz sprawiające, że dla laika cała rozprawa staje się zrozumiała.

Problemem Hansa Selyego - urodzonego w 1907 r. w Wiedniu, od 1934 r. profesora endokrynologii w Montrealu w Kanadzie - było napisanie książki zrozumiałej dla lekarzy i laików. Moim natomiast problemem jest pisanie książek, w których unikałbym powtórzeń, nużących dla moich stałych czytelników - książek, które byłyby jednak zrozumiałe dla czytelników nowych. Dzisiejsze dwudziestolatki miały pięć lat, kiedy wyszła moja pierwsza książka. Ośmielony przez Selyego, oznaczam niektóre strony linią na marginesie. Moi starzy czytelnicy mogą je przeskoczyć, znają bowiem fragmenty o proroku Ezechielu z książek Wspomnienia z przyszłości (1968) oraz Oto mój świat (1973).

Ci, którzy nie czytali tamtych pozycji, nie zrozumieją bez tych cytatów, jaka bomba zegarowa tyka w nowych ustaleniach śledztwa prowadzonego w sprawie Ezechiela.

Prorok Ezechiel opisuje statek kosmiczny

Ezechiel był prorokiem Starego Testamentu. Poniższy opis odnosi się do zdarzenia, jakie miało miejsce ok. 592 r. prz. Chr.: "W trzydziestym roku, w czwartym miesiącu, piątego dnia tego miesiąca, gdy byłem wśród wygnańców nad rzeką Kebar, otworzyły się niebiosy [...] I spojrzałem, a oto gwałtowny wiatr powiał z północy i pojawił się wielki obłok, płomienny ogień

i blask dokoła niego, a z jego środka spośród ognia lśniło coś jakby błysk polerowanego kruszcu. A pośród niego było coś w kształcie czterech żywych istot. A z wyglądu były podobne do człowieka. Lecz każda z nich miała cztery twarze i każda cztery skrzydła. Ich nogi były proste, a stopa ich nóg była jak kopyto cielęcia i lśniły jak polerowany brąz. [...] A pośrodku między żywymi istotami było coś jakby węgle rozżarzone w ogniu, z wyglądu jakby pochodnie; poruszało się to pomiędzy żywymi istotami. Ogień wydawał blask, a z ognia strzelały błyskawice. [...]

A gdy spojrzałem na żywe istoty, oto na ziemi obok każdej ze wszystkich czterech żywych istot było koło. A wygląd kół i ich wykonanie były jak chryzolit i wszystkie cztery miały jednakowy kształt; tak wyglądały i tak były wykonane, jakby jedno koło było w drugim. Gdy jechały, posuwały się w czterech kierunkach, a jadąc nie obracały się.

I widziałem, że wszystkie cztery miały obręcze, wysokie i straszliwe, i były dokoła pełne oczu. A gdy żywe istoty posuwały się naprzód, wtedy i koła posuwały się obok nich, a gdy żywe istoty wznosiły się ponad ziemię, wznosiły się i koła. [...] A gdy posuwały się, słyszałem szum ich skrzydeł jak szum wielkich wód, jak głos Wszechmocnego, jak hałas tłumu, jak wrzawa wojska; a gdy stały, opuściły swoje skrzydła. [...] A nad sklepieniem, nad ich głowami, było coś z wyglądu jakby kamień szafirowy w kształcie tronu; a nad tym, ca wyglądało na tron, u góry nad nim było coś z wyglądu podobnego do człowieka. (Ez. 1, 1 nn.)

Potem duch podniósł mnie; i słyszałem za sobą potężny łoskot, gdy chwała Pana podniosła się ze swojego miejsca. A był to szum skrzydeł żywych istot, gdy się nawzajem dotykały, oraz turkot kół tuż przy nich, potężny łoskot. (Ez. 3, 12 n.)

I spojrzałem, a oto obok cherubów były cztery koła, po jednym kole obok każdego cheruba; a koła wyglądały jak blask chryzolitu. A z wyglądu wszystkie cztery miały jednakowy kształt, tak jak gdyby jedno koło było wewnątrz drugiego. Gdy się posuwały, to posuwały się na wszystkie cztery strony, nie obracając się. W tym kierunku, w którym zwrócone były przednie, posuwały się za nim, nie obracając się, gdy się posuwały. A całe ich ciało, więc ich grzbiet, ich ręce i skrzydła oraz koła były u wszystkich czterech zewsząd pełne oczu [...] A gdy cheruby się posuwały, posuwały się koła obok nich, a gdy cheruby podnosiły skrzydła, aby się wzbić od ziemi, wtedy koła nie odsuwały się od ich boku. Gdy tamte stały, stały i te; a gdy tamte się podnosiły, podnosiły się z nimi i te [...]"

Zacytowałem ten tekst adapturam libri po pewnym wykładzie, w trakcie nadzwyczaj gwałtownej dyskusji, po czym dodałem, że pochodzi z Biblii. Jeden z moich wzburzonych adwersarzy zawołał: "To bezczelność twierdzić takie rzeczy!" Wyjąłem więc z teczki *Die Heilige Schrift des Alten und des Neuen Testaments*, wydane w Stuttgarcie w 1972 r., i podałem oburzonemu uczestnikowi dyskusji, który zaniemówił.

Kiedy po raz pierwszy natknąłem się na powyższe fragmenty,

byłem równie zdumiony. Pomyślałem sobie jednak zaraz, że brzmią zbyt technicznie, aby można je było poddawać wyłącznie teologicznej interpretacji.

Twierdziłem bezczelnie, że Ezechiel - bądź ten, kto sformułował pierwszą, najstarszą wersję - widział i opisał jakiś twór techniczny, który nagle spłynął z chmur i wprawił go ze zrozumiiałych względów w ogromne zdumienie. Mocarz słowa zaczął się jąkać. Jeszcze nigdy nie widział takiej maszyny, nie potrafił więc zrozumieć funkcji kół i skrzydeł: były to dlań członki "istoty żywej" - ponieważ się poruszały. Oczywiście "cztery skrzydła" - łopaty wirnika - opuściły się, gdy śmigłowiec wylądował, co warunkują prawa fizyki. Naoczny świadek podziwiał koła i obręcze, dziwiąc się, że wznosiły się one nad ziemię razem z "żywą istotą". Cechą śmigłowców jest to że nie chowają podwozia po starcie.

Reporter Ezechiel usłyszał nieznaną huk. Żeby przedstawić ten niesamowity hałas, przyszło mu do głowy jedynie użycie następujących określeń: "jak wrzawa wojska", "jak szum wielkich wód". W ten sposób ludzie mogą wyobrazić sobie ten hałas. Przyglądał się uważnie, widział nawet pilota siedzącego na czymś "w kształcie tronu".

No tak, nowoczesnej interpretacji tekstu nie brakuje mocnych porównań. Było dla mnie jasne, że Ezechiel nie miał wizji, ale że raczej opisywał rzeczywistość techniczną. Za odwagę dostałem straszne ciągi, bo oczywiście nie potrafiłem sam udowodnić moich twierdzeń a "krytycy są ludźmi żądnymi krwi, którzy nie dotarli do kata" (Bernard Shaw). Dowieść tego jest w stanie supertechnik który by potrafił zdemaskować moje przypuszczenia jako czystą bzdurę.

Inżynier w roli egzegety biblijnego

Zupełnym novum w liczącej wiele tysięcy lat historii egzegezy biblijnej było, że inżynier w sposób krytyczny potraktował teksty Pisma Świętego. Inżynier ów nazywa się Joseph F. Blumrich. Kiedyś był kierownikiem zespołu badań konstrukcyjnych w NASA w Huntsville. Jest autorem licznych patentów w dziedzinie budowy wielkich rakiet, laureatem medalu NASA Exceptional Service. W swojej książce 'Otworzyły się niebiosy' przedstawia techniczny dowód, że statek kosmiczny opisany przez proroka Ezechiela istniał naprawdę. We wstępie Blumrich pisze, że właściwie miał zamiar dowieść "niemożliwości" moich twierdzeń: "Rzadko kiedy całkowita przegrana tak bardzo się opłaca i jest tak fascynująca i radosna". Oto rezultaty studiów Blumricha:

"Ogólny wygląd statku kosmicznego opisanego przez Ezechiela można odtworzyć z relacji tego proroka. Inżynier może następnie, niezależnie od relacji, obliczyć założenia i zrekonstruować aparat latający tego typu. Jeżeli się uzna, że efekt nie tylko jest możliwy z technicznego punktu widzenia, lecz również pod każdym względem niezwykle sensowny i przemyślany, jeśli się następnie

znajdzie w opowieści Ezechiela opisy szczegółów i procesów, pokrywające się bezsprzecznie z efektami technicznymi, wtedy nie będzie można już mówić wyłącznie o poszlakach. Uznałem, że statek kosmiczny Ezechiela miał bardzo wiarygodne parametry:

Impuls właściwy	2080 sek
Ciężar	63300 kg
Paliwo na drogę powrotną	37600 kg
Średnica wirnika głównego	18 m
Moc silnika wirnika głównego	70000 KM
Średnica korpusu głównego	18 m

Uzyskane wyniki dają nam wyobrażenie o pojeździe kosmicznym, który nie tylko jest możliwy z technicznego punktu widzenia, lecz również którego funkcje są przystosowane do misji. Z zaskoczeniem przyjmujemy da wiadomości stan techniki, w żadnym razie nie fantastyczny - raczej w najbardziej krańcowym przypadku bliski dzisiejszych możliwości technicznych, a zatem tylko trochę wybiegający w przyszłość. Poza tym wyniki dają wyobrażenie o statku kosmicznym, stosowanym razem ze statkiem macierzystym, krążącym po orbicie wokółziemskiej. Fantastyczne jest tylko to; że statek taki przed ponad 2500 laty był dotykalaną rzeczywistością".

Wspaniałym produktem ubocznym badań Blumricha było skonstruowane według opisu Ezechiela koło, mogące się poruszać we wszystkich kierunkach - za projekt ten inżynier otrzymał 5 lutego 1974 roku patent USA nr 3789947 - spóźnione uznanie dla pracy reportera Ezechiela.

Moje śmiałe interpretacje techniczne nie były więc tak szalone, jak życzyliby sobie tego krytycy.

Ezechiel wiecznie żywy!

Mój pierwszy kontakt z tekstami Ezechiela miał miejsce przed ponad 15 laty. Staruszek wciąż nie dawał mi spokoju. W końcu jego księga składa się nie tylko z tych czterech rozdziałów, które zainspirowały mnie do spekulacji na temat statku kosmicznego, lecz obejmuje 48 rozdziałów - pełnych przypowieści, gróźb, modlitw, prorocत्व i dokładnych relacji. A ileż tam osobliwości!

Z biegiem stuleci Księga Ezechiela musiała wytrzymać napór licznych interpretacji. W wydanej w 1981 r. pracy zacytowano, omówiono i umieszczono w bibliografii 270 rozpraw o tym proroku. A więc 272 tęgie głowy naukowców poświęciły lata życia starym tekstom. Z kręta-kich egzegez nie wynika wprawdzie prawie nic nowego - ich autorzy mają teologiczne klapki na oczach - są one jednak dowodem na istniejące zainteresowanie Ezechielem. Nic dziwnego, bo te teksty to bomba z opóźnionym zapłonem, która doprowadzi nas do śladów pozostawionych z rozmysłem przez "Pana". Tajemnice mają w sobie niesłychany magnetyzm.

Jak spod igły są moje najnowsze badania dotyczące budowli, które dzisiejszemu Heinrichowi Schliemannowi mogłyby posłużyć za wskazówki do prowadzenia prac wykopaliskowych - równie dokładne jak poematy Homera, będące niegdyś drogowskazem do Troi.

Synu człowieczy, patrz twoimi oczami
i słuchaj twoimi uszami!

Niewyczerpane źródło wiadomości rozpoczyna się w 40. rozdziale Księgi Ezechiela, a kończy w 47. Pozwolę sobie zacytować wyłącznie fragmenty najistotniejsze i wyróżnić ich część kursywą. Nie jest to wcale nieuczciwe - każdy może wziąć Biblię do ręki i przeczytać tekst bez skrótów i podkreśleń. Znam prace naukowe, wykorzystujące cytaty, których źródła są niedostępne dla czytelników.

"W dwudziestym piątym roku naszego wygnania, w pierwszym miesiącu, dziesiątego dnia tego miesiąca, w czternastym roku po zdobyciu miasta, w tym właśnie dniu spoczęła na mnie ręka Pana i przeniósł mnie tam. W widzeniach bożych przeniósł mnie do ziemi izraelskiej i postawił mnie na 'bardzo wysokiej górze'; a na niej naprzeciwko mnie było coś, 'jakby zbudowane miasto'.

Przeniósł mnie tam, a oto był tam 'mąż, który wyglądał tak, jakby był ze spiżu'; miał on w ręku lniany sznur i pręt mierniczy, a stał w bramie. Mąż ten przemówił do mnie: Synu człowieczy, patrz twoimi oczami i słuchaj twoimi uszami! Zwróć uwagę na wszystko, co ci pokażę; 'gdyż sprowadzono cię tutaj, aby ci to pokazać' (...).

I oto mur otaczał od zewnątrz świątynię dookoła. A mąż ten miał w ręku pręt mierniczy na sześć łokci, liczonych po łokciu i dłoni; mierzył on nim szerokość ściany budynku, która wynosiła jeden pręt, a wysokość także jeden pręt.

Potem wszedł do bramy, która była zwrócona ku wschodowi, i wyszedłszy po jej 'siedmiu stopniach' [...] Potem zmierzył odległość od wewnętrznej strony bramy dolnej do zewnętrznej strony bramy wewnętrznej: wynosiła ona sto łokci. Potem zaprowadził mnie na 'północ'. A oto była tam brama zwrócona 'ku północy' [...] Potem zaprowadził mnie na południe, a oto była tam brama 'południowa' [...] Potem zaprowadził mnie na dziedziniec wewnętrzny w kierunku 'wschodnim' i zmierzył bramę; miała takie same wymiary jak inne [...].

I zmierzył dziedziniec: Był to czworokąt sto łokci długi i sto łokci szeroki [...] Potem zmierzył ścianę świątyni; miała ona sześć łokci grubości, a szerokość przybudówki dokoła świątyni miała cztery łokcie. Bocznych komór, jedna obok drugiej, na trzech piętrach było po trzydzieści. [...]

Widziałem także, że dokoła świątyni był grunt podwyższony [...]. Potem zmierzył długość budowli przed odgradzoną przestrzenią, która była z tyłu, i jej mury [...]; miały one sto łokci. [...] 'Drewniane płyty pokrywały dokoła ściany wewnętrzne' od podłogi aż do okien, okna zaś były zakratowane. Nad wejściem, aż do nawy wewnętrznej i na zewnątrz, 'na wszystkich ścianach dokoła, wewnątrz i zewnątrz, były wyrzeźbione cheruby i palmy', po jednej palmie między dwoma

cherubami. Każdy cherub miał dwie twarze [...].

A gdy dokończył pomiarów wewnętrznej części świątyni, wprowadził mnie do bramy leżącej w kierunku wschodnim, i zrobił pomiary dokoła. Prętem mierniczym zmierzył stronę wschodnią: pięćset łokci prętem mierniczym. Potem zwrócił się i mierzył stronę północną: pięćset łokci prętem mierniczym. [...] Dokoła był mur pięćset łokci długi i pięćset łokci szeroki; miał oddzielać świątynię od tego, co pospolite.

Potem zaprowadził mnie do bramy, która jest zwrócona ku wschodowi. A oto chwała Boga izraelskiego zjawiała się od wschodu. Szum jego przyjscia był podobny do szumu wielu wód, a ziemia 'jaśniała' od jego chwały. A widzenie, które miałem, było podobne do owego widzenia, które miałem wówczas, gdy przybył, aby zniszczyć miasto, i podobne do owego widzenia, które miałem nad rzeką Kebar. [...]

Potem zaprowadził mnie z powrotem do bramy przybytku; a oto spod progu przybytku wypływała woda 'w kierunku wschodnim, gdyż przybytek był zwrócony ku wschodowi', a woda spływała ku dołowi spod bocznej prawej ściany świątyni, 'na południe' od ołtarza. [...]

I rzekł do mnie: Te wody płyną w kierunku okręgu wschodniego i spływają w dół na step i wpadają do Morza, do wody zgniłej, która wtedy staje się zdrowa. I gdzie tylko potok popłynie, każda istota żywa i wszystko, od czego się tam roi, będzie żyło; i będzie tam dużo ryb [...].

Na obu brzegach potoku będą rosły różne drzewa owocowe; liść ich nie więdnie i owoc się nie wyczerpie; co miesiąc będą rodzić świeże owoce, gdyż woda dla nich płynie ze świątyni."

Czego nie zauważyli specjaliści

Pierwszą część Księgi Ezechiela określa się zwykle jako "boskie objawienie". Wizje o zdumiewających pojazdach, które lśnią i sypiąc iskrami zlatują na ziemię, odgrywały pewną rolę w mitologicznej literaturze starożytnego Izraela. Nawet Ewa, żona Adama, widziała podobno wóz niebieski:

"Wówczas Ewa spojrzała ku niebu i ujrzała, że zbliża się świetlisty wóz, ciągnięty przez cztery lśniące orły, których wspaniałości nie zdoła opisać nikt zrodzony z łona matki [...] anioły zaś [...] szły wprzódy".

Pojazdów niebieskich pojawiających się w przekazach nijak nie da się wtłoczyć do żadnego hangaru! Prorok Henoch opisuje "wozy ogniste", Eliaz wstępuje do nieba właśnie w pojeździe tego typu - ciągniętym przez "rumaki ogniste". Ponieważ interpretatorzy Starego Testamentu utkwili spojrzenie w przekazach żydowskich, nie zauważyli, że wozy niebieskie krążą również po mitologii buddyjskiej: "wielki nauczyciel" Padmasambhava jeździł takim pojazdem. Również Ardżuna, bohater indyjskiego eposu Mahabharata, poruszał się dziarsko po Wszechświecie pojazdem niebieskim. Na bogów wszystkich mitów, religii i sekt! Dlaczego nie może być takich "niebiańskich wozów"?! Dlaczego-

go nikt nie chce wyjaśnić tego fenomenu w zrozumiałym sposób?

Oto trzy najważniejsze interpretacje fachowe, reprezentujące trzy różne punkty widzenia: teolog - profesor J. Lindblom tłumaczy te zdarzenia jako "przeżycia halucynacyjne", jego szwajcarski kolega Othmar Keel jako "objawienia", profesor W. Beyerlin zaś pragnie je zrozumieć jako rytualne elementy żydowskiego kultu. Tylko teolog Fritz Dummermuth przyznaje, że "[...] problematyczne relacje po dokładniejszej analizie niezbyt przystają do zjawisk naturalnych, takich jak meteorologiczne czy wulkaniczne". Dummermuth zaznacza nawet w innej rozprawie: "Już czas po temu, aby podejść do rzeczy z nowego punktu widzenia, co posunie naprzód badania biblijne".

Brawo! Zrobiono by wreszcie krok we właściwym kierunku, gdyby doszło do międzynarodowego porównania modeli niebiańskich karet, gdyby znawcy Starego Testamentu usiedli przy okrągłym stole z uczonymi specjalizującymi się w mitologii indyjskiej i rozłożyli na nim swoje dokumenty.

Bezsensem jest redukcja globalnego pojawiania się "wozów niebieskich" do specyficznie lokalnego zdarzenia w rejonie izraelskim. Bo to nieprawda!

Problem praw autorskich

W ciągu minionych tysiącleci postać Ezechiela poddawano najdziwniejszym transformacjom: z proroka, którego słowo było nietykalne, powstał "wizjoner", następnie "marzyciel" i wreszcie "fantasta", który przeobraził się następnie w "kataleptyka", czyli schizofrenika cierpiącego na wzmożone napięcie mięśni.

Na jakież pomysły wpadają ludzie, jakież stosują fortele, byle tylko uciec od nie dających się wyjaśnić problemów.

Przeprowadzono dokładną analizę Księgi Ezechiela. Semantycy stwierdzili, że styl i dobór słów pozwalają wnioskować istnienie więcej niż jednego autora. Nie zastanawiając się uznano proroka za "pseudo-Ezechiela", jego księgę zaś za kompilację różnych tekstów, powstałą dopiero ok. 200 r. prz. Chr. . Przed 100 laty teolog Rudolf Smend (1851-1913), znakomity znawca Ezechiela, napisał:

"Przekaz opiera się niewątpliwie na przeżyciu wizualnym i w żadnym razie nie jest opisem opartym wyłącznie na wyobraźni literackiej".

Na razie większość teologów jest zdania, że autorem Księgi Ezechiela nie jest sam prorok, lecz że na dzieło to złożyła się praca wielu redaktorów, którzy pomieszczyli teksty starsze - być może i teksty proroka - z dalszymi, aktualnymi uzupełnieniami.

Również ja skłaniam się do tego poglądu: Księga Ezechiela nie jest już oryginałem. Praktyczne pytania sprawiają, że problem autorstwa staje się nieistotny - obojętne, czy wizje Ezechiela zdarzyły się naprawdę, czy też księga nazwana imieniem proroka powstała z przekazów starszych oraz dodanych w czasach późniejszych. Moje pytania trafiają w czuły punkt relacji:

- Jeżeli Ezechiel miał wizję, to co chciał osiągnąć w ten sposób jego

Bóg?

- Jeżeli wizji nie było, które fragmenty tekstu należy uznać za opis zdarzeń rzeczywistych, które zaś za wytwory fantazji?

- Jeżeli opisy okażą się fantasmagoriami, to czy możemy je zaklasyfikować jako science fiction?

- Jeżeli jednak reportaże Ezechiela okażą się relacjami ze zdarzeń realnych, to gdzie jest świątynia, opisana z takimi szczegółami?

- Odpowiedzi wymaga pytanie, w jaki sposób Ezechiel - albo pan X - dotarł do tej świątyni i jak wrócił potem do Jerozolimy?

Sprawozdawca z Księgi Ezechiela pisze w pierwszej osobie: "ujrzałem... przeżyłem... usłyszałem... przeniósł mnie..." Forma pierwszoosobowa była stosowana zawsze przez naocznych świadków albo świadczyła o odwadze przyznania się do czegoś. Czy autor kryjący się za owym ja - kimkolwiek był - kłamał? Błagował, byle tylko zwrócić na siebie uwagę?

Fakty świadczą o tym, że relacje Ezechiela należy datować do VI w. prz. Chr., niezależnie czy przypisze się prorokowi (który żył w tamtym okresie), czy jego uczniom. Były to czasy wiary surowej i ortodoksyjnej. Żaden pisarz nie považował się powołać na koronnego świadka wielkiego Boga, żaden nie zaryzykował włożenia w usta wielkiego Boga słów, które byłyby nieprawdą:

"Nie nadużywaj imienia Pana, Boga twojego, gdyż Pan nie zostawi bez kary tego, który nadużywa imienia jego". (I Mojż. 20, 7)

Jeśli jednak w imieniu Ezechiela opowiedziano nam stek kłamstw, to dlaczego nadal figuruje on jako prorok w Księdze ksiąg? A nawet jeżeli Ezechiel nie był (jedynym) autorem, to relacja oryginalna była i tak spisana w formie pierwszoosobowej!

Co działo się w głowie proroka?

Zgodnie z zasadą: "W przypadkach wątpliwych należy wydać wyrok na korzyść oskarżonego", uważam Ezechiela za osobę, która opisała rzeczy realne.

Ezechiel mówi w tekście, że ręka Pana opuściła go na bardzo wysoką górę. W Izraelu nie ma bardzo wysokiej góry.

Interpretacje twierdzące, że Ezechiel opisał świątynię Salomona w Jerozolimie, są bezpodstawne, ponieważ świątynia ta nie stała na bardzo wysokiej górze. Także w okolicach Jerozolimy nie ma wzniesień, mogących pretendować do miana bardzo wysokiej góry, jest tylko kilka wzgórz. Poza tym Ezechiel wychowywał się w Jerozolimie, znał nazwę każdego wzgórza. Gdyby Pan przeniósł go na któreś z nich, to Ezechiel na pewno podałby, jak wzgórze to się nazywało.

Z bardzo wysokiej góry Ezechiel zauważył: naprzeciwko mnie było coś jakby zbudowane miasto.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że nie była to Jerozolima i świątynia Salomona.

"[...] a oto był tam mąż, który wyglądał tak, jakby był ze spiżu [...]."

Na fakt, że Ezechiel od razu zidentyfikował nieznaną postać jako męża - nie ma tu mowy o cechach płciowych - wpłynął pewnie wyraz

twarży istoty lub okoliczności, że nie wyemancypowane jeszcze wówczas kobiety nie miały zwyczaju wydawania rozkazów.

Mąż ten jakby był ze spżżu. Wybaczcie, szanowni egzegeci, ale dlaczego nikt nie pomyśli, że mąż ów miał na sobie skafander kosmiczny, który obserwatorowi wydał się lśniąca zbroją?

Obcy zwrócił się do proroka per synu człowieczy. Jest to o tyle interesujące, że ten sposób zwracania się pozwala wysnuć wniosek, że mąż jakby ze spżżu sam nie był człowiekiem, nie było mu też znane imię proroka. Synu człowieczy było typowym zwracaniem się do ludzi. Kiedy wyląduję na Marsie wśród małych zielonych ludzików, a jeden z nich padnie przede mną plackiem, nie powiem przecież: "Karolu, wstań!". Zawołam raczej do zielonego ludzika: "Marsjańska istoto, wstań!" Bezosobowe wezwanie synu człowieczy świadczy moim zdaniem o tym, że nieznany osobnik nie był w żadnym razie ponadczasowym, wszechmocnym Panem Bogiem: On bowiem znałby Ezechiela z imienia.

Sceptycy zadadzą pytanie, w jaki sposób istoty pozaziemskie - jak zakładam - opanowały mowę Ezechiela. Tak jak człowiek w każdej epoce bardzo szybko mógł się nauczyć języków nowo odkrytych ludów, tak samo istoty pozaziemskie obserwowały przez pewien czas grupy ludzi, do których zamierzały się udać, i opanowywały ich język.

Sedno sprawy

Teraz się zacznij!

Mąż jakby ze spżżu wezwał proroka Ezechiela, aby obserwował dokładnie wszystko to, co ujrzy, gdyż sprowadzono cię tutaj, aby ci to pokazać.

W tym niepozornym zdaniu kryje się klucz do tej ze wszech miar sensacyjnej historii.

Jeżeli zapomnimy o działalności istot pozaziemskich, to okaże się, że wielki, wszechmocny Bóg kazał przenieść naszego Ezechiela na wysoką górę, mężowijakby ze spżżu polecił zaś mierzyć na oczach tegoż Ezechiela świątynię prętem mierniczym, aby Ezechiel mógł wbić sobie do głowy wszystkie jej wymiary. Dokładne dane świadczą o tym, że prorok wziął sobie zadanie do serca. Jaki był cel tej nauki?

Teolodzy są zdania, że Bóg przekazał Ezechielowi wizję świątyni, którą ten mógłby później zbudować. Ale nigdy nie zbudowano świątyni Ezechiela. Bóg omamił wybrańca fantomem, ale nie znał przeszłości - ergo, nie był wszechwiedzący.

Właśnie w tym tkwi problem: w pierwotnej wersji tekstu Ezechiela nie ma gramatycznej formy czasu przyszłego! Pisany hebrajski był językiem czysto spółgłoskowym - nie stosował samogłosek. Dla ułatwienia lektury samogłoski były markowane niewielkimi kropkami między spółgłoskami. W tekście pierwotnym istniał czas przeszły niedokonany albo czas przeszły dokonany - nie było natomiast czasu przyszłego. W zależności od kontekstu interpretacje wymuszane gramatycznym gorsetem pozwalały studentom teologii w odpowiedni sposób intonować pieśni żałobne tak, że forma przeszła w następstwie czasów przeobrażała się w razie potrzeby w czas przyszły. Ściśle biorąc,

pierwotny tekst Ezechiela można tłumaczyć stosując w interpretacji translatorskiej czas przeszły, teraźniejszy lub przyszły - wedle uznania: świątynia była - świątynia jest - świątynia będzie.

Ponieważ uczeni uczepli się wersji wizji, a więc świątynia oraz jej dokładne wymiary są oczywiście rzutowane w przyszłość. A umożliwia to gramatyka.

Jeżeli wyjdziemy z założenia, że Ezechiel (albo pan X) został przeniesiony do świątyni, którą zmierzono na jego oczach, wówczas nasuwa się od razu pytanie: jaki sens miały tak precyzyjne pomiary? Odpowiedź na to pytanie jest zawarta w samym tekście: prorok ma zwrócić uwagę na wszystko, bo po to go tu sprowadzono.

W Biblii, którą tak często cytuję, możemy dokładnie przeczytać: "[...] gdyż sprowadzono cię tu, aby ci to pokazać".

W innym przekładzie Pisma Świętego możemy natomiast przeczytać:

"Przybyłem, aby ci to pokazać".

Jakaż przepaść dzieli oba przekłady!

Sprowadzono cię tu, aby ci to pokazać znaczy, że po podróży Ezechiel dotarł na miejsce. Przybyłem, aby ci to pokazać świadczy natomiast o tym, że mąż jakby ze spiżu odszukał proroka. Przekład ten uskrzydliło zapewne teologiczne pragnienie uwypuklenia wizji. W kontekście jednak traci on swój cel: Ezechiela przeniesiono na wysoką górę, gdzie odkrył on coś, jakby zbudowane miasto - zostaje więc postawiony w zupełnie nowej sytuacji. Otrzymuje polecenie jak najdokładniejszego zapamiętania wszystkich pomiarów, które mąż jakby ze spiżu zdejmował z pomieszczeń i ze ścian.

Żywa uwaga, z jaką Ezechiel rejestruje wszystkie dane, pozwala domniemywać, iż zostały one zapisane. Tym samym rękopis Pana za pośrednictwem posłańca, męża jakby ze spiżu, osiąga swój cel: nieznaną dotąd świątynia wchodzi do annałów przekazu! Wymiary realnej budowli - nie zaś wizyjnego fantomu! - będą zajmować umysły przez późniejsze tysiąclecia.

Istoty obce, pozaziemskie - wyciągnijmy w końcu wreszcie tego kota z worka - przeczuwały, że święte przekazy nie zginą z biegiem czasu, że - przepisywane, powielane czy drukowane - przetrwają wojny i klęski żywiołowe. Istoty te wiedziały, że na zagadkowym zdarzeniu dołączonym do starych tekstów połamią sobie zęby kapłani i interpretatorzy. Wiedziały, że kiedyś, w przyszłości, ogniste wozy wznoszące się w niebo staną się zrozumiałe bez przywoływania na pomoc wiary i cudów.

Przekonany, że w Księdze Ezechiela opisano - nieważne, czy zrobił to prorok, czy ktoś inny - rzeczywiste wymiary realnej świątyni, musiałem znaleźć dziś ową budowlę, trudną do przeoczenia choćby ze względu na jej wielkość, lub co najmniej ruiny.

A więc do dzieła!

Położenie i plan

Fasada świątyni, opisanej w Księdze Ezechiela, była zwrócona ku wschodowi. Mąż jakby ze spiżu zmierzył najpierw szerokość ściany

budynku, inne przekłady mówią o "budynku" czy "budowli".

Mąż jakby ze spiżu ma dziwny pręt mierniczy, na sześć łokci, liczonych po łokciu i dłoni. Zabawne. W wizyjnym objawieniu - jeżeli tak było - przekazano nam miarę handlową: łokieć. Nie, łokcia do tych pomiarów nie stosowano - była to specjalna jednostka miary. I w ten sposób fachowcy uporali się z tymi nader niemiłymi nielogicznościami:

"Dla 'budowli boskiej' niewielkie znaczenie ma, czy chodziło o 'zwykły' łokieć babiloński (458 mm), czy o częściej stosowany przez Żydów 'królewski' łokieć egipski (525 mm) [...] Opis ma nam tylko uświadomić, że święte miejsce różni się od wszystkich innych".

Słusznie. Jeżeli już wizja, to i tak wszystko jedno, jaką jednostkę miary stosowano. Ale to nie była wizja.

W tekście jest mowa o czworokątnej budowli, zorientowanej według stron świata. Mąż jakby ze spiżu mierzy czworokątny dziedziniec, który jest sto łokci długi i sto łokci szeroki. O wejściu Ezechiel pisze, że na wszystkich ścianach dokoła, wewnątrz i zewnątrz, były wyrzeźbione cheruby i palmy, po jednej palmie między dwoma cherubami. Każdy cherub miał dwie twarze. Jeden cherub został zdefiniowany jako podobna bogu hybryda pół-ludzka i pół-zwierzęca. Czy istoty o dwóch twarzach wyobrażają latających boskich posłańców? Latające istoty jak owe orły, które widziała Ewa, ciągnące wóz niebieski? A może chodziło o latające jaguary, o twory mechaniczne? Pytania pozostają. Bezsporne jest tylko to, że cheruby zawsze mają coś wspólnego z lataniem.

Jeśli chodzi o całą budowlę, w tekście mamy ważną wskazówkę: spod bocznej prawej ściany świątyni, na południe od ołtarza spływała woda w kierunku wschodnim i wpływała do Morza.

Jak na wizję są to dane zadziwiająco konkretne!

Równie precyzyjne dane przekazano na temat struktury budowli:

"Naprzeciw dwudziestu łokci należących do dziedzińca wewnętrznego i naprzeciw kamiennej posadzki na dziedzińcu zewnętrznym była galeria obok galerii w trzech poziomach. A przed halami był ganek wewnętrzny, dziesięć łokci szeroki i sto łokci długi; a ich drzwi były od północy. Lecz górne hale budynku były wyższe niż dolne i środkowe, ponieważ galerie zabierały im nieco miejsca". (Ez. 42, 3 nn.)

Inny przekład natomiast mówi, że występy skał wchodziły w piętra, że piętra wznosiły się w trzech poziomach i dlatego w porównaniu do dolnych i średnich były krótsze. Dlatego stworzono tarasy w niższych i średnich od ziemi, i poprzecznie do posadzki, będącej na dziedzińcu zewnętrznym, skarpa zaś opadała w trzech poziomach.

Do tego mamy lakoniczny komentarz:

"Wyobrazenie wydaje się mówić, że cały budynek z uwzględnieniem nierównego terenu dzielił się na trzy części, z których każda wznosiła się nieco w stosunku do poprzedniej".

Najbardziej wierzącemu ze wszystkich wierzących teologów muszą jednak nasunąć się wątpliwości, czy można się upierać przy wizji. Czy wszechmocny Bóg nie przedstawił przy pomocy cudownie lśniącego obrazu wyłącznie ideału świątyni, która miała być zbudowana później w Izraelu? Czy dołączył do wizji idealnej budowli również dokładne dane co do jej zorientowania według stron świata? Czy w trakcie objawienia przekazywano by tak świeckie informacje jak wymiary

pomieszczeń i korytarzy, położenie budowli na skarpie oraz czy mówiono by o potoku, płynącym na wschód do morza? Sami teolodzy nie zgadzają się z insynuacją, jakoby Ezechiel opisywał świątynię jerozolimską:

"Z Pisma nie wiemy nic o świątynnym źródle. Bo trudno było z nim utożsamiać miękką wodę z Syloe (Iz. 8, 6), płynęła ona zresztą w zupełnie innym kierunku".

Sprawę potoku jednak wziął sobie Ezechiel do serca:

"I gdzie tylko potok popłynie, każda istota żywa i wszystko, od czego się tam roi, będzie żyło; i będzie tam dużo ryb [...]"

Na obu brzegach potoku będą rosły różne drzewa owocowe; liść ich nie więdnie i owoc się nie wyczerpie; co miesiąc będą rodzić świeże owoce, gdyż woda dla nich płynie ze świątyni". (Ez. 47, 9 nn.)

Z Jerozolimy nie wypływa ani potok, ani rzeka, nad której brzegami wszystko, od czego się tam roi, będzie żyło. Zdumiewające, co w żarliwej wierze mogą zrobić z rzeki teologiczne interpretacje. A ponieważ w Morzu Martwym nie ma życia i mimo najszczerzej chęci nie może być tam więc dużej ilości ryb, to rzeka opisana przez Ezechiela została uznana za wizję przyszłości.

Banalne sztuczki

Żeby tchnąć w rzekę - której nie było w Jerozolimie - choćby życie wizyjne, tłumacze i egzegeci posługują się dwiema sztuczkami: w tekście Ezechiela nie ma ani słówka o "Morzu Martwym" - wtłoczono je więc do przekładu na siłę:

"Poza tym 'Morze' należy w przekładzie rozumieć oczywiście jako 'Martwe', ponieważ określenie to, zrozumiałe wprawdzie dla czytelnika żydowskiego, niejasne jest dla niemieckiego; nie ma zaś przecież wielkiej wartości przekład, którego sens trzeba dopowiadać w przypisach".

Oto sztuczka druga!

Kiedy "Morze" otrzymało nazwę na skutek arbitralnego dookreślenia tekstu, stało się ono razem z rzeką za sprawą cudu ekologicznym zdarzeniem z przyszłości:

Komentarz pierwszy:

"I teraz Ezechiel widzi drugi cud: W pustym dotąd otoczeniu płynącej wody stają niezliczone drzewa przeobrażając nieurodzajny pustynny krajobraz w lśniące prześliczną zielenią urodzajne niwy. [...] aż do kotliny Jordanu woda płynie z taką samą siłą, aby wpaść do słonego Morza Martwego. [...] Te cudowne oddziaływania wody płynącej od świątyni na otoczenie pozwalają pozbyć się jakichkolwiek wątpliwości, z jakiego rodzaju opowieści nasz rozdział czerpie obrazy i barwy; to po prostu rajską rzeką, której wody nawadniały rajski ogród".

Komentarz drugi:

"Już na samym początku byłoby błędem trwonienie sił naukowej krytyki nad fantazjami tego rodzaju. Należy się trzymać idei przeobrażenia natury [...]"

Komentarz trzeci:

"Zgodnie z tym rozumiałe jest oczekiwanie Ezechiela, że w przyszłości źródło świątynne przeobrazą się w strumień pełen wody, który nawodni pustynne wschodnie regiony Judy i uzdrowi nawet Morze Martwe. Jeżeli kiedyś w świątyni będzie miała miejsce prawdziwa służba Bogu, wtedy pustynne otoczenie świątyni przeobrazą się w urodzajny ogród".

Komentarz czwarty:

"[...] opisuje strumień żywej wody, która wypływając ze świątyni sprawia, iż okolica staje się urodzajna, Morze Martwe zaś zdrowe".

Komentarz piąty:

"Po co w ogóle w przypadku takich wizji szukać związków naturalnych o tak wątpliwej wartości? W każdym razie dla nas, chrześcijan, którzy jesteśmy nie tylko zimnymi krytykami biblijnego tekstu, ów święty potok oznacza przepowiednię daną od Boga [...] widzimy w nim i wynikających z tego faktu zmianach cudowny symbol błogosławieństw Ducha Świętego".

Wizja. Przepowiednia. Oświecenie. Według powyższych komentarzy Ezechiel przyrzekł pojawienie się urodzajnego ogrodu, który nawodni Judeę i uzdrowi Morze Martwe. Nic takiego się nie zdarzyło. Izrael nadal czeka na rajską rzekę i cudowne błogosławieństwa Ducha Świętego.

Nie należy również trwonić sił naukowej krytyki, skoro wszystko można uznać za przeobrażenie natury.

Gdyby Schliemann tak potraktował Homera, to najprawdopodobniej do dziś nie znalazłbyśmy ruin Troi.

Rekonstrukcja "wizji"

Razem ze swoim współpracownikiem Charlesem Chipiezem archeolog Georges Perrot (1832-1914) przedstawił w 1889 roku rysunkową rekonstrukcję świątyni, sporządzoną na podstawie tekstu Ezechiela; dodatkowe opisy naukowcy zaczerpnęli z Księgi Królewskiej.

Dokładna rekonstrukcja nastęrczyła wiele problemów związanych z jednostkami miary. Jaki łokieć stosował mążjakby ze spiżu? Łokieć babiloński mający 45,8 cm czy egipski o długości 52,5 cm? A może łokieć ów był cechowany według jeszcze innej miary? Prawdę mówiąc jest to nieistotne, bo w każdym przypadku była to budowla ogromna.

Perrot potknął się natomiast na rzeczy, która przy głębszym zastanowieniu nie powinna mu być sprawić niespodzianki:

"Jeżeli przestudiować tekst Ezechiela dokładniej, stwierdzi się, że sama świątynia jest opisana mniej wyczerpująco niż poszczególne dziedzińce wewnętrzne i zewnętrzne, które ją otaczają. Te strefy zewnętrzne nie powinny być właściwie dla proroka tak ważne jak sama świątynia. Na pierwszy rzut oka owa dysproporcja zaskakuje, ale zarazem ma swoje powody".

Autorzy ulegli logice paradaksu: przypuszczalnie, mówili, Ezechiel nie wdawał się w szczegóły dotyczące samej świątyni, ponieważ była

ona tak czy siak znana Izraelitom. Tymczasem należy odwrócić kota ogonem: większość Izraelitów nie wychodziła poza dziedzińce wewnętrzne i zewnętrzne, znali je więc lepiej od samej świątyni, do której nie każdy miał prawo wstępu. Dlaczego więc Ezechiel opisał strefy zewnętrzne tak dokładnie?

Również teolog Rudolf Smend odważył się w minionym stuleciu sporządzić rysunek rekonstrukcji świątyni i dziwił się, że podczas jej mierzenia "poza dwoma wyjątkami, które w istocie wyjątkami nie są (Ez. 40, 5 i 41, 8), uwzględniano tylko długości i szerokości".

Wcale mnie nie dziwi to przeoczenie. Mąż jakby ze spiżu uświadamiał sobie, że po tysiącach niewiele relikwów będzie świadczyło o wysokości. Ważne były tylko wymiary murów głównych, tkwiących w ziemi. Fakt, że Ezechiel nie zapisał danych dotyczących wysokości, obala marzenie teologów, jakoby prorok opisał halucynacyjny obraz budowli, która miała być zbudowana w przyszłości: dla przyszłej budowli bowiem takie dane byłyby niezbędne. Gdyby interpretatorzy tego tekstu wyszli wreszcie z cienia i zaakceptowali fakt, że Ezechiel opisał budowlę rzeczywistą wraz z jej wymiarami, zagadka zostałaby rozwiązana.

Próby rekonstrukcji płaczą się zawsze w sieć przypuszczeń opartych na wierze, a mówiących o tym, że świątynia Salomona w Jerozolimie była jedynym wzorem. Z tego błędu narosły sprzeczności, o których Rudolf Smend pisze otwarcie:

"Pozostałe wersety brzmią niemożliwie: 'w filarach bram', a zresztą byłby to nonsens z rzeczowego punktu widzenia [...] Również w tym przypadku takie stwierdzenie byłoby absurdalne, bo drzwi i przysionek stapałyby się oczywiście w jedno [...] od samego początku wydaje się niemożliwe, żeby na wszystkich bramach był taki przysionek, bo stoły [zarzynano na nich zwierzęta ofiarne - przyp. EvD), od których nie mogły być oddzielone, stały tylko w jednej bramie, we wschodniej [...] gdyby natomiast składano ofiary całopalne, zagrzeszne i ofiary za przewinienia po północnej stronie ołtarza, to nasze miejsce stoi właśnie z tym w sprzeczności".

Przy błędnym punkcie wyjścia trzeba się mocno napracować przy "Ezechielu", nim uda się go wpasować w schemat świątyni Salomona.

Podobnie jak Smend, także teolog i filozof Otto Thenius zdumiał się przy próbie rekonstrukcji świątyni brakiem danych co do wysokości, podziwiał jednak zarazem trzeźwy i dokładny opis:

"Człowiek zwraca uwagę na całkowicie trzeźwy opis, odrzucający wszelkie ozdobniki, a koncentrujący się na poszczególnych wymiarach aż po szerokość bram, i uwzględnia fakt, że według tego opisu można narysować budzący zaufanie szkic, ale tylko szkic. Jeśli chodzi o pytanie, dlaczego Ezechiel nie podał żadnej miary wysokości świątyni, to przyjmując, że jest to wytwór fantazji, nie można znaleźć na nie żadnej odpowiedzi [...]".

Właśnie dlatego, że nie był to wytwór fantazji!

Także teolog Eduard Reuss (1804-1891), czołowy przedstawiciel teologii historyczno-krytycznej, miał trudności z rekonstrukcją:

"[...] Trudności nie do przewyciężenia istnieją także w przypadku innych elementów [...] sześćdziesięciolokciowe słupy są dla nas zagadkowe [...] aby znaleźć 25 łokci szerokości całkowitej, należy

zapewne do wymiarów przejścia i warowni doliczyć również grubość tylnej ściany, która nie jest tu wymieniona [...] co to znaczy: drzwi naprzeciw drzwi albo: od jednych drzwi do innych? Czy należy rozumieć, że drzwi w tylnej ścianie warowni a prowadzące na dziedziniec były zamknięte?"

Thenius trafił dwa razy w dziesiątkę: na podstawie tekstu Ezechiela można narysować plan budowli oraz: przy założeniu, że była to halucynacja, nie da się znaleźć odpowiedzi na pytanie dotyczące braku wymiarów wysokości.

Wszystkie jednak próby rekonstrukcji budowli stoją na chwiejnych podstawach. Wymiary i założenia - na przykład, przy których ścianach stały ołtarze i misy do obmywania - zostały dopasowane do świątyni Salomona z innych źródeł biblijnych.

Mimo paru sprzeczności Księga Ezechiela dostarcza naprawdę użytecznych danych, dających wyobrażenie o tym, co pokazano mu na bardzo wysokiej górze.

Moje hipotezy

I. Świątynia opisana przez Ezechiela istniała.

Opisy Ezechiela - i/albo jego współautorów - nie były wynikiem wizji. Nie był to również ukazany w formie objawienia projekt architektoniczny świątyni, która miała być wzniesiona w przyszłości.

W przypadku wizji rzeczywiste dane dotyczące terenu, na którym miała stanąć świątynia, byłyby bez sensu, tektoniczne wskazówki co do "skarp" czy "skał", które miały wnikać w futurystyczną świątynię - absurdałne. Niedorzeczna byłaby także dokładna lokalizacja potoku "spod bocznej prawej ściany świątyni". Na groteskę zakrawa mi wizjonerstwo ryzykujące twierdzenie o nader płodnych drzewach obwieszonych owocami rosnących nad potokiem czy rzeką, o drzewach, których liście nie więdną. A wszystko to w rejonie Jerozolimy! Poza tym nieprawdą jest, że prorok sam wszystko zapisał - wiedział o tym mąż jakby ze spiżu. Skąd?

To, że w biblijnym tekście zastosowano czas przyszły, wynika wyłącznie z gramatycznego wycucia tłumacza:

"Na obu brzegach potoku będą rosły różne drzewa owocowe; liść ich nie więdnie i owoc się nie wyczerpie; [...] będą rodzić świeże owoce [...]"

Przeciw przyjęciu wizji świadczy również specjalny łokieć, stosowany przez męża jakby ze spiżu. Ezechiel był kaznodzieją i prorokiem, nie zaś architektem. Nie mógł "zaczepnąć" precyzyjnych pomiarów z własnej świadomości czy podświadomości, obca była mu nawet technika miernicza. Bez męża jakby ze spiżu nie byłoby pomiarów świątyni.

Pierwszoosobowa forma relacji Ezechiela świadczy, że jest to relacja naocznego świadka. Kto swojej wypowiedzi odmawia realności, uznaje tym samym swoją książkę za kłamstwo pełne fantazji.

Jak gorliwi egzegeci wypełnią tę próżnię?

W Księdze Ezechiela ani w trakcie ogólnego opisu świątyni, ani miejsca świętego nie wymienia się Arki Przymierza. Gdyby przed-

miotem opisu była świątynia Salomona w Jerozolimie, nie zapomniano by o tej najważniejszej ze wszystkich świętości.

II. Ezechiel opisał zespół świątynny w Chavin de Huantar w Andach peruwiańskich.

Znacznie skromniej niż ludzie, którzy udają, że wszystko wiedzą lepiej - jakby w 573 prz. Chr. byli przy proroku w chwili, gdy miał "wizję" - zbiorę ponad tuzin "przypadków", pozostawiając krytycznym czytelnikom wyciągnięcie wniosku.

Przypadek 1.: Ezechiela przeniesiono w "niebieskim wozie" na nieznaną mu "wysoką górę". Chavin de Huantar znajduje się właśnie na górze, która była nieznaną Ezechielowi aż do chwili jego tam przybycia.

Przypadek 2.: Ezechiel ujrzał, że wznosiło się tam "coś, jakby zbudowane miasto". Prace wykopaliskowe dowiodły, że koło Chavin de Huantar istniała niegdyś duża osada miejska.

Przypadek 3.: Ezechiel opisał świątynię, której fasada główna oraz brama główna były skierowane na wschód. Tak jest w Chavin de Huantar.

Przypadek 4.: Kompleks opisany przez Ezechiela wznosił się na trzech tarasach - tak jak w Chavin de Huantar.

Przypadek 5.: Według relacji Ezechiela na dziedziniec zewnętrzny można się było dostać przez trzy bramy - skierowane na północ i na południe.

Przypadek 6.: "Dziedziniec wewnętrzny", zmierzony przez męża jakby ze spiżu, był kwadratem o długości boków około 50 m. Kiedy wraz z moimi przyjaciółmi z Izraela przeprowadziłem w Chavin de Huantar pomiary, otrzymałem wynik 49,7 m.

Przypadek 7.: Z "dziedzińca wewnętrznego" prowadziły według relacji Ezechiela cztery ciągi schodów na cztery strony świata. Dokładnie tak jak w Chavin de Huantar.

Przypadek 8.: Mąż jakby ze spiżu zmierzył filary między niszami bram - pięć łokci. Według łokcia babilońskiego będzie to 2,29 m, egipskiego zaś - 2,62 m. W trakcie pomiarów taśma miernicza wykazała 2,3 m.

Przypadek 9.: Ezechiel ujrzał wokół na ścianach wewnętrznych i zewnętrznych rzeźby, przedstawiające zwłaszcza cherubiny. Tak jak w Chavin de Huantar.

Przypadek 10.: Według Ezechiela źródło wypływało przy południowej ścianie świątyni. Dziś w Chavin de Huantar strumyczek płynie od południa, zbliżając się do kompleksu budowli przy południowo-wschodnim rogu.

Przypadek 11.: "Woda" z relacji Ezechiela zamieniła się w rzekę, która popłynęła do wschodnich rejonów kraju. Rzeczywiście, w Chavin de Huantar Mosna płynie najpierw na wschód aż do miejscowości Huycaybamba, gdzie wpada do Rio Marańon. Rio Marańon płynie początkowo na północ, kierując się jednak po kilku tysiącach kilo-

metrów dokładnie na wschód do zlewiska Amazonki, która uchodzi do Atlantyku, czyli do "Morza".

Przypadek 12.: Mąż jakby ze spiżu powiedział prorokowi, że rejon, gdzie dopływa rzeka, tętni życiem i jest tam dużo ryb. Opis ten pasuje w zdumiewający sposób do dorzeczy Rio Marańon i Amazonki, największego zlewiska świata.

Przypadek 13.: Mąż jakby ze spiżu wychwalał przed Ezechielem nadzwyczaj urodzajne rejony kraju, gdzie rosły zawsze zielone drzewa, wydające wciąż owoce. Nie można lepiej opisać bogactwa przyrody na brzegach Rio Marańon i Amazonki.

Przypadek 14.: W Chavin de Huantar święta liczba 7 odgrywała równie wielką rolę jak u Izraelitów.

Przypadek 15.: Ezechiel spisywał swoje przeżycia w latach 592-570 prz. Chr. Chavin de Huantar natomiast zbudowano między 800 a 500 r. prz. Chr.! Jeżeli założymy wzmiankowane już odchylenia w datowaniach archeologów, to dwustuletnia tolerancja nadal dopuszcza zgodność czasową - nawet jeśli tekst oryginalny byłby starszy o 200 lat, niż się przyjmuje.

Przypadek 16.: Mąż jakby ze spiżu powiedział Ezechielowi, że jego lud zbudował mu tu nową świątynię. Chavin de Huantar powstało od razu. Bez wzorów.

Znacznie mniej "przypadków" skłoniło Heinricha Schliemanna do rozpoczęcia prac wykopaliskowych na wzgórzu Hisarlik.

Czego nie ma W Chavin de Huantar

Dla porządku wymienię również te dane z Księgi Ezechiela, które nie pokrywają się ze stanem Chavin de Huantar. Tak na przykład u Ezechiela zespół świątynny stoi na planie kwadratu. Być może Chavin de Huantar miało niegdyś również formę kwadratu, trzeba by się tylko dowiedzieć, gdzie znajdowała się wschodnia granica kompleksu, dziś nierozpoznawalna. Świątynia opisana przez Ezechiela była kwadratem o boku długości 50 m. Wymiary te nie zgadzają się z wymiarami Castillo, którego wymiary wynoszą 70 x 72,9 m - stanowią więc tylko prawie kwadrat. Sęk w tym, że nie wiadomo, czy późniejsi redaktorzy korygowali wymiary podane w relacji Ezechiela... aby dopasować świątynię Salomona do "wizji". Na taką możliwość zwraca również uwagę profesor Walther Eichrodt: "O tym, że jednak i tu [chodzi oczywiście o pomiary - przyp. EvD] nie obeszło się bez zmian dokonanych obcą dłonią, mogą świadczyć niektóre cechy stylistyczne [...]."

Oczywiście opisanych przez Ezechiela drewnianych płyt nie ma w Chavin de Huantar. Po co najmniej 2500 latach - nawet gdyby nie było pożaru - z drewna nic nie pozostaje. Nie udało mi się również odkryć ani śladu palm i rzeźb, chyba że parę stylizacji uzna się za obrazy roślin tropikalnych. Moim zdaniem w tekście oryginalnym mogły być

wymienione - poza cherubami - również wizerunki istot ludzko-zwierzęcych, jakie są w Chavin de Huantar. Padły one potem ofiarą autorów przeróbek i cenzorów, ponieważ takie obrazy wydawały się nie na czasie. Pominięto to, co niezrozumiałe. Nic dziwnego, że Księga Ezechiela kończy się tak nagle.

Wokół Ezechiela nadal pełno zdumiewających niejasności. Przed kilku laty na moje biurko trafiła notatka prasowa: W grotach Qumran nad Morzem Martwym odkryto uzupełnienia do tekstu Ezechiela. Pod wszelkie możliwe adresy wysłałem prośbę o możliwość dotarcia do znalezisk. Bez efektu. Nawet osoba o najlepszych zamiarach musiała pomyśleć sobie, że nowoodkryte teksty mogą zawierać informacje, których nie należy zawierać opinii publicznej. Kilka słynnych zwojów znad Morza Martwego przechowuje się w specjalnej hali muzeum w Jerozolimie. Nie wiem tylko, dlaczego architekt zaprojektował ową Świątynię Księgi w formie UFO. Może myślał o tym samym co ja - o wspomnieniach z przyszłości.

Ze Wschodu do Ameryki Południowej

Wiem, że mimo groteskowego nagromadzenia "przypadków" nie przytoczyłem jeszcze żadnego dowodu na prawdziwość moich hipotez. Gdzieś na Ziemi istnieje być może inna świątynia, pasująca znacznie lepiej do opisu Ezechiela niż budowle Chavin de Huantar. Mam przynajmniej nadzieję, że spowoduję, iż wizje wozów i świątyń zaczną się analizować w bardziej realistyczny sposób niż dotąd.

Mąż jakby ze spizu miał ważne powody, aby przenieść Ezechiela drogą powietrzną do Ameryki Południowej.

Gdzieś między rokiem 1000 a 500 prz. Chr. istoty pozaziemskie pojawiły się znowu. Zwabiły do Ameryki Południowej grupę Izraelitów - byli to Nefici z Ksiggi Mormona. Poinstruowali imigrantów, dali im kompas, chłonili w trakcie podróży.

Grupa ta została skłoniona, aby w Ameryce Południowej zbudować świątynię podobną do świątyni Salomona. Pod "boskim" kierunkiem Nefici wraz z pomocnikami zabrali się do dzieła. Po zakończeniu budowy jeden z "bogów", mąż jakby ze spizu, poleciał ładownikiem do Babilonii, wylądował nad rzeką Chebar, gdzie Ezechiel żył wraz z innymi Izraelitami w niewoli. Widząc zdumiewający latający pojazd wszyscy uciekli, z wyjątkiem proroka. Mąż jakby ze spizu poznał po zachowaniu Ezechiela, że jest to duchowy przywódca grupy. Wziął go do Chavin de Huantar, gdzie pokazał mu świątynię ukończoną właśnie przez Nefitów.

Ale po co to wszystko?

Aby przetrzeć drogę do przyszłości! Adresatami jesteśmy właśnie my. Istoty pozaziemskie wiedziały, że potomkowie Ezechiela - kiedyś, w dalekiej przyszłości - odkryją i poznają te wszystkie zadziwiające związki. W zarnierzchłej przeszłości pozostawili bombę zegarową przeznaczoną dla nas.

Już słyszę narzekania, że jeśli istoty pozaziemskie przebywały na Ziemi w czasach babilońskich, to przecież w literaturze i sztuce tego

rejonu musiały pozostać jakieś ślady mówiące o ich obecności. Ależ pozostały! Popelniamy wielki błąd, nie biorąc tych wszystkich przekazów dosłownie, nie interpretując tych obrazów z punktu widzenia nowoczesnej techniki.

Nigdy nie zapomnę długiej nocy, którą zaprzyjaźnieni archeolodzy spędzili u mnie w domu.

Ponieważ często nie czuję się najlepiej na polu archeologii, zadawałem heretyckie pytania. Co robi się na przykład ze znaleziskiem archeologicznym nie pasującym w żaden sposób do schematu, na przykład z pozostałościami techniki, które wywróciłyby do góry nogami wszystkie dotychczasowe ustalenia archeologii? Znaleziska techniczne z prehistorii? Wzięto byje za głupi kawał kolegi-archeologa. I co dalej? Gdyby znalezisko okazało się "pozaziemskiego pochodzenia" albo nie pasowałoby do ustalonych już w danym regionie kultur, zostałyby przemilczane. Śmiano się z point, ale mnie zaczęło świtać, jak bardzo nieodpowiedzialne jest, nawet w żartach, nastawienie, że nietykalnej doktryny nie wolno obalać.

Przeczuwał to już mąż jakby ze spiżu, mówiąc do Ezechiela:

"Synu człowieczy! Mieszkasz pośród domu przekory, który ma oczy, aby widzieć, a jednak nie widzi, ma uszy, aby słyszeć, a jednak nie słyszy, gdyż to dom przekory". (Ez. 12, 2)

PS Na początku tego rozdziału Hans Seyle uwolnił mnie od ataku stresu. Na koniec chciałbym więc jeszcze raz przytoczyć słowa mądrego profesora:

"Tak więc teorie są potrzebne. Pobudzają one krytykę, ale wychodzi to tylko na dobre, ponieważ ta, wydobywając na światło dzienne słabe punkty, wskazuje, w jakim kierunku należy prowadzić dalsze badania. Wartościowa jest nawet ta teoria, która nie ze wszystkimi znanymi faktami pozostaje w zgodzie, jeśli tylko pokrywa się ona z faktami lepiej niż jakakolwiek inna".

IV. Patrząc z Kolumbii: strategia bogów

Bóg stworzył człowieka, ponieważ rozczarował się małpą. Z dalszych eksperymentów zrezygnował.

Mark Twain (1835 -1910)

PROSZE PRZYJECHAC NADAL SLUZE POMOCA STOP
DALSA KORESPONDENCJA BEZ SENSU POZDROWIENIA
DR MIGUEL FORERO

Ten telegram zamknął długą serię listów, jakie wysyłałem przez kilka ostatnich miesięcy do stolicy Kolumbii, Bogoty.

Powodem korespondencji była notatka prasowa, którą przeczytałem 1 lutego 1981 roku: "Kultura Indian w dżungli". Napisano w niej, że w kolumbijskiej dżungli odkryto ostatnio tajemnicze miasta, których budowniczości wiedzieli więcej o związkach Ziemi z Kosmosem niż my dzisiaj. Co ważniejsze, nie twierdził tak dziennikarz, lecz kierownik prac wykopaliskowych, profesor Soto Holguin. Archeolodzy są powściągliwi w wydawaniu wyroków i niezbyt chętnie stają na świeczniku.

Właśnie dlatego zaintrygowało mnie pytanie: czy nosiciele wymarłej kultury indiańskiej mogli wiedzieć więcej o związkach Ziemi z Kosmosem niż my, jakże rozgarnięte dzieci chylącego się ku końcowi drugiego tysiąclecia nowej ery? Może w Kolumbu znajdę kolejny kamyk do mojej teorii.

Co to za miasta w dżungli i jak stare indiańskie plemiona je wzniosły? Przeczytałem, że obszar wykopalisk jest podobno zamknięty przez wojsko. Czy można się tam w ogóle dostać? Pytania te stawiałem w korespondencji wysyłanej z niezwykłą wytrwałością do nieznanego mi profesora Soto Holguina z Universidad de los Andos. Wszystkie listy były identycznej treści i wszystkie pozostały bez odpowiedzi. Może profesor ma coś przeciwko mnie. W końcu zwróciłem się do adwokata, dr. Miguela Forero, z którym prowadzę korespondencję od lat. Wkrótce przyszedł telegram. Jeżeli Forero telegrafował, że warto przyjechać do Kolumbii, to na pewno coś w tym jest. Prawnicy wiedzą zwykle, co mówią. W niedługim czasie Bogota znalazła się w rozkładzie moich południowoamerykańskich wojaży. Ustaliłem, że w podróży powrotnej z Peru zatrzymam się w stolicy Kolumbii.

Forero czekał na mnie na lotnisku razem ze swoim niezwykle inteligentnym sześciolatkiem synem Juanem Carlosem. Podczas półgodzinnej jazdy taksówką do "Hilтона" przeszedłem do sprawy:

- Czy istnieją miasta w dżungli?
- To, czego pan szuka, nazywa się Ciudad Perdida, Zaginione Miasto. Znajduje się w dziewiczej puszczy Sierra Nevada, sześć dni drogi od Santa Marta.
- Dlaczego nic więcej na ten temat nie wiadomo?
- Obszar wykopalisk jest odcięty przez wojsko od reszty świata, archeolodzy chcą mieć spokój.
- Czy ma pan jakiś kontakt z profesorem Soto?
- Jeszcze nie, ale pewnie niedługo będę miał.
- Jak szybko?

Trzeba jeszcze poczekać cierpliwie cztery albo pięć dni, stwierdził dr Forero. Poza profesorem Soto musi jeszcze nawiązać kontakty z wojskiem, bo bez zezwolenia ze sztabu nie będę mógł pojechać do Ciudad Perdida.

Cztery albo pięć dni? Było mi to zupełnie nie na rękę. Czas to jedyna rzecz, której nie można ani zatrzymać, ani pomnożyć. Na mojej twarzy musiał się odmalować zły humor, bo Forero od razu zaczął się zastanawiać, co ze mną począć.

- San Agustin! Czy był pan już w San Agustin?

Byłem. Korciło mnie, żeby powiedzieć: "Oczywiście!", bo Ameryka Południowa stała się już dla mnie quasi-ojczyzną bogów. Ale w San Agustin byłem ledwie jeden dzień, a to zdecydowanie za krótko, jak na miejscowość pełną nie rozwiązanych zagadek przeszłości. Przyjąłem propozycję i tego samego wieczora zarezerwowałem bilet na lot do Pitalito, miasteczka oddalonego o 500 km od Bogoty.

San Agustin - nie tylko strata czasu

Nazajutrz o drugiej po południu trzysilnikowy odrzutowiec towarzystwa lotniczego Aeropesca wylądował na położonym 1730 m n.p.m. nowiuieńkim lotnisku. Gdyby zapytano mnie o pierwsze wrażenia, a przede wszystkim o cechy szczególne taksówkarzy z Pitalito, nie musiałbym zastanawiać się ani chwili: wszyscy mieli sumiaste wąsy! Nie dałem się zaskoczyć słowotokiem wąsaczy, lecz obejrzałem sobie uważnie ich pojazdy. Moim kierowcą został Hernandez - ze względu na swój landrover budzący szacunek.

Do San Agustin z lotniska jest godzina jazdy wspaniałą drogą biegnącą przez pełne zieleni i błękitu górskie krajobrazy. Wieś leży tylko o kilka kilometrów od Magdaleny, największej rzeki Kolumbii, liczącej 1550 km długości. W czasie jazdy widać ją z prawej, jak lśni w słońcu w przerażającej otchłani.

Nędzna wioszczyna pozostałaby zupełnie nieznana, gdyby przy pomocy jej nazwy nie ukuto terminu dla słynnych megalitów - "kultura San Agustin".

Hernandez był rozczarowany, kiedy pożegnałem się z nim przed oddalonym nieco od wsi hotelem "Yalconia", bo przecież niezwykle intensywnie zachwalał się w trakcie jazdy jako najlepszy z przewodników. Turyści mają zwyczaj wynajmować przewodników. Hernandez zupełnie nie potrafił zrozumieć, że chcę być sam.

Who was who?

Hiszpański mnich Juan de Santa napisał w 1758 roku księgę Maravillus de le Naturuleza (Cudu natury). Informował w niej obrazowo o tajemniczych kamiennych posągach, czczonych przez Indian w dolinie San Agustin.

99 lat później włoski generał Codazzi, ówczesny szef Komisji Geograficznej Kolumbii, podróżował w rejonie San Agustin. Codazzi był niezłym rysownikiem, naszkicował więc trzydzieści cztery posągi i cztery ołtarze. Jako wojskowy z wykształcenia zrobił to dokładnie jak kartograf: narysował plan terenu i zaznaczył położenie posągów.

W 1857 roku Codazzi stał tu gdzie ja i tak samo jak ja łamał sobie głowę nad tym, co widział. Najpierw sądził, że posągi są wizerunkami reprezentantów "transcendentnego świata", potem spróbował przyporządkować kamienne twarze współrzędnym systemu religijnego, ostatecznie jednak nie zdołał wyjaśnić ani sensu, ani celu kompleksu. To żaden

wstyd, bo nie udało się to dotąd nikomu.

Jest rok 1892. Słynny niemiecki archeolog, geolog i podróżnik-badacz Alphons Stubel (1835-1904) uwiecznił na rysunkach kolejne posągi. Rysunki opublikował w swojej książce Vulkanberge von Kolumbien (Wulkaniczne góry Kolumbii). W ten sposób zwrócił na San Agustin uwagę niemieckiego świata nauki.

W 1911 r. przyjechał tu profesor Karl Theodor Stopel z Heidelbergu i jako pierwszy polecił sporządzić gipsowe odlewy posągów. Stopel ustalił, że większość rzeźb wykonano w piaskowcu, granicie lub skałach wulkanicznych. Z niemiecką dokładnością odkrył - również jako pierwszy - podziemne korytarze w San Agustin. Napisał o nich:

"Ta sama świątynia jest wyłożona po obu stronach potężnymi kamiennymi płytami i tak samo, jak poprzednia, nakryta ogromną płytą z kamienia. Udało mi się przepęznąć między korzeniami i dotrzeć do środka. Byłem zaskoczony widokiem korytarza prowadzącego na południowy zachód, prawdopodobnie do innych świątyń, których położenie jest nieznanne po dziś dzień. Chciałem zbadać przejście dokładnie, ale zabrakło mi czasu. Dotarłem na około 30 m, ale nie udało mi się skłonić moich towarzyszy, aby szli dalej. Można jednak przypuszczać na podstawie zagłębień w ziemi, mających nierzadko wiele metrów głębokości a znajdujących się już w nieprzebytym lesie, że świątynie te miały podziemne połączenia".

Dziwne. Dziś, ponad 80 lat później, nikt nie interesuje się podziemnymi przejściami, łączącymi świątynie i posągi. Czyżby uległy zapomnieniu? Czy kryły tajemnice, których nie można było przekazać opinii publicznej? Czy przejścia nie dawały się dopasować do schematu, który sklecono w manufakturach archeologii dla wyjaśnienia cudu San Agustin? W każdym razie renomowana badaczka historii Indian,

Felicitas Barreto, która spędziła pewien czas w San Agustin, powiedziała mi, że istnieją tam sztucznie stworzone podziemne przejścia wielokilometrowej długości.

Dopiero w 1912 roku etnolog Konrad Theodor Preuss (1869-1938), wówczas dyrektor Museum für Volkerkunde w Berlinie, sporządził pierwszą naukową inwentaryzację San Agustin. Pomierzył wszystko, co wpadło mu w oczy, otworzył kilka grobów, przeszukał ogromne kamienne sarkofagi... i zdumiał się, bo były puste:

"Strony świata, na które wskazywały sanktuaria otwartą stroną, są zbyt różne, żeby wyciągać stąd jakiegokolwiek wnioski co do znaczenia postaci; również groby nie mają jednolitego ukierunkowania, nie można też ustalić położenia głowy zmarłego, gdyż po szkieletach nie pozostało ani śladu... Trzeba przyjąć, że nieliczne groby kamienne, a mianowicie zawierające kamienne trumny, były przeznaczone tylko dla znacznych osobistości. Należy sądzić, że zwłoki rozpadły się w proch, bo nie znalazłem w nich najmniejszego ich śladu".

To też jest bardzo dziwne! Znów mamy dwie możliwości: albo rabusie grobów pracowali tak doskonale, że nie pozostawili żadnych śladów albo do sarkofagów nigdy nie złożono zmarłych.

Puste groby z San Agustin przywiodły mi na pamięć słynne dolmeny z francuskiej Bretanii. Dolmeny są to sztuczne wzgórza, oznaczone

potężnymi kamiennymi płytami bocznymi i jedną (albo więcej) kamienną pokrywą. Często dolmeny obsypywano ziemią tak, że wyglądały jak lekkie wzniesienia. Specjaliści w dziedzinie prehistorii są zdania, że w przypadku dolmenów chodzi o groby. Jest tylko jeden problem: nie znaleziono w nich szkieletów.

Czy znaleźliśmy się w ślepym zaułku? Czy to, co wygląda na groby, nigdy nimi nie było - ani w Bretanii, ani w San Agustin? A może sarkofagi kryły coś, co współczesnym zdawało się niebezpieczne, zostało więc zakopane? A może chodziło o prezenty dane od "bogów", o pozostałości nieznannej techniki? A może późniejsze pokolenia oceniły inaczej niebezpieczeństwo przedmiotów i wyciągnęły je z ukrycia? A może rabusie grobów dowiedzieli się o ich wielkiej wartości i ukradli co było do ukradzenia

Profesor Preuss mianował posągi z San Agustin "królową Księżycą i "bogiem Słońca". Był przekonany, że w wielu postaciach kamieniarze chcieli zawrzeć jakieś "drugie ja". Myśl ta jest nader zwodnicza, bo niektóre posągi są dwupiętrowe: postać zasadnicza ma drugą postać na plecach. Czyżby jedno ja w drugim ja? Nie bardzo wiem, o co chodzi.

Czy woda jest kluczem do tajemnicy?

Kamienne osobliwości San Agustin podzielono na cztery rejony:

- park archeologiczny z "lasem posągów";
- "źródło obmycia nóg" oraz "wzgórze obmycia nóg";
- "wzgórze boskich wizerunków", sztuczny taras w kształcie podkowy.

El Tablon i La Chaquira to dwa punkty wznoszące się nad Magdaleną, gdzie znajdują się posągi i obrazy wykute w skale.

Wieczorem, w hotelu, przyszła mi do głowy dziwna myśl, którą od razu sprawdziłem wyciągnąwszy mapę. Potwierdziło się, co myślałem:

W całej Ameryce Południowej San Agustin jest jedynym miejscem, z którego wody płyną w trzech kierunkach: do Morza Karaibskiego, do Pacyfiku i do Amazonki.

Magdalena, mająca swoje źródła nad San Agustin, uchodzi do Morza Karaibskiego. Kilka kilometrów dalej - z leżącego na wysokości 4000 m n.p.m. Purace - wypływają strumienie uchodzące do Rio Patia, która z kolei ma ujście w Oceanie Spokojnym, w Zatoce Tumaco. Poza tym są tu jeszcze dwie rzeczki - Rio Orteguaza i Caqueta, mające źródła w okolicach San Agustin - rzeczki te wpadają do Rio Yaro; na terenie Brazylii rzeka ta nazywa się już Rio Japura i uchodzi do Amazonki. Sieć tych rzek to doprawdy zadziwiająca hydrografia! Czy to nie położenie geograficzne uczyniło z San Agustin miejsce pielgrzymek?

Wystarczy sobie tylko wyobrazić, że Indianie z najróżniejszych regionów szli ku źródłom rzek, aby ujrzeć, skąd płynie woda - dawczyni życia. Indianie z rejonu Pacyfiku, znad Amazonki i z kolumbijskiego obszaru przedandyjskiego spotkali się oczywiście w San Agustin! Czy to "spotkanie narodów" wyjaśnia różnorodność postaci w "lesie

posągów" w San Agustin? Czy każda indiańska społeczność w dorzeczu swojej rzeki na swój sposób składała kiedyś ofiary swoim bogom, aby zawrzeć z nimi przymierze zapewniające stały dopływ wody? A może Indianie znad Amazonki złożyli do jakiegoś sarkofagu kosztowny prezent, który następnie ich koledzy znad Pacyfiku ukradli, zakopali w innym miejscu albo zniszczyli?

Był to taki spontaniczny pomysł przy wieczornej whisky. Kolejne dni jednak wykazały, że nie był wcale głupi.

Las pełen znaków zapytania!

Szedłem sobie przez "las posągów". Jakaż różnorodność postaci! Mniej więcej 200 robotopodobnych, patrzących tępo przed siebie rzeźb z Wyspy Wielkanocnej na Oceanie Spokojnym jest nudnym panoptikum w porównaniu z bogactwem pomysłów San Agustin. Do dziś odkryto tu 328 monumentów.

Mijam osobę, która - mając tylko 1,15 m wzrostu - siedzi przed pniem drzewa. Postać ta ma szeroki, prawie zupełnie rozplaszczony nos, usta przerażające jak Drakula, ręce wzniesione jak w błogosławieństwie nad reliefem jakby piramidy schodkowej.

Na porośłym mchem, ułożonym z kamieni wzgórzu króluje - czy to reszta korpusu? - monolit o księżycowej twarzy z ogromnymi brwiami i paszczą, z której znów wystają zęby jak u Drakuli - dzieło całkiem współczesne, pasowałoby nawet do ogrodu przed Urzędem Kanclerskim w Bonn.

Postać o migdałowych oczach wkłada do ust coś przypominającego embrion. Wydaje się, że szerokie nosy i usta jak u wampira są naśladownictwem charakterystycznego pierwowzoru. Pierwowzoru, który był tu bardzo rozpowszechniony.

W parnej dżungli pod daszkiem z falistej blachy przysadzista postać liże lody, przepraszam!, między przerażające kły wsuwa sobie przysmak - a pada na nią podejrzliwy wzrok innej, wścieklej twarzy.

Parada demonicznych bożków!

Kolejny kamienny wizerunek zmusza mnie jednak do wycofania się z głupiej uwagi o paradzie bożków, ponieważ na tę postać jest oficjalne określenie: "Biskup". Posąg ma ponad cztery metry wysokości, ludzka twarz o smutnych, wielkich oczach wzbudza wprawdzie respekt, lecz po dłuższym zastanowieniu jest dla mnie niezrozumiałe, cóż biskupiego jest w tej kamiennej postaci. Także biskup dusi w rękach małe dziecko ze zwisającą głową i rączkami. Ta zdumiewająca istota sprawia wrażenie, że czerpie radość z bliskiej rozkoszy rozgniatania małego w zębach. To biskupowi nie przystoi.

Dziesięć metrów za tym "dostojnikiem kościelnym" wygląda z trawy trójkątna czaszka. Ogromne oczy, ogromny nos, ogromna paszcza i ogromne kły są dowodem, że należy do obcej rasy. Również ta głowa ma swojego strażnika - ptaka wyglądającego jak orzeł. Dumny drapieżnik żre węża, wijącego się na pełnym brzucha ptaka... Symbol, że latające istoty dawały sobie radę nawet z wijącym się po ziemi, najjadowitszym ze wszystkich stworzeń?

A może wraz z wężem orzeł przekazał najserdeczniejsze życzenia z Meksyku? Wedle informacji uzyskanych przez niemieckiego etnologa Horsta Nachtigalla odkryto tam podobny wizerunek:

"Orzeł z wężem w dziobie z San Agustin ma zadziwiający odpowiednik w meksykańskiej rzeźbie kamiennej. Dupaix [badacz z zeszłego stulecia - przyp. EvD] w trakcie swojej drugiej wyprawy do Meksyku odkrył w ermitażu w La Soledad w dolinie Oaxaca kamień o powierzchni mniej więcej jednego metra kwadratowego, na którym wyobrażono taką samą scenę z orłem, trzymającym w szponach i dziobie węża [...] Taką samą scenę przedstawia dziś godło Meksyku".

Połączenia bezpośrednie

To wspaniałe i nader interesujące - lecz między Oaxaca w Meksyku, gdzie stoi kamienny orzeł z wężem w dziobie, a San Agustin jest przecież około 3000 km w linii prostej! Możliwe, że jedna kultura wywierała wpływ na inną, że Indianie wędrowali stąd tam, stamtąd tu, ale możliwe jest również to, że powstały pewnego rodzaju pendants, odpowiedniki, ponieważ ten sam wizerunek - orła zabijającego węża - widziano kiedyś i w Meksyku, i tu, w Kolumbii.

W pobliżu posągu orła okazałe wzgórze grobowe jest otoczone ponad trzydziestoma monolitami. Dolmen stojący w ich środku jest dokładnie taki sam, jak we Francji: dwie postacie i dwa menhiry dźwigają kamienną płytę dachu. Obie istoty strzegące grobu trzymają w rękach maczugi - a może topory? - są w hełmach, a nad ich głowami unoszą się twarze sprawiające wrażenie, jakby płytę kryjącą dolmen trzymały w locie. Między strażnikarni a ustawionymi za nimi menhirami stoi niezgrabna postać trzymająca w rękach naszyjnik, z którego zwisa czaszka.

W San Agustin jest wiele takich masywnych dolmenów, potężnych, monolitycznych, granitowych dzieł. Na przykład kamienna płyta o długości 4,38 m, szerokości 3,6 m i grubości 30 cm spoczywa, jakby była nieważka, na dwóch menhirach wznoszących się na 2,5 m. Takich ciężarów nie podnosi się bez dźwigu, bez rusztowań. A może twórcami "lasu posągów" byli Indianie, ale nie tak prymitywni, za jakich ich uważamy. Zabrali się do dzieła dysponując - tak jak budowniczowie angielskiego Stonehenge czy francuskiego Carnac - doskonałą techniką, bo inaczej nie dałoby się poruszyć tak wielkich mas kamienia w górzystym terenie. Aha, jeszcze pointa na marginesie: w okolicach San Agustin prawie nie ma granitu! Czy więc rzeźby zrobiono z materiału importowanego? Jak?

Często pod dolmenem znajdują się sarkofagi wykute z jednego bloku granitu a przypominające wielkie wanny. W jednej z takich wanien spoczywa jeszcze kamienna postać. Pytania: Czy sarkofagi były pierwotnie pojemnikami na boskie postacie, nie zaś na ciała zmarłych władców? Czy ludzie zamykali w sarkofagach kamienne reprodukcje z nadzieją na pozyskanie łaski bogów? Czy tak bardzo obawiano się ich gniewu, że wizerunki te ukrywano pod ziemią?

Kult z kultu

Także kelnerzy z San Agustín wspaniale reklamują miejscowe osobliwości.

Jednego popołudnia z ciężkich chmur lunął tropikalny deszcz; nie były to krople - lało jak z cebra. Woda pluskała o dachy dolmenów, wytryskując w górę fontannami. Jak od tysiącleci myła posągi i biła w skóropodobne liście drzew tropikalnych. Ziemia parowała.

Rozmiękłymi żwirowymi ścieżkami dotarłem do hotelu przemokły do suchej nitki i usiadłem przy kominku - trzaskający ogień suszył mnie od zewnątrz, whisky rozgrzewała od środka.

W notesie miałem to zaznaczone już dawno, ale teraz kelner zachęcił mnie jeszcze gwałtownymi gestami opisującymi wielkość tego miejsca, do tego mówił z ogromną swadą, że w żadnym razie nie powinienem rezygnować ze zwiedzenia "źródła obmycia nóg", że jest to cud sam w sobie, labirynt kanałów i zbiorników na wodę, zdobiony reliefami przedstawiającymi zwierzęta i ludzkie twarze, że jest to prawdziwa zagadka, on zaś jest bardzo ciekaw, co ja na to wszystko powiem.

Z początku nie powiedziałem nic - zaniemówiłem, skierowawszy zdumione oczy z pomostu składającego się desek i schodków na rozciągający się w dole kamienny cud.

Mniej więcej na powierzchni 300 m² w spłaszczonej, brązowawej skale wykuto ręcznie skomplikowaną sieć kanałów różnej szerokości, wąskich rynien, zagłębień, wijących się w kamieniu jak węże, i regularny układ mniejszych i większych zbiorników, prostokątnych i okrągłych. Na skale i na brzegach zbiorników wiją się reliefy przedstawiające jaszczurki, salamandry i małpopodobne zwierzęta.

Ogarnąłem wzrokiem trzy prostokątne zbiorniki główne oraz ponad 30 zupełnie niepodobnych do siebie niezależnych płaskorzeźb. Przypominające labirynt kanały na wodę są niezliczone, ale jej przepływ można zaobserwować: płynie ona spadając z jednego kanału do drugiego, kontynuując swój bieg, gdy tylko osiągnie pewien poziom. Największy zbiornik ma 3,2 m długości, 1,4 m szerokości i 81 cm głębokości.

W przewodniku, wydanym przez Narodowy Instytut Antropologiczny Kolumbii, napisano:

"Wszystko wskazuje na to, że chodzi o miejsce uświęcone i przeznaczone prawdopodobnie do obrzędów religijnych i kąpiei rytualnych. Widać trzy zbiorniki na wodę na różnych poziomach i różnie wykonane, odpowiednio do hierarchii społecznej: zbiornik ozdobiony najwspanialej był zapewne przeznaczony dla wodzów i kapłanów, drugi, skromniej zdobiony, dla pozostałych osobistości, trzeci, najprostszy, dla ludu".

Niemiecki archeolog H. D. Disselhof stwierdza dość odważnie:

"Nie trzeba mieć zbyt wiele fantazji, aby przypuszczać, że chodziło tu o kult wody i płodności".

Ostrożniej klasyfikuje labirynt jego kolega, Horst Nachtigall:

"Perez de Barradas [kalumbijski archeolog- przyp. EvD] myśli o kulcie wody i płodności sądząc, że zbiorniki i rynienki musiały

służyć do zbierania krwi ofiar z ludzi - ale tego nie można ani dowieść, ani odrzucić. Istota tego kompleksu pozostaje więc nadal nieznaną".

Słowo prawdy! Jak szybko archeolodzy załatwiają dany problem pierwszym lepszym kultem, kiedy nic rozsądnego nie można wymyślić. Jak szybko prowadzi na manowce ukute stantepede pojęcie katalogowe - jak na przykład "źródło obmycia nóg"!

Kombinat metalurgiczny w dżungli

W tym konkretnym przypadku konieczna jest współpraca interdyscyplinarna. Być może metalurg dawno już by się zorientował, że układ kanałów, rynienek i zbiorników wybornie nadawał się do oddzielania od siebie i oczyszczania płynnych metali różnego rodzaju. Jeżeli uda się to ustalić - a czemu nie? - wówczas okaże się, że w San Agustin nie chodziło wcale o "obmywanie nóg", lecz o metalurgię stosowaną: płynny metal spływał ze zbiornika do zbiornika, część cięższa opadała na dno, lżejsza przemieszczała się dalej, zanieczyszczenia i szlaka zatrzymywały się w "filtrach" okrągłych zbiorników i wężykowatych rynienek - jednym słowem była to rafineria wykuta w skale.

"Źródło obmycia nóg" nie jest unikatem, czymś jednostkowym. Widziałem już coś podobnego - 2800 km w linii prostej stąd, w Boliwii na El Fuerte.

Goły szczyt El Fuerte znajduje się około Samaipata, niewielkiej indiańskiej wioski w boliwijskiej dżungli, pięć godzin jazdy samochodem od Santa Cruz.

Szczyt wygląda jak piramida wzniesiona ludzką ręką. Z dołu do góry biegną dwie równoległe linie. Jeżeli puścimy wodze fantazji, to można będzie sobie wyobrazić, że są to wyrzutnie startowe skierowane w niebo. Na górnym końcu "rampy", na szczycie, El Fuerte się wypłaszcza: właśnie tu znajduje się dublet "źródła obmycia nóg" - labirynt zbiorników, rynienek, kanałów, wijących się węzów i postaci w nieco większej skali niż w San Agustin.

Najistotniejsza różnica polega na tym, że na El Fuerte, w najwyższym miejscu wzniesienia, nie było źródła a więc i wodotrysków - tymczasem w San Agustin kwitł kult wody i płodności.

Dlaczego Indianie stworzyli tak wielkim nakładem pracy to dzieło na szczycie?

Na pomysł, pozwalający rozwikłać ten problem, nie wpadłem ja, lecz inżynier Joseph Blumrich, który przez wiele lat kierował wydziałem konstrukcyjno-projektowym NASA w Huntsville. Razem z nim odwiedziłem przed paru laty El Fuerte. Stojąc przed kamennym labiryntem Blumrich wysunął przypuszczenie, iż służył on być może do przetapiania metalu.

Zdjęcia z San Agustin i z El Fuerte mówią same za siebie. Nie jest już istotne, czy archeolodzy zaakceptują hipotezę "metalurgiczną", czy nadal kurczowo będą się trzymać jakiegoś wątpliwego kultu. Rzecz w tym, że fotografie dowodzą, iż kultury El Fuerte i San Agustin mają wiele wspólnego - mimo odległości, braku dróg, mimo dzielących je

gór i tropikalnych lasów. I jeszcze coś: możliwe było połączenie San Agustin i El Fuerte drogą wodną. Indianie z El Fuerte mogli płynąć z prądem Rio Mamore, wpadającej do Rio Madeira, której ujście do Amazonki znajduje się poniżej portowego miasta Manaus. Płynąc tym szlakiem zwinne łodzie mogłyby dopłynąć na wiosłach aż do Rio Japura, której źródła znajdują się w rejonie San Agustin.

Mimo teoretycznie możliwego połączenia drogą wodną, nie starcza mi fantazji, aby wyobrazić sobie, że wykorzystywano je w praktyce. Amazonka bowiem ma tyle odnóg, że można się w nich doszczętnie zagubić. Żeby dotrzeć do celu, indiańscy wiosłarze musieliby mieć ze sobą niezwykle dokładne mapy. A kto zajmował się wówczas kartografią? Dopiero dziś zdjęcia satelitarne z wysokości 300 km pozwoliły na stworzenie dokładnej mapy dorzecza Amazonki.

Przed sobą mamy jeszcze interesujące i ważne zadanie: zbadać, jak doszło do powstania dubletów w San Agustin i na El Fuerte.

Drugie ja

Wiele godzin spędziłem przed i nad "źródłem obmycia nóg", obserwując turystów, dziwiących się kamiennym labiryntom i odchodzących z przekonaniem, że widzieli miejsce, gdzie Indianie myli nogi. Potok Quebrada de Lavapatas jak przed wiekami będzie po wieczne czasy chichotać i szumieć, przepływając obok tego zadziwiającego dzieła.

Po nie kończących się niemal schodach wspinam się na "wzgórze obmycia nóg". Tu, na sztucznym plateau archeologia odkryła najstarsze ślady, sięgające 650 r. prz. Chr. Datowanie to uzyskano dzięki metodzie C - 14 przeprowadzonej na kościach i relikwach drewnianych, znalezionych w pobliżu poprzewracanych posągów. Za pomocą tej metody, pozwalającej datować jedynie znaleziska organiczne, nie można niestety ustalić, czy kamienne rzeźby pochodzą z tego samego okresu, czy są może starsze.

Na górze, na sztucznie spłaszczonym wierzchołku, stoi "Drugie ja", "El doble yo", przedstawione w ludzkiej postaci z szerokimi, prostokątnymi ramionami i rękoma skrzyżowanymi na piersi. Z okrutnej twarzy szczerzą się pod szerokim nosem cztery złe kły, z głębokich oczodołów surowe spojrzenie leci gdzieś w dolinę. Głowę obejmuje ciasny hełm.

Jakby za przykładem torbaczy, tak licznych na Ziemi w okresie kredy, kamienna postać ma na plecach zwierzę - "drugie ja". Archeolodzy mówią, że jest to jaguar, aleja niestety - podobnie jak inni, których o to pytałem - nie potrafię w tej postaci rozpoznać jaguara: prostokątną czaszkę uciska niezgrabny grzebień, prawie tak duży jak głowa. Czy tak, choćby z daleka, wyglądają jaguar? Nawet w stylizacjach starożytni rzeźbiarze byli bliżsi oryginału. Słyszałem, jak jeden z turystów pozwolił sobie na niesmaczny żart: "Ojciec Otto ze swoim dzieckiem".

Tuż obok stoi kolejny "Otto", jeszcze bardziej niesamowity i zagadkowy od prominentnego sąsiada: twarz jest abstrakcyjna, skośne oczy nad szerokimi ustami, z których wystają obowiązkowe zęby jak

u wampira. Nawet dysponując najbujniejszą fantazją nie można wyjaśnić, co za przedmiot trzyma ów "Otto" w lewej ręce. Nad tą okrutną twarzą znajduje się druga "czaszka", kształt ten jednak może przedstawiać również coś zupełnie innego.

Fascynujące jest to, co znajduje się między obiema postaciami. Jest to monstrum wykute z jednego bloku kamienia, określane przez stosowną literaturę mianem "krokodyla". Pierwszy raz widzę rozdeptanego krokodyla ze skrzydłami.

Nawet jeśli jest to stylizacja - znamy przecież subtelne stylizacje stosowane przez starożytnych rzeźbiarzy - to krokodyl miałby paszczę wydłużoną, nie zaś pysk na całą szerokość ciała. Co okazałoby się jednak, gdybyśmy zechcieli na próbę zinterpretować to coś z punktu widzenia naszej współczesnej wiedzy technicznej? Wówczas rozpoznalibyśmy opływowe urządzenie do zasysania powietrza (nos), dwa otwory obserwacyjne dla pilotów, a z lewej i z prawej pozostałości po skrzydłach. Bezczelność? Jeżeli "bogowie" zainspirowali Indian swoim szybkim jak strzała ładownikiem, mógłbym zrozumieć zastraszonych rzeźbiarzy, którzy przedstawili ów niebiański wehikuł jako zdeformowanego krokodyla. Papuasi z Nowej Gwinei jeszcze dziś uwiecznialiby samolot Concorde jako "istotę" z zakrzywionym dziobem i rozkraczonymi nogami, spadającą lotem nurkowym na swoją ofiarę.

Jaki to ma związek z "drugim ja"? Bez teorii Freuda i jego epigonów nie wolno badać psychologicznych głębi i mieć schizofrenię. Dawni artyści stworzyli stylizowane wizerunki tego, co widzieli i przeżyli.

Znak szczególny: zęby jak u Drakuli

Po drugiej stronie Alto de Lavapatas zachodzące słońce przeświecało przez białoszare chmury, złocąc swoim blaskiem trawy i drzewa. Na horyzoncie góry lśniły nierzeczywistym błękitem nadchodzącej nocy.

Jak gdyby chcąc zwrócić uwagę na czas pracy ustalony przez związki zawodowe, na drodze stanął mi zniecierpliwiony kolega-literat - oczywiście wykuty w kamieniu. Inspiracją była dlań muzyka stereo płynąca ze słuchawek, które miał na głowie. Czy jego niegdysiejszy model istotnie otrzymywał impulsy do pisania od tajemniczego Wielkiego Brata? Bajeczne. Mój samotny kolega trzyma w lewym ręku gęsie pióro. Albo nóż, skierowany ostrzem do góry. Bo co to może być? Skalpel? Flet? Dmuchawka? A w drugiej ręce? Gumkę do wycierania. Z racji wykonywanego zawodu uznałbym to za słuszne. Czy słuszne jednak jest moje przypuszczenie, drogi panie, że odbiera pan wskazówki od istot niebiańskich? Model tej figury musiał spędzać większość czasu w pozycji siedzącej: jego krótkie nogi wydają się krzywe.

I znowu groźne kły szczerzą się z obrzydliwych ust. Te kły, prawie typowe tu dla jakiejś dziwnej rasy, świadczą o istnieniu wzorów nie z tego świata - bo o ile znam ewolucję rodzaju ludzkiego, to nasi przodkowie nie mieli takich ząbków, jakie przynoszą honor lwim pyskom. Na oczach, świadczących o chorobie Basedowa, mój nieznany kolega ma okulary. Razem ze słuchawkami i kapelusikiem na wielkiej głowie wygląda jak jakiś osobliwy karzeł.

Artyści, którzy tworzyli tu swoje dzieła, znali się na sztuce przedstawiającej - rzemiosło opanowali do perfekcji. Jest to widoczne wszędzie w San Agustin. Zaznaczali subtelne różnice między ludźmi a ludzkopodobnymi istotami, które w większości mają zęby jak u wampira. Ludzie zapewne się ich bali, istoty te bowiem pozostawiły po sobie niezatarte wspomnienia, dlatego więc stale tu wracają. Nie wątpiłem mój niewysoki kolega z wielkimi kłami również pochodził nie z tej ziemi. Słuchawki i przybory piśmienne są dziwnymi atrybutami tego liliputa, literaci jednak są zawsze skromni, nawet jeżeli twierdzą, że informacje otrzymują "z góry".

Cowieczorny deszcz przerwał moją wymianę myśli z kolegą po piórze. Zbiegłem po nieskończonych, a do tego śliskich schodach, wpadłem do bambusowego lasku, minąłem posągi bogów i bożków, patrzących na mnie zazdrośnie wilgotnymi oczami - oni zostaną w ulewie, ja siądę sobie zaraz przed kominkiem w "Yalconii". Zostali na dworze - grupa niezrozumianych świadków mrocznej przeszłości.

Idol - fantom - bożek

Pedro, miejscowy przewodnik, przekonał mnie, żebym tygodniowy pobyt w San Agustin zakończył zwiedzeniem Altos de los Idolos, czyli Wzgórz Bożków. Właściwie chciałem już wracać, ale entuzjazm Pedra mnie skusił.

Wczesnym rankiem Pedro zawiózł mnie landroverem do Magdaleny, a stąd w górę na Wzgórze Bożków. Wchodzi się tam na stworzone ludzkimi rękami płaskowzgórze w kształcie podkowy; pozostałości po dawnym szczycie leżą na zboczu.

Najprawdopodobniej było to miejsce pochówku: świadczą o tym tak poziome groby skrzynkowe; wyłożone masywnymi płytami, jak pionowe, cylindryczne groby szybowe i potężne granitowe dolmeny. Pedro nie przesadzał: to trzeba było zobaczyć.

Nie wiem, czy mam nadzwyczaj wyczulone zmysły, w każdym razie podniecają mnie takie zagadki, wypełniają mnie nabożnym zdumieniem, od razu czuję, że muszę dorzucić swoje trzy grosze do rozwiązania. Widząc na tym płaskowzgórzu dolmeny i menhiry, widzę od razu dolmeny i menhiry we francuskiej Bretanii.

Czy to nie denerwujące, że nadal nie wiemy, dlaczego i po co wznoszono w zamierzchłej przeszłości tak monstrualne budowle? Wszyscy, którzy zajmują się badaniami, uważają - chyba niesłusznie - że dopiero człowiek współczesny dysponuje wysokimi możliwościami techniki. Z tego punktu widzenia kamienne dzieła naszych przodków są uważane za prymitywne formy wyrazu. Kto wie, co nasi potomkowie będą myśleć a rzeźbach Henry'ego Moore'a? Być może stwierdzą, że są one wyrazem prymitywizmu dzisiejszej sztuki, która kiedyś odejdzie w mroki przeszłości.

Dla ochrony życia ludzkiego buduje się z funduszy państwowych i prywatnych podziemne schrony przeciwoatomowe - po pierwsze z troski o przeżycie, po drugie z nadzieją, że świadectwa naszych czasów dostarczą późniejszym pokoleniom informacji o naszym życiu.

Czy plemiona indiańskie z San Agustin również obawiały się unicestwienia? Czy strach dodał im sił do wykucia potężnych bunkrów, pokrycia ich warstwą ziemi, żeby były niewidoczne "z góry"? Czy chcieli ratować tylko siebie, czy także wizerunki bogów oraz ich wiedzę? Nie jestem na tyle bezczelny, żeby wszystko wiedzieć. Kiedy nie mogę wytrzymać zaduchu naukowych tabu, zadaję pytania. Na nieba, chyba wolno zadawać takie pytania: Dlaczego w Europie i Ameryce Południowej są identyczne budowle? Co skłoniło naszych przodków do działania? Z elitarną arogancją - że nasza niejednokrotnie zblakła nowoczesna sztuka jest jakoby wyrazem czasów - zakreśla się granice poznania przed mającymi wysoką wartość artystyczną pracami prehistorycznych rzeźbiarzy. Mimo to jednak: Nie jesteśmy najwięksi, na pewno nie jesteśmy również koroną wspaniałej ewolucji ducha ludzkiego. Trzymam stronę chińskiego mędrca Lao-ce, żyjącego ok. 300 r. prz. Chr.: "Świadomość własnej niewiedzy jest najważniejszym składnikiem wiedzy". Jest to zarazem stała inspiracja do dążenia do wiedzy.

Kilka kilometrów od Wzgórza Bożków - za wioską Isnos - odkrywam na Wzgórzach Kamieni (Altos de las Piedras) kolejną wersję "drugiego ja". Interpretację rzeźby poddał pod dyskusję w 1913 r. prof. Preuss. Została ona przyjęta przez jego kolegów za fakt, choć sam Preuss sformułował swoje stwierdzenia nader ostrożnie:

"W meksykańskim kręgu kulturowym znamy wiele głów bożków wystających ze zwierzęcych pysków - na przykład azteckiego boga Uitzilopochtliisa wyglądającego z dzioba kolibra. Zwierzę to określono później jako okrycie boga, a rozumie się przez to szczególną postać, w jakiej może się pojawiać. Uważa się go poza tym za tożsamego z nim samym albo za jego drugą naturę. Bez wątplenia należy uznać także w naszym przypadku [chodzi o San Agustin - przyp. EvD] drugie głowy nad korpusem, nieważne czy są to głowy ludzkie, czy zwierzęce, za istotne uzupełnienie głównego wizerunku, za jego drugie ja. Można zarazem mówić o niebiańskiej naturze boga, ponieważ ta Druga Twarz jest w górze".

Stroje rytualne?

Wiadomo, że ludzie pierwotni ubierali się do tańców rytualnych w skóry zwierząt, których siłę i cechy chcieli osiąść. Czy dotyczy to również postaci z San Agustin?

Nie widziałem bożków - ani w oryginale, ani ich wizerunków - owiniętych w skóry zwierząt, nie mają one również zwierzęcych masek, lecz co najwyżej hełmy. Zagmatwana ornamentyka "drugiego ja" - w konkretnym przypadku figury ze Wzgórz Kamieni - przedstawia, jeżeli się jej dokładnie przyjrzeć, co najmniej trzy twarze: trzecia znajduje się pod "plecakiem" z drugą twarzą, a wszystkie trzy stanowią jedność. Czy wolno już - kiedy odrzuci się bałamutną interpretację psychologiczną - przestać zadawać pytania, czy hipoteza profesora Preussa musi nadal pozostawać bez kontrargumentów? Pozwolę sobie przytoczyć parę myśli, które jako program przeciwstawny mogłyby

stanowić tylko alternatywę dla obowiązującego poglądu:

- Postać zasadnicza wyobraża kapłana. Nad nim i za nim siedzi boska istota, która go opanowała i nie odstępowała ani na krok.
- Postać ludzka z homunkulusem symbolizuje fakt, że człowiek stale musi nieść na swoich barkach ciężar innych.
- Dopiero z jedności dwóch postaci powstaje trzecia.
- Przestroga: Człowieku, bądź czujny! Uważaj również na to, co dzieje się za twoimi plecami.
- Wyobrażenie przekazanych mitów, które opisywały bogów jako istoty w hełmach, występujące zawsze w towarzystwie drugiego boga. W mitach zawarto informację, że bogowie mogą patrzeć na wszystkie strony jednocześnie.

W lesie bogów w San Agustin można doszukiwać się dalszych sensów lub bezsensów - byle tylko nie przestać myśleć nad nie rozwiązana zagadką. Prawdopodobieństwo, że przedstawiono tu coś boskiego, jest bardzo duże. Postacie w hełmach, z ogromnymi zębami, nie przedstawiają na pewno ludzi - w bardzo wielu wypadkach postacie te trzymają w rękach ludzika bez wampirycznych zębów. Sądzę, że w ten sposób zmanifestowano istnienie przedstawicieli dwóch światów.

Pedro umówił przyjaciela z dwoma końmi. Na nich wspięliśmy się stromą ścieżką dla zwierząt na La Chaquira, punkt wznoszący się nad Magdaleną. Wykuta w rdzawobrazowej skale ludzka postać wydaje się udzielać wzniesionymi ramionami błogosławieństwa płynącej dołem rzece. Z wielkich ust o grubych wargach nie wystają straszne zęby. Elegancka linia brwi, podobnie jak oczy, pasuje do kształtu twarzy.

Usunięto ostatnią wątpliwość: artyści z San Agustin umieli odróżnić twarze ludzkie od demonicznych pysków bogów i bożków.

Kalejdoskop możliwości

Do Bogoty wróciłem odrzutowcem towarzystwa lotniczego Aeropescas - nadszedł czas wszystko przemyśleć.

Od ponad 15 lat jestem dla panów naukowców chłopcem do bicia, lecz mimo to nadal mam się dobrze. Cóż takiego robię, poza otwieraniem granic fantazji? Fantazji, którą w naszym czasach zamyka się najczęściej w ciemnym lochu. Lękliwe umysły boją się wyrazić, o czym potajemnie śnią.

Żyjemy w ponurych czasach, które wrzucają wszystkich do jednego worka. Rajskie ptaki przerabia się na szare wróble, bo te są w większości. To, co obowiązuje na Dworze króla Nobla, co obowiązuje na uniwersytetach, stało się ujednoliconą walutą ducha, stosowaną na całym świecie. Dławi się wszelkie próby spekulacji na temat tego, co prawdopodobne i możliwe. Światli Panowie Zarozumialcy postępują tak, jakby byli obecni przy wszystkich zdarzeniach w owych zamierzonych czasach - tak poważnie brzmią ich interpretacje, choć nie są one ani o grosz więcej warte od wypowiedzi subiektywnych. Na tym ugorze brakuje mi interdyscyplinarnej współpracy archeologów, entografów i specjalistów w najróżniejszych dziedzinach techniki. Między dokładnie odgraniczonymi gałęziami nauki poruszam się niczym traper z po-

granicza, wkładam palce między drzwi, otwieram okna, żeby wpuścić nieco świeżego powietrza. Wiem, że jestem gościem niepożądanym, ale moi krytycy powinni mi być wdzięczni za to, że swoje elaboraty mogą porównać z efektami mojej pracy.

Bezustannie trzeba przypominać o tym, że nowatorskie odkrycia. zmieniające obraz cywilizacji, były dokonywane przez znających się na rzeczy laików. Nieokiełznany rozum wymyśla coś niemożliwego... co jednak fachowiec jest potem w stanie zrealizować. Kogo nie stać na fantazję, jest skazany wyłącznie na posuwanie się przez całe życie szarą, monotonną drogą.

Moja fantazja porusza się w ramach jeszcze wyobraźalnych, zawsze jestem otwarty na wszelkie nowości, cieszą mnie ożywcze kombinacje myślowe - poza tym jestem wdzięczny za korekty moich błędów. Jestem też przeciwny wszelkiemu zacieraniu różnic, szczególnie w myśleniu. Za przejaw dyktatury uważam, gdy jakaś telewizyjna eminencja doprowadza do tego, że twarze, niepożądane z jej punktu widzenia, znikają z ekranu. Do naszych zagwarantowanych wolności powinna należeć również wolność puszczania wodzy fantazji.

Poza naukami ścisłymi nie istnieją żadne - dosłownie żadne - poglądy naukowe, które należałoby uznawać za fakty. Z mojego bagażu wybieram cieszącą się międzynarodowym uznaniem pracę Martina Knappa W mrokach XX wieku i czytam:

"Z całą pewnością można przyjąć rzecz następującą: Wiele z niemal bezspornych "prawd" dzisiejszej nauki okaże się prędzej czy później pustymi twierdzeniami, półprawdziwymi teoriami, partackimi opiniami albo ograniczonymi dogmatami. Nie do pojęcia jest, dlaczego właśnie dziś po raz pierwszy współczesna 'nauka' miałaby być doskonała czy nawet doskonalsza niż kiedyś. Jak zawsze ludzie starają się, aby zarówno ich samych, jak i ich osiągnięcia uważano za ważne i słuszne. A przy tym każde nowe pokolenie dostrzega więcej błędów przeszłości niż pokolenie minione. Pokolenie ostatnie powinno tym samym dużo łatwiej wyciągnąć wniosek, że terażniejszość może kryć wiele błędów.

Autor jednego podręcznika z całym przekonaniem odpisuje od drugiego; eksperci cytują się nawzajem, opierając swoje odkrycia na cudzych błędach; nie zawsze sprawdzają wyniki swoich badań najnowszymi metodami albo nie widzą sprzeczności z osiągnięciami innych dziedzin nauki. Co gorsza, studenci przejmują z egzaminacyjnego oportunisty tezy swoich nauczycieli - często na całe życie. Przesada, z jaką większość badaczy, techników i naukowców przedstawia i rozpowszechnia tezy i twierdzenia jako prawdy ostateczne, zakrawa na śmieszność i nieostrożność zarazem".

Mañana

W porcie lotniczym dr Forero czekał na mnie z tak bezradnym wyrazem twarzy, iż mogło to oznaczać tylko złe wiadomości. Przygotowałem się na najgorsze.

Forero powiedział, że wieczorem przyjedzie do "Hiltona" z pułkow-

nikiem kolumbijskiego lotnictwa, który zna moje książki i chciałby ze mną porozmawiać.

- To konieczne? - spytałem.

- Chce pan zobaczyć Ciudad Perdida, prawda? Zamierza pan trząść się przez pięć dni na oślim grzbiecie i szukać przewodników po nie znanym terenie? Lotnictwo załatwi to prościej, da helikopter.

Cel wabił, zgodziłem się więc na rozmowę. Dr Forero miał rację telegrafując, że moja obecność jest konieczna. Listownie nie można by nawiązać takich kontaktów.

- A co z profesorem Soto?

- Nie udało się do niego dotrzeć - powiedział Forero - bo jest właśnie tam, gdzie pan chciałby się znaleźć. W jego uniwersyteckim biurze nie wiedzą, kiedy będzie w Bogocie.

Wieczorem spotkałem się z pułkownikiem Baer-Ruizem. Pułkownik był człowiekiem o ujmującym sposobie bycia. Jego przodkowie pochodzili z Niemiec. Przy whisky rozmawialiśmy parę godzin o moich teoriach, a przede wszystkim o moim pragnieniu dotarcia do "zaginionego miasta" w dżungli. Przyznałem nawet, że mam nadzieję na pomoc ze strony lotnictwa wojskowego. Ostrożnie rzuciłem słowo "helikopter". Pułkownik słyszał o odkryciu, ale nie wiedział, gdzie prowadzi się prace wykopaliskowe. Poprosił o kilka dni cierpliwości - potem się odezwie.

Kilka dni cierpliwości! W Ameryce Południowej wszystko robi się znacznie wolniej niż u nas. Tutejsze hasło to: Mariana - jutro!

Pozostawało mi czekać, czekać na wiadomość od pułkownika Baer-Ruiza i na znak życia od profesora Soto.

Dzień chylił się ku końcowi. Wieczorem zgodziłem się na zaproszenie miejscowych rotarian na kolację. Szczęśliwym trafem poznałem dr. Jairo Gallego, specjalistę w dziedzinie rolnictwa. Dr Gallego był niewysoki, żywy i ruchliwy jak ja. Nie podejrzewałem nawet, na jakie nowe tropy skieruje mnie ta znajomość. Gdy opowiedziałem mu o moim czekaniu, zapytał:

- Czy zna pan Piedras de Leyva?

Ani o nich nie słyszałem, ani nie czytałem, ale opis prehistorycznych budowli i fakt, że archeologia nie wie, co z tym fantem począć, obudziły we mnie żywe zainteresowanie, zwłaszcza że nie wiedziałem, co robić przez następne dni. Lepiej przecież poznawać świat i jego zagadki.

Goethe pisał przecież:

"[...] Jak to czyniło zawsze wielu
I przez rozdroża bałamutnie
Do obranego dążyć celu".

Wyjazd do Villa de Leyva

Można się kłócić, czy godzina piąta to jeszcze późna noc, czy już wczesny ranek - na pewno jest to godzina niepocziwa. Jak zawsze, kiedy wyjazdy zmuszają mnie do wstania z łóżka o takiej porze, dziwiłem się też i owego 19 maja 1981 roku, widząc w trzymilionowej

Bogocie tak wielu zapóźnionych przechodniów i rannych ptaszków, śpieszących do domu albo do pracy. Wstrząsnął mną dreszcz, gdy niosąc metalowe walizki wypchane sprzętem fotograficznym i taśmami mierniczymi wypadłem przez wahadłowe drzwi z hotelowego foyer na świeże powietrze. Stolica Kolumbii leży 2645 m n.p.m., dlatego noce są tu chłodne o każdej porze roku.

Koło małego, czarnego fiata stało czterech mężczyzn: dr Forero, jego syn Carlos, dr Gallego i student archeologii Carlos Esqualanta.

Tłok, jakiego obawiałem się w naszym pojeździe, miał swoje zalety - rozgrzałem się, ożywiłem i zapytałem, jak długo będziemy jechać do Villa de Leyva.

Dr Gallego, siedzący za kierownicą swojego samochodu, zawołał do mnie wesoło przez ramię:

- Z siedem godzin!

Ciasnota okazała się nagle dokuczliwa, od razu poczułem, że za dwie godziny zdrętwieją mi nogi, potem rozboli mnie kręgosłup. Dr Gallego musiał dostrzec w lusterku przerażenie malujące się na mojej twarzy, bo wyłowił z torby dwie pomarańcze i powiedział:

- Najpierw proszę zjeść śniadanie! Jazda minie panu jak z bicza trzask, często tędy jeżdżę służbowo.

Fiat ruszył z hałasem, z radia popłynęły melancholijne melodie - chór, gitara, trąbka i zawodzący saksofon tenorowy - zapewne wszystkim tu znane, bo do obu akademików, którzy zaczęli nucić do wtóru, dołączyli po chwili obaj młodzieńcy. Chóralne śpiewy rozbrzmiewały przez całą podróż. Kiedy zaczął się komentarz polityczny, dr Gallego wyłączył odbiornik.

Wytarłem fragment zaparowanego okna. Na skraju drogi stali chłopcy i dziewczęta w jaskrawokolorowych swetrach, oferując miejscową ceramikę, malowaną, wypalaną - kubki, puchary, miseczki. Na widok kamiennych kopczyków wysokości mniej więcej pół metra, zapytałem, czy są to prymitywne znaki drogowe.

Dr Gallego wyjaśnił, że w domach oznaczonych takimi kopczykami sprzedaje się chichę. Chicha to musujący napój zbliżony do piwa, porównywalny z bardzo młodym winem, pędzony przez Indian południowoamerykańskich pod różnymi nazwami i z różnych surowców. Indianie andyjscy pędzą go z trzciny cukrowej albo z kukurydzy, Indianie mieszkający w dżungli - z zawierającego białko manioku, rosnącego w lasach tropikalnych a należącego do rodziny wilczomleczowatych. Swoją chichę nazywają oni kashiri.

Chałupnicza produkcja tego napoju jest bardzo prosta: łodygi trzciny cukrowej rozgniata się kamiennymi albo drewnianymi walcami, miążgę umieszcza się w dzbanach i podgrzewa na otwartym ogniu lub rozżarzonych kamieniach, potem wlewa się ją do kadzi, w której znajdują się resztki chichy z poprzedniego procesu produkcyjnego. Resztki te zapoczątkowują szybką fermentację. Indianki mieszają masę, dodają niewielką ilość wody i nakrywają kadź liśćmi bananowymi. Po 24 godzinach chichu nadaje się do picia - zamiana cukru w alkohol dokonuje się tak szybko, że zacier już po dwóch dniach można poddać destylacji i uzyskać zeń wódkę. Tak, z chichą jest tak samo jak z młodym winem: trzeba ją pić, gdy tylko napój "dojrzeje". Dzień za

późno - i zemsta Montezumy, czyli biegunka, pewna jak amen w pacierzu!

Od stolicy prowincji, Tunji, 2820 m n.p.m., droga biegła pośród gór, w pierwotnym krajobrazie pełnym czerwono-brązowych i czerwonych szczytów, za którymi można było przeczuć prześwitujące przez mgiełkę błękitem i fioletem dalsze wzniesienia Andów. Widoki przywiodły mi na myśl dolinę Kaszmiru.

W dolinach rozciągały się ciemnozielone plantacje kartofli. Dr Gallego powiedział mi, że w La Paz w Boliwii, najwyżej położonej stolicy świata (4000 m n.p.m.), kobiety plemienia Aymara oferują na targu dwieście odmian kartofli uprawianych w Andach. Archeologia udowodniła, że już w czasach przedchrześcijańskich, w tzw. epoce Nazca ok. 200 r. prz. Chr., Indianie uprawiali - to udowodnione! - 625 odmian kartofli. Pizarro, hiszpański konkwistador, około 1550 r. sprowadził kartofle do Europy. Pomyślałem, że bez indiańskich osiągnięć w dziedzinie rolnictwa dawno zginęlibyśmy z głodu.

Słońce oślepiało, stojąc prawie w zenicie.

Na jednym z zakrętów wyprzedził nas o centymetry wóz wyścigowy, za którym z wyciem silnika pędziło ośmiu dalszych zawodników tego najwidoczniej spontanicznie zorganizowanego prywatnego rajdu. Gallego zareagował tak, jak i ja bym to zrobił: stanął i zaczekał, aż "wspaniali mężczyźni" wyszaleją się w łące południowoamerykańskim przychyliwie temperamentu - od razu przypomniały mi się sceny ryzykownych pościgów ze wspaniałego filmu z Yvesem Montandem i Catherine Deneuve.

Nikt nie powiedział ani słowa. Dr Gallego wrzucił pierwszy bieg i zaproponował zjedzenie obiadu w Hospederia Duruelo. Na pierwszym piętrze wielkiej, śnieżnobiałej klasztornej budowli z kolumnowymi galeriami siostry karmelitanki urządziły w refektarzu restaurację dla podróżnych. Jest to nobliwe pomieszczenie z obitymi skórą krzesłami z hebanu przy stołach nakrytych oślepiającą bielą, na których orchidee jaśniały w wazonach wszystkimi kolorami tęczy. Orchidee nie są tu niczym egzotycznym ani bardzo drogim, są równie popularne jak u nas stokrotki.

Po krótkiej modlitwie siostry - w czarnych habitach i białych czepeczkach - podały nam bezszelestnie kolumbijską potrawę narodową ajiaco. Bezszelestnie, bo w aksamitnych pantoflach - miłosierne anioły pożywienia. Ajiaro to zagęszczona zupa jarzynowa, w której pływają kartofle w kostkę, groszek, kukurydza, owoce awokado, ryż i posiekany kurczak. Jako napoje pobożne anioły zaoferowały nam mleko i sok z guajawy. Guajawa to jasnobrązowy owoc wielkości mandarynki, bogaty w witaminy. Kolumbijczycy twierdzą, że szklanka cierpkosłodkiego soku z guajawy równa się wartością odżywczą dziesięciu bananom. Po obiedzie podano kawę o czerni bezksiężycowej nocy. Kawa jest tutaj wszędzie. Kolumbijczycy mają chyba serca jak konie. Kawa smakuje im nie tylko o każdej porze dnia i przy każdej okazji - są z niej również dumni, bo jest to podobno jedyna kawa na świecie

produkowana i eksportowana bez jakichkolwiek sztucznych dodatków.

Piedras de Leyva

- Jak daleko jeszcze do tej waszej kupy gruzu? - zapytał Juan Carlos, kiedy znów wcisnęliśmy się do fiata.

- Parę kilometrów - pocieszył go Forero-ojciec.

I rzeczywiście, wyboista gruntowa droga doprowadziła nas wkrótce do ruin. Ich fragmenty leżą bądź stoją w prostokątnym wykopie. Nie ma ani cegieł, ani resztek murów mogących świadczyć o tym, że kiedyś był to budynek, chociaż liczba i wyrniary kamiennych kłoców świadczą o tym, że mogłyby to być resztki jakiejś gigantycznej budowli. Zmierzyłem prostokąt, przed którym staliśmy - miał 34,4 x 11,6 m.

Przy wschodnim, dłuższym boku przetrwały 24 kolumny, z których największa wznosi się na 3,4 m. Odstępy między zachowanymi kolumnami pozwalają przypuszczać, że kiedyś po dłuższej stronie było ich 42. W centrum układu "butwieje" kilka okrągłych, częściowo połamanych słupów, które przy wysokości 6,8 m i obwodzie 2,75 m były zapewne niegdyś znacznie większe od pozostałych.

- Co to było? - zapytał Juan Carlos, dźwigający za mną torbę ze sprzętem fotograficznym.

- Daj mi, proszę, kompas! - Moje szare komórki zrozumiały nagle wyrazisty obraz, który ujrzałem.

Igła kompasu potwierdziła moje przecucia. Prostokąt był zorientowany według stron świata: dłuższa oś przebiegała w kierunku wschód-zachód, krótsza - północ-południe.

Myślami do Francji...

Menhiry, nieociosane kamienie kromlechu z Crucuno we francuskiej Bretanii, są dla archeologu sensacją, cudem, zagadką... bo rozmieszczono je na planie prostokąta. Aż do chwili tego odkrycia uważano, że megalityczne układy kamienne powinny być okrągłe, jak w Stonehenge, Avebury czy Rollright na Wyspach Brytyjskich. Okrągłe można było łatwiej zinterpretować jako kalendarze. Potem doszło do irytującego odkrycia kromlechu Crucuno, który od niepamiętnych czasów nazywa się tak samo, jak pobliska wioska na Półwyspie Bretońskim. Dawniejsze interpretacje zaczęły się chwiać w posadach.

Nie da da się jednak ukryć, że na długości 34,2 m i szerokości 25,7 m w Crucuno wznoszą się 22 menhiry. Inne, przewrócone i uszkodzone, leżą na ziemi, kilka być może zabrano. Fernand Niel wykazał niezłomie, że także prostokąt z Crucuno jest kalendarzem: dzięki przekątnym można ustalić dzień przesilenia letniego i zimowego, dzięki osi dłuższej - zrówania dnia z nocą.

Kromlech z Leyva jest węższy od kromlechu Crucuno, inne więc są przekątne i tworzone przez nie kąty, ale wydaje się, że w Kolumbii liczba kolumn-menhirów była większa niż w Bretanii.

W Leyva na dłuższym boku prostokąta stały 24 menhiry. W Bretanii jest ich 22, dobrze zachowanych. Tu, w tym miejscu opuszczonym od Boga, musiało więc kiedyś stać wzdłuż wszystkich czterech boków 76 menhirów - po 24 wzdłuż boków dłuższych i po 14 wzdłuż krótszych. Nie można sobie nawet wyobrazić, ile kolumn oznaczało środek układu.

Mój spekulatywny umysł zaczął działać.

Im więcej menhirów "zasadzono", tym więcej było możliwych obliczeń kątowych i tym bardziej skomplikowany był układ służący do rozwiązywania zadań matematycznych. Obfitość menhirów pozwalała na przyjęcie większej liczby linii namiarowych i ich kombinacji - można było uwzględniać więcej kamieni. Można przypuszczać, że układ kamieni z Leyva - podobnie jak w Crucuno - wiązał się z obserwacjami astronomicznymi. Bo z jakiego innego powodu cztery rzędy kamieni zorientowano według stron świata?

Nie mam za złe Kolumbijczykowi, że nie próbowali rozwiązać zagadki kamieni z Leyva - nie wiedzą nic o bretońskim pendant. Informacje obiegają całą kulę ziemską, dla badań archeologicznych jednak odległość 10 tys. km jest nadal nie do pokonania. A właściwie to archeolodzy powinni mi być wdzięczni, powinni dołożyć się do wcale niemałych kosztów moich podróży - bo jak dotąd zwracam ich uwagę na takie powiązania gratisowo. Nie są jednak ani wdzięczni, ani ja nie słyszę o dotacjach. No dobrze. Może moje wnuki dowiedzą się, że ich dziadzio anno któregoś tam dawał naukowcom bardzo mądre rady.

- Erich, co to było naprawdę? - zapytał mój młody przyjaciel Juan Carlos, a Forero-ojciec oraz dr Gallego spojrzeli na mnie, jakbym był jasnowidzem, który z miejsca udzielił im choćby ogólnego wyjaśnienia. Odparłem, że widzę tu niejakie podobieństwo do pewnego słynnego kromlechu we Francji, i zaproponowałem, żeby zbadać krąg dokładnie - może znajdują się jeszcze jakieś informacje na kamieniach.

Ledwie kilometr dalej na ziemi leżał penis w erekcji. Miał długość 5,8 m, a rosło na nim drzewo. Obok spoczywał kolejny "rozkoszniaczek" długości 8,12 m.

Człowiek nie pozbawiony humoru a do tego nieco bezczelny może twierdzić, że wyemancypowane kobiety wyjęły kiedyś rzeźbiarzom z ręki narzędzia, żeby atrybut płci męskiej, otaczany czcią od czasów Adamowych a nobilitowany przez Freuda i panią Shere Hite do rangi symbolu snów, uwiecznić w jego najbardziej imponującej postaci jako ostrzeżenie. Symbole rozkoszy nie wyjaśniają w każdym razie prostokątów.

Czy są przypomnieniem kultu płodności? Penisy tego formatu pozwalałyby na wyciągnięcie takich wniosków. Czy - w bezpośredniej bliskości kalendarza - można było ustalać dni płodne i bezpłodne? Czy prekursorzy metody Ogino-Knausa przybywali tu, aby potem ogłosić radosną nowinę o ograniczonej czasowo płodności kobiety? A może przechadzały się tu olbrzymy, które posługiwały się i bawiły tymi zadziwiającymi przedmiotami. Wszystko możliwe.

Nie miałem nawet najmniejszego prawdopodobnego wyjaśnienia, mogłem co najwyżej zwrócić uwagę na fakt, że w wielu krajach penis jest ulubionym motywem rzeźbiarskim. Może ludzie epoki kamiennej upodobali sobie tylko jeden rodzaj spędzania wolnego czasu, a może

wszędzie ci sami psychologowie - nawet bez kozetki! - inspirowali ich do tworzenia takich samych wizerunków. Jeśli archeolodzy odwrócą niewinne oczęta od takich znalezisk, to może zajmą się nimi seksuolodzy. Ktoś powinien napisać bestseller "Życie seksualne ludzi epoki kamiennej". Pani Shere Hite, do dzieła! Będzie pani zachwycona.

Oba zorientowane według stron świata kromlechy są przykładem wielu podobnych struktur na wszystkich kontynentach. Ich interpretacja jako kalendarzy jest prawdopodobna, ale niezadowolająca. Istniały prostsze metody określania początku wiosny i przepowiadania jesieni.

Wszystkim nam coś umknęło. Czy przeoczyliśmy coś, co pozwoliłoby nam przejrzeć knowania ludzi epoki kamiennej? Zapowiedzi nadejścia pór roku nigdy nie były potrzebne rolnictwu, bo - pomijając niewielkie zmiany - pory roku pojawiają się cyklicznie. Precyzyjny kalendarz byłby użyteczny przy tworzeniu horoskopów opartych na gwiazdach. Ale mówmy poważnie: Czy daty odczytywane z kromlechów determinowały święcenia kapłańskie, święta rytualne, kultury gwiazd? Czy takie dni były określane przez procesy zachodzące na niebie? Czy były to pomniki istot, przybywających z Kosmosu a następnie tam znikających? Czy phallus był symbolem życia, które przybyło z Kosmosu? Interpretację "kalendarzową" można zaliczyć do arsenału rozwiązań kamiennej zagadki, ale nie będzie to moim zdaniem szczyt logicznego myślenia.

"Wizyty robocze"

Wizyty robocze. Głupie określenie, używane od pewnego czasu przez polityków. Jeżeli ci panowie spożywają posiłek, to jest to oczywiście "posiłek roboczy". Jeżeli zabierają się do pracy z samego rana, to gadają bez końca przy "roboczym śniadaniu". Ostatnio jeden z radiowych komentatorów politycznych powiedział nawet, że spotkano się na "drinku roboczym". Jeżeli tak się to nazywa, to ja w trakcie moich podróży stale biorę udział w śniadaniach roboczych, posiłkach roboczych i roboczych drinkach.

Wieczorem, po powrocie z wycieczki, byłem umówiony ze Szwajcami mieszkającymi w Bogocie na "spotkanie robocze". W jego trakcie poznałem mojego rodaka, pochodzącego ze Szwajcarii romańskiej Raphy'ego Lattiona. Lattion jest profesorem muzyki w Kolegium Szwajcarskim w stolicy Kolumbii. Zna moje książki, dlatego też zaraz po przedstawieniu się zadał mi pytanie, czy widziałem "płytkę genetyczną". Gdy usłyszałem słowo "genetyczna", pomyślałem od razu o phallusach w Leyva.

- Nie, a co to jest? - zacząłem się dopytywać.

Profesor Lattion wyjaśnił, że chodzi tu o znalezisko pokryte po obu stronach zdumiewającymi reliefami: jest to cykl obrazów przedstawiający powstawanie życia od plemnika do płodu, druga strona wyobręta zapłodnienie komórki i jej rozwój do żaby.

- Jaki jest wiek płytki?

Profesor Lottion odetchnął i odparł po dłuższym namyśle:

- Pewnie parę tysięcy lat...

W moich oczach zabłyśły chyba wątpliwości, bo przecież prehistory-

czni mieszkańcy dzisiejszej Kolumbii - nie dysponujący mikroskopami - nie mogli wiedzieć o istnieniu plemników. Mój siwy rodak dorzucił więc prędko:

- Może pan ją przecież zobaczyć! Jest w posiadaniu ojca jednego z moich byłych uczniów. To profesor Jaime Gutierrez. Chce go pan poznać?

- Proszę mnie z nim umówić.

Płytki genetyczne

Sam punktualny co do minuty, ucieszyłem się, że profesor Gutierrez czeka na mnie przed swoim bungalowem przy Carrera 9B nr 126. Bardziej niż luźne sportowe ubranie rzucały się w oczy jego silne, nerwowe, spracowane ręce. Powiedziałem mu o tym. W ciemnych oczach tego wysokiego, szczupłego człowieka o twarzy okolonej brodą pojawił się dobroduszny uśmiech. Tak, powiedział, dużo rysuje, jest projektantem form przemysłowych, ten przedmiot wykłada również na trzech uniwersytetach w Bogocie.

Techniczno-artystyczną działalnością jest tresztażona cała rodzina! W wielkim pokoju "rękodzielnictwem" była zajęta jego żona, cztery synowie, córka oraz ich przyjaciele i przyjaciółki - wszyscy mieli już ukończone 18 lat. Synowie wyglądali jak sobowtóry Che Guevary: zarośnięci jak ten lekarz i przywódca guerilli, na głowach czapki bez daszki. Byli oni jednak zwolennikami wyłącznie zewnętrznych atrybutów tego rewolucjonisty.

Wszyscy - chłopcy i dziewczyny - a częściowo również matka, uprawiali swoje hobby. Formowali coś lub malowali, tworzyli delikatne mobile, najstarszy robił w ciemni powiększenia swoich zdjęć. Pani Gutierrez malowała delikatnym pędzelkiem szklane płytki w stylu starego malarstwa na szkle. Południowoamerykańskie życie rodzinne, o jakim nawet nie myśleliśmy, słysząc codzienne komunikaty o niepokojach w tej części Nowego Świata. Media prawie nic nie mówią o tej milczącej większości.

Takie było moje pierwsze wrażenie po wejściu do tego domu. Później ujrzałem regały stojące wzdłuż wszystkich ścian, obładowane znaleziskami archeologicznymi - zarówno w pierwszym pomieszczeniu, jak i w pozostałych. Gutierrez wyłuskał mnie i profesora Lattiona z rodzinnego grona i zaprowadził do swojego spartańsko wyposażonego gabinetu, w którym znajdowało się biurko, krzesło, deska kreślarska i regały pełne ceramiki i dziwnych kamieni. Sięgnął po rzecz pierwszą z brzegu - rodzaj amuletu wielkości dłoni. Przedmiot był pokryty wygrawerowanymi znakami pisma.

Nagle mi zaświtało: Glozel!

Afery w Glozel

Między Lyonem a słynnym kąpieliskiem Vichy we Francji, w departamencie Allier, jest mała miejscowość Glozel - wioska jak wiele

innych. Glozel jednak stało się sławne - dzięki znaleziskom, które ujrzały tu światło dzienne, i dzięki intrygom, jakie one wywołały. Zrobił się z tego prawie kryminał.

1 marca 1924 roku młody wieśniak Emile Fradin orał swoje pole. Irytowały go kamienie wybijające szczyrby w lemieszu. Zaczął je zbierać i składać na miedzy. W trakcie tej pracy poczuł, że jeden jest lżejszy od innych. Ręką starł ziemię i zobaczył znaki pisma układające się w niezrozumiałe słowo T-H-O-U-X. Fradin wsunął znalezisko do kieszeni kurtki i po powrocie do domu umył. Wówczas okazało się, że tak naprawdę "kamień" jest glinianą skorupą. Wieśniak nie potrafił wprawdzie odczytać rytów, za to zaczął oddzielać skorupy od kamieni, bo uznał, że znalezisko może stanowić zabytek. Taki mądry był ten prosty francuski chłop. Trud się opłacił: Fradin odkrył tysiące tabliczek i kamieni pokrytych rytami.

Wieść o znaleziskach z Glozel dotarła wkrótce do Vichy. Tam usłyszał ją uzdrowski lekarz, dr Antonio Morlet. Razem z Fradinem znalazł dalsze kamienie i tabliczki pokryte niezwykłymi rytami; kilka z nich wysłał do paryskiego Musee des Beaux-Arts, Muzeum Sztuk Pięknych.

Tam nikomu się nie śpieszyło. Dopiero po paru latach dyrektor muzeum, dr Capitan, zdecydował się na wizytę w Glozel, gdzie - przepojony do szpiku kości akademickim majestatem - obszedł dostojnie amatorskie stanowiska archeologiczne. Dumny, że jako pierwszy może podać informację o kamieniach i tabliczkach z dziwnymi napisami, stworzył relację, której nigdy nie opublikowano. A poszło oczywiście o błahostkę.

Bo tymczasem dr med. Morlet napisał rozprawę. Przecież to oburzające, że ktoś, kto skończył ledwie medycynę, może pchać się z brudnymi butami w archeologię! A do tego partycypować w odkryciu - szalał dyrektor muzeum, próbując wskórać coś u autora. Dr Morlet wymienił w swojej pracy nazwisko Emila Fradina - do tego odrzucił żądanie paryskiego naukowca, aby nazwisko wieśniaka przeprawić na nazwisko uświęcone akademizmem - dr Capitan.

Pewne jest, i trzeba o tym napisać, że ów dr Capitan od samego początku robił wszystko, byle tylko zdyskredytować odkrycia z Glozel. Gdy zaś Emile Fradin zrobił się na tyle bezczelny, że skarby wyrwane swojej ziemi wystawił w stodole zagrody rodziców i pokazywał za niewielką opłatą, wtedy dobrani paryscy archeolodzy, mianowani z urzędu, w zwyczajowo zgodny i nieprzyjemny sposób zwymyślali dzielnego wieśniaka od fałszerzy.

Ale dowodom nie dało się zaprzeczyć.

W 1928 roku komisja złożona ze szwedzkich i francuskich kryminologów przetrząsnęła dziewiczą ziemię w Glozel, ziemię, której Emile Fradin już nie uprawiał. Komisja znalazła resztki kości, które datowano później na 12000 r. prz. Chr. Kolekcja z Glozel powiększyła się o wiele tysięcy interesujących kamieni, kilka glinianych tabliczek oraz o naczynia podobne do urn.

Można by sądzić, że teraz archeolodzy zaakceptują znalezisko, o którego prawdziwości zaświadczone, przywracając cześć Emilowi Fradin. Paryska kamaryla jednak trzymała się mocno: dr Capitan zdyskwalifikował przecież kamienie z Glozel jako fałszyfikaty. Jego

pogląd stał się książkowym dogmatem obowiązującym akademickie katedry. Jak w tym powiedzonku: "sto trzydzieści profesory i już cały kraj jest chory". Niestety tak jest.

Ale prawda zawsze wyjdzie na jaw. Ostatnio pewien Szwajcar, dr Hans-Rudolf Hitz, podjął próbę odczytania znaków pisma z Glozel. Rezultat okazał się równie zdumiewający co zachęcający: znaki dają się odczytać nie tylko jako symbole pisma, lecz również jako matematyczne szeregi liczb.

Zapytałem profesora Gutierrez, czy słyszał o Glozel. Oczywiście, że nie słyszał. Powiedziałem mu więc, co przyszło mi właśnie do głowy i zadałem pytanie, skąd pochodzą kamienie znajdujące się w jego kolekcji.

Kamienie z Sutatausa

Było to dobre siedemnaście lat temu, opowiadał profesor Gutierrez, kiedy rozmawiał z Bernardo Rinconem, kowalem z zawodu, który posiadał gospodarstwo koło Sutatausa, czterdzieści mil na północny zachód od Bogoty. Jego znajomek pokazał mu wówczas kilka kamieni z wyrytymi postaciami i znakami pisma i zapytał o ich wiek. Gutierrez, który nie potrafił tego ocenić, poprosił zaprzyjaźnionego geologa o szacunkową ocenę znalezisk, a przynajmniej o stwierdzenie, czy są to rzeczy współczesne, czy zabytkowe. Geolog zapewnił, że kamienie - oraz znajdujące się na nich ryty - liczą sobie kilka tysięcy lat, bo pod mikroskopem stwierdził wyraźne ślady erozji wodnej. Gdybym miał na to czas i ochotę - zachęcał mnie Gutierrez - mógłbym sam na tamtejszych polach znaleźć takie kamienie.

Glozel i Kolumbia! Czy mamy uwierzyć, że na całym świecie działała mafia fałszerzy, która przy pomocy lawiny kamieni zamierzała wodzić za nos archeologów?

A może - zamiast zachowywać się tak prostacko - należałoby najpierw sprawdzić, czy kiedyś nie było mistrza, który nauczył rzeźbiarzy jednego schematu? Należałoby też zapytać, czy wizerunki nie pochodzą przypadkiem z tego samego podręcznika znaków graficznych i znaków pisma? Nikt nie może być przecież na tyle głupi, żeby przypuszczać, iż kiedyś - może i nie tak dawno - wędrowali po naszej planecie wariaci, którzy najpierw z wielkim trudem zbierali kamienie różnej wielkości i o różnym stopniu twardości, aby je później wycyzelować rylcami i dłutami i powsadzać głęboko w ziemię? Ktoś, kto ma ochotę płatać figle, robi to znacznie prościej. Czy archeolodzy nie przeceniają swojej ważności, kiedy insynuują, że cały ten trud miał na celu jedynie fałszerstwo, mające wprowadzić ich w błąd?

Jeśli ktoś nie chce być uznany za fałszerza faktów, staje przed bardzo skomplikowanymi pytaniami: Czy istniało centrum, z którego kierowano pracami w kamieniu? Czy wielką liczbę kamieni "nakazano" naszpikować posłaniami i informacjami, aby zwiększyć prawdopodobieństwo, że znajdzie się je po tysiącletniach?

Kamienie z Glozel datowano na 12000 r. prz. Chr. Ruiny żadnej świątyni - ani z czasów Majów, ani Inków, ani starożytnego Egiptu czy

Babilonu - nie pochodzą z tak wczesnej epoki. Kamienie obrobiono w zagadkowych czasach, znacznie wcześniejszych od czasów będących polem działania archeologii. A może archeologia boi się badać białe plamy w historii ludzkości?

Dotychczasowe znaleziska to bogate zbiory kamieni w określonych punktach Ziemi. Fenomenem tym nie zajęto się jeszcze w systematyczny sposób, przypadkowe odkrycia należy więc potraktować co najwyżej jako początek badań, nie zaś jako ich koniec. Dopiero po zbadaniu wszystkich odkryć tego rodzaju dowiemy się, czy miejsca kamiennych znalezisk nie były miejscami świętymi, w których wierni składali kosztowne kamienie, podobnie jak dziś składa się wota w miejscach pielgrzymek. Być może kamienie - w zależności od bogactwa i zawartości rytów - przedstawiają sobą określoną wartość handlową i wymienną. Czy kupcy mieli je w swoim bagażu, aby uwiarygodnić nimi zlecenia dla dostawców? Czy były to amulety, pisemne informacje przeznaczone dla członków rodu? Prawdopodobna będzie każda interpretacja - z wyjątkiem mówiącej, że jest to fałszerstwo. Przyznajmy więc, że jeszcze nigdy nie wiedzieliśmy tak mało o tak wielu przedmiotach jak dziś.

Płytką genetyczną jeszcze raz

Profesor Gutierrez wręczył mi czarną jak węgiel płytkę, która ważyła około dwóch kilo, miała średnicę 22 cm a w środku otwór jak płyta gramofonowa.

- Skąd pan ją ma?
- Szczęśliwy traf. Wszyscy wiedzą, że zbieram zabytkowe znaleziska. Parę lat temu pojawił się u mnie guaguero, poszukiwacz skarbów.
- Gutierrez uśmiechnął się. - Gdzie indziej uznano by go za rabusia grobów. Zaoferował mi płytkę za niewielką sumę.
- Wie pan, gdzie ją znalazł?
- Guaqueros mają swoje sekrety. Ten przysiągł, że nie wykradł jej z grobu. Powiedział, że znalazł ją w ziemi podczas zakładania wodociągu. Ten człowiek maeszka na przedmieściach Bogoty.
- I jest to rzecz zabytkowa i prawdziwa?

Gutierrez wypuścił nosem wonny dym czarnego cygara i rzekł:
- Ślepy to czuje, widzący widzi, a geolodzy zapewnniają, że ten przedmiot, pokryty precyzyjnymi rytami, ma tysiące lat! Proszę spojrzeć! Płytką jest ściśnięta, została z biegiem czasu sprasowana ciężarem ziemi, postacie są niecałkowicie zdeformowane, na brzegach wygięte, odkształciła się symetria wizerunku węża. W paru miejscach reliefy odpadły, zniszczyła je erozja wywołana płynącą wodą. Dwaj zaprzyjaźnieni geolodzy z Uniwersytetu Technicznego potwierdzili to, co podejrzewałem, o czym instynktownie wiedziałem. Płytką ma tysiące lat, a ile jest tych tysięcy, nie wiem. W każdym razie gratulowano mi wspaniałego eksponatu.

Na awersie, na zewnętrznym kręgu znajduje się dwanaście ornamentów, rozgraniczonych promienistymi liniami. Od środka płytki rozchodzi się sześć sektorów rozdzielonych strzałką na dwie części.

Bezpośrednio pod strzałką przedstawiono płód oraz dwie postacie, mężczyznę i kobietę - wyraźnie widać waging oraz penis.

- A pańska interpretacja, panie profesorze?

- Na początku myślałem, że to kalendarz. Ze względu na dwanaście sektorów, które - jak się zdawało - zawierają wyobrażenia znaków zodiaku. Tylko co wspólnego miałyby z tym obie postacie z tak charakterystycznie przedstawionymi cechami płciowymi? O ile co do reszty można mieć wątpliwości, to vagina i penis są oczywiste. Rozmawiałem z biologami z uniwersytetu...

- I co powiedzieli?

- To oni określili płytkę mianem "genetycznej". Zawarte na niej wizerunki zinterpretowali z własnego punktu widzenia. Proszę spojrzeć: Biolodzy powiedzieli, że bezpośrednio pod strzałką siedzą dwie żaby. Na prawo od samczyka zaczyna się linia, która obiega otwór w płytce i kończy się strzałką. Linia ze strzałką może wskazywać na znaczenie wizerunków z obrzeża płytki. Stanowi ona również połączenie penisa z vaginą, czyli akt zapłodnienia. A teraz niech pan po kolei popatrzy na sześć sektorów na lewo od strzałki: Pole 1.: plemnik; pole 2.: męska i żeńska komórka rozrodcza; pole 3.: zapłodniona komórka jajowa; pole 4.: embrion; pole 5.: rozwijający się embrion; pole 6.: płód.

Sektorów na prawo od strzałki nie rozumiem jednoznacznie. Biolodzy sądzą, że może oznaczają one rozwój ewolucyjny, na przykład taki: Pole 1.: podział komórki; pole 2.: istota wodna; pole 3.: płaz, gad, salamandra; pole 4.: może ptak; pole 5.: faza przejściowa rozwoju człowieka; pole 6.: raczej jednoznacznie: człowiek. Tak, a te sześć sektorów dachadzących do środka płytki? Biolodzy stwierdzili, że trzy po lewej stronie strzałki mogą przedstawiać rozmnażanie się komórek, z prawej zaś samca i samicę, vagina i penis znów są widoczne. A obok ciężarna kobieta - wyraźnie widać piersi.

Głośne myślenie

- Straszne - powiedziałem, patrząc na twarze obserwujących mnie Gutierrez i Lattiana.

- Wszyscy tak mówią po obejrzeniu płytki - potwierdził Gutierrez, a Lattion zapytał:

- Co pan o tym sądzi?

Oględziny dokonane przez lupę potwierdziły to, co mówili geolodzy. Pomyślałem głośno:

- O wyjaśnieniu najgorszym, czyli że jest to fałszerstwo, możemy spokojnie zapomnieć. Przyznaję, że zirykowało mnie graficzne, quasi-nowoczesne przedstawienie strzałki, strzałki jednak należą przecież do stałego repertuaru sztuki naskalnej. Widziałem je w Sete Cidades w Brazylii, w dolinach na terenach Indian Hopi w USA, w grocie La Pileta w Hiszpanii i w Val Camonica we Włoszech. Trudno zaprzeczyć, że strzałki są stylizacją oszczepów, znanych od niepamiętnych czasów.

Co oznaczają reliefy? Obrazy są zbyt niezwykle, aby umiejscowić je w dostępnej nam epoce. Absolutnie nowoczesna zdolność pojmowania pozwala na wysunięcie przypuszczenia, że płytka pochodzi od cywi-

lizacji, która w ówczesnej epoce dysponowała obecnym stanem naszej wiedzy.

Autorzy tych wizerunków mieli informacje, wykraczające o tysiąclecia w przyszłość poza ich epokę, dysponowali know-how, o jakim nie śniło się prehistorycznym ludom, które ani nie dysponowały mikroskopami, dzięki którym można zobaczyć plemniki czy zaobserwować podział komórki; ani nie miały zielonego pojęcia o przedstawionej tu ewolucji. Czy byli więc nauczyciele, którzy przekazali im tę wiedzę? Co pan o tym sądzi?

Gutierrez skubał brodę w zamyśleniu.

- Mogę sobie wyobrazić, że płytka była czymś w rodzaju pomocy naukowej. Bardzo praktyczny jest nawet otwór w środku, bo wedle potrzeby można płytkę obracać i przedstawiać kolejne wizerunki...

- Tylko awers jest na tyle zrozumiały, aby można było uznać go za pomoc naukową, rewers jest raczej niejasny - przerwałem.

Profesor Gutierrez, który zajmuje się płytką od lat, stwierdził, że i z rewersu można coś odczytać, jeżeli tylko będzie się płytkę obracać niezgodnie z ruchem wskazówek zegara:

Wskazówka znajduje się na godzinie ósmej: para z symbolem pochwy, znajdującym się na lewo od głowy samca. Godzina siódma: plemniki wnikają do pochwy. Godzina szósta: klęcząca kobieta z niezapłodnioną komórką jajową przed łonem, nad nią plemnik. Godzina piąta: plemniki (chromosomy z kropkami?) dążące do dwóch komórek jajowych, z których jedna jest pusta, niezapłodniona, druga natomiast zapłodniona. Godzina czwarta: niezrozumiałe znaki, ale pozycja wskazówki jest jasna: bliźnięta w łonie matki.

- Docenci też muszą mieć coś do roboty, muszą sobie czasem coś pointinterpretować! - zaśmiał się profesor Lattion.

Wszechobecna paplalogia

"Przedmiot tego rodzaju powinien się właściwie znajdować w muzealnej gablocie" - pomyślałem, na głos zaś zapytałem:

- Co o tym mówią archeolodzy?

W sprawie "ukochanego dziecka" profesor Gutierrez zasięgał rady u wielu fachowców, nawet u czołowego archeologa Kolumbu, Soto Holguina. Ten długo oglądał płytkę, w końcu jednak przyznał, że nie wie, co z tym fantem paczać.

- Widzi pan - Gutierrez okazał zrozumienie - to nie pasuje do żadnego schematu, do żadnej z poznanych dotąd kultur. Gdzie położyć taką płytkę w muzeum? Jaką tabliczką opatrzyć? Wiek i znaki wymagają nowego spojrzenia na prehistorię ludzkości. Po zaakceptowaniu znalezisk tego rodzaju nie można już uważać naszych najdawniejszych przodków za prymitywnych dzikusów! Trzeba czasu, aż ta idea dotrze do istniejącej budowli myślowej. Trzeba nam wiele cierpliwości!

Pewnie tak będzie. Kiedy to piszę, przychodzi mi do głowy słowa prof. Hermanna Obertha, niekwestwowanego "ojca podróży kosmicznych": "Są naukowcy, zachowujący się jak głupie gęsi. Odrzucają

nowe idee i myśli, uznając je za bezsens". Tak, to też prawda.

Tak czy siak, stwierdzenie profesora Hermanna Obertha należało tu zacytować. Potrząsanie zastanymi dogmatami nauki nie jest lubiane. Kiedyś uważano kościoły za dogmatyczne, a naukę za dynamiczną. Tymczasem bieguny mądrości zamieniały się miejscami. Dziś Kościół mówi, że życie pozaziemskie, a nawet pozaziemsko-ludzkie, jest możliwe... i nie szokuje to wiernych. Kościół już dawno stał się dynamiczny - nie jest dogmatyczny. Nauka natomiast stała się dogmatyczna i nietolerancyjna, nie znosi poglądów odbiegających od obowiązującego schematu - dopuszcza je w ostatecznej potrzebie. Poglądy osób stojących z boku można omawiać wyłącznie poza Dworem króla Nobla. A przy tym jak grzyby po deszczu mnożą się najróżniejsze instytuty i katedry wszelkich możliwych -logii. Mieszkający w Bazylei profesor chemii, Max Thurkauf, drwi sobie całkiem słusznie z wszechobecnej paplalogii.

Odważny Fred Hoyle

Cieszę mnie ludzie odważni.

Profesor Fred Hoyle, któremu za osiągnięcia naukowe królowa nadała tytuł Sir, uważany jest za czołowego astrofizyka Wielkiej Brytanii. W Manchesterze ma profesurę a gościnnie wyklada na Uniwersytecie Technicznym Caltech w Kalifornii. Pracuje poza tym w obserwatoriach Mount Palomar i Mount Wilson. Dzięki metodzie modyfikacji równań ogólnej teorii względności Fred Hoyle rozwinął teorię homogenicznego, izotropicznego modelu Wszechświata z ciągłością powstawania materii.

Tyle o kwalifikacjach naukowych Sir Freda.

Od dawna Hoyle reprezentuje pogląd, iż życie przybyło na Ziemię z Kosmosu w materii pochodzącej z komet. W styczniu 1982 roku Fred Hoyle zrobił kolejny, decydujący krok: zakwestionował darwinowską teorię ewolucji i teorię, że życie powstało za sprawą przypadku.

A ja się tylko uśmiecham i rozpiesa mnie radość.

Kiedy w 1977 roku w książce Dowody (Beweise) trafiłem dokładnie w tę piętę achillesową obowiązującej doktryny, musiałem stać sam "na deszczu". Właśnie dlatego muszę tu zacytować i "zaanektować" za informacją agencji DDP z 12.I.1982 r. myśli Sir Freda, wypowiedziane na jego londyńskim wykładzie.

Człowiek, powiedział profesor Hoyle, jest "ponownym pojawieniem się" dawniejszej inteligencji, która stanęła w obliczu zagrożenia katastrofą środowiska, katastrofą o kosmicznych wymiarach. "Inteligencja" ta "rozłożyła się" na jakby "klocki", których egzystencjalne "składniki" rozproszyły się po Wszechświecie. W "klockach" tych zawarto, jak twierdzi Hoyle, wszystkie składniki biologiczne, z których powstaje życie - jakie znamy. Kiedy "klocki" dotarły do Ziemi, gdzie trafiły na odpowiednie środowisko, zaczęły się rozwijać, stymulowane takim samym materiałem genetycznym, jaki wciąż można spotkać w Kosmosie.

Hipoteza ta, powiada Hoyle, pozwoli ominąć problemy darwinows-

kiej teorii ewolucji. Wyjaśnia ona również, dlaczego za strukturami życia musiał stać inteligentny plan. Struktury te są mianowicie na tyle skomplikowane, że nie mogły - choć ortodoksyjni naukowcy twierdzą, że było inaczej - powstać za sprawą przypadku.

Tym odważnym stwierdzeniem Sir Fred Hoyle odrzuca też teorię, wedle której życie powstało z prabulionu, w którym na skutek przypadkowych procesów stworzyły się dokładnie uszeregowane łańcuchy aminokwasów. Hoyle odrzuca również darwinowską teorię o doborze naturalnym, opierającą się na zjawisku przypadkowych mutacji genowych a będącą podstawą dla powstania wyżej rozwiniętych roślin i zwierząt. Hoyle reprezentuje pogląd, że mutacje niepożądane są znacznie częstsze niż pożądane i że - o ile Darwin miał rację - cały ten proces musiałby przebiegać wstecz.

Hoyle wyjaśnia, że mikroorganizmy występują w całym Kosmosie - w gazach międzygwiazdnych - skąd mogą dotrzeć na Ziemię w zamrożonej materii odłamków komet. Zdaniem Hoyle'a układ substancji biologicznych powstał nie za sprawą przypadku, lecz na skutek rozumnego planu.

Dzięki wysoko rozwiniętej technologii inteligencja ta potrafiła znaleźć nową strukturę materialną, której można było powierzyć ten ogromny zasób informacji - inteligencję.

Tyle streszczenie tak ważnego wykładu profesora Hoyle'a. Ja pozwolę sobie jeszcze na parę uwag z mojego punktu widzenia.

Moi krytycy trąbią, że istoty pozaziemskie nigdy nie były podobne do ludzi, że na odległych planetach cząsteczki były uszeregowane w zupełnie inny sposób niż na Ziemi, ich ostateczne rezultaty musiały być więc zupełnie inne.

To nie musi być prawda. Gdzieś we Wszechświecie stworzyła się pierwsza inteligentna forma życia. Nie wiemy i nieistotne jest, gdzie i kiedy to się stało. Owa inteligentna forma życia wysyłała zarodki życia, łańcuchy cząsteczek albo biologiczny materiał podstawowy we wszystkich kierunkach swojej galaktyki - pojęcie bomb życia ("klocków") sformułowałem już w Podróży do Kiribati (Reise nach Kiribati). Kilka takich przesyłek przemierzało Kosmos: nie dotarły do właściwego celu, spadły na nieznanne słońca - inne dostały się w obszar grawitacji dziewiczej planety.

Co dalej? Jeśli warunki na powierzchni planety będą niesprzyjające dla podstawowego materiału genetycznego, to życie obumrze, nie "rozkwitnie" - jeśli jednak będą korzystne, to zasiew wszędzie według zakodowanego programu. To trochę tak, jakby nasiona drzewa europejskiego zasiać w Australii: jeżeli ziemia nie będzie odpowiednia, nasiono nie wszędzie, jeżeli będzie - wyrośnie drzewo takie, jak jego europejscy przodkowie, a wynika to z informacji genetycznej zawartej w komórkach. Podobnie rzecz się ma z klockami Hoyle'a. W ten sposób możemy odfajkować problem identyczności, podobieństwa. Tam, gdzie wszędzie kosmiczne nasienie, będzie się rozwijać tak samo, a co najmniej bardzo podobnie jak w miejscu, skąd pochodzi.

Ten punkt widzenia nie wyklucza możliwości, że we Wszechświecie istnieje życie, którego formy i wyglądu nie możemy sobie wyobrazić nawet w najśmielszej fantazji. Ale żadna z takich form życia nie udało-

by się na naszej planecie! Krytycy, którzy okazują się być gotowi do rozważenia tej teorii, zaznaczają zarazem, że absurdem byłoby twierdzenie, iż ludzkopodobne istoty we Wszechświecie myślałyby i postępowały tak samo jak my.

Ponieważ niezwykle aktualne jest to, co powtarzam od ponad 15 lat, przypomnę w wielkim skrócie: nieznanne, inteligentne formy życia przybyły przed tysiącami lat na naszą planetę. Od żyjących tu hominidów pobrały jedną komórkę i przeobraziły ją przy pomocy manipulacji genetycznej - metoda ta jest dziś stosowana: "Technicy genetyczni potrafią celowo zmienić zespół dziedziczenia" ("Geo", luty 1982). Przed dwoma laty twierdzono jeszcze, że celowe manipulacje genetyczne będą możliwe - jeśli w ogóle - dopiero za 100 lat.

Istoty pozaziemskie umieściły przeobrażoną genetycznie komórkę na pożywce, gdzie komórka ta rozwinęła się w jajo. Jajo to wszczepiono następnie samicy tego samego gatunku. (Metoda sztucznego zapłodnienia jest powszechnie stosowana tak u ludzi, jak u zwierząt.) Dziecko, które przyszło na świat, miało wszystkie cechy rodziców, lecz dzięki zmianom materiału genetycznego dysponowało właściwościami i możliwościami nieznanymi rodzicom - na przykład umiejętnością przechowywania w pamięci i przywoływania w każdej chwili tego, co przeżyło.

Powiedziałem, że temat jest nader aktualny. Dlatego:

Sąd Najwyższy USA rozstrzygnął właśnie kilka procesów, w których stronami byli ewolucjoniści i fundamentaliści. Ewolucjoniści (przeważnie naukowcy) chcieli uznania faktu, że życie na Ziemi powstało za sprawą przypadku i rozwijało się później zgodnie z zasadami ewolucji (Darwin). Fundamentalisci (przeważnie ortodoksyjni wierni) chcieli uznania biblijnego aktu stworzenia: Bóg stworzył człowieka "na obraz i podobieństwo swoje".

Pomijając fakt, że wyjaśnienie procesowe tego problemu przerasta możliwości sądownictwa, trzeba powiedzieć, że obie strony reprezentowały wyłącznie połowę prawdy. Gdyby uznano pozaziemski aspekt sprawy, to spór byłby zakończony albo by się w ogóle nie zaczął. Ewolucjoniści mają o tyle rację, o ile twierdzą, że istnieje ewolucja, mutacja i dobór naturalny, nie wyjaśnia to jednak najważniejszych problemów: Jak powstało życie? Jak doszło do powstania inteligencji? Fundamentalisci mają rację o tyle, o ile twierdzą, że życie przybyło na Ziemię "z zewnątrz" i że "Bóg" albo "bogowie" ukształtowali hominidy "na obraz i podobieństwo swoje" i obdarzyli je inteligencją: Jeśli antropolodzy wezmą pod uwagę istoty pozaziemskie, nie będą musieli dalej szukać brakującego ogniwa (missing link): była to po prostu sztuczna mutacja dokonana przez istoty spoza Ziemi.

Może leżąca przede mną płytka genetyczna zawiera informacje, których szukamy. W każdym razie życzę archeologii na następne dziesięć Bożych Narodzeń choć jednego Freda Hoyle'a!

Z Juanem Carlosem do Tunji

Gutierrez rozłożył na biurku jakieś rysunki.

- Co to jest, pańskim zdaniem?

- Strony z podręcznika chemii pańskiego syna...
- To rysunki naskalne z Tunji, Piedras de Tunja.
- Gdzie to jest?
- Czterdzieści kilometrów na północny zachód od Bogoty!
- Tak blisko? - O Tunji myślałem już jako o celu podróży, a przecież musiałem jakoś wypełnić jeszcze kilka dni beczynności.

Kiedy studiowałem wzory chemiczne, cząsteczki - takie wrażenie robiły rysunki - Gutierrez podsunął mi książkę:

- Proszę spojrzeć! Tu je wydrukowano. Archeolog Miguel Priana pisał o tym już w 1926 roku. Wysunął przypuszczenie, że chodzi o rysunki Indian Czibcza, ale ja w to nie wierzę. Znam wiele przykładów sztuki Czibczów, to nie ich styl. Przypuszczam, że rysunki pochodzą z czasów jakiejś wysokiej kultury, leżącej w odleglejszej przeszłości. Być może to my jesteśmy adresatami tajemniczych posłań - o ile zdołamy je odczytać.

Dr Forero nadal nie mógł dotrzeć do profesora Soto, nie odezwał się również pułkownik Baer-Ruiz. Mój przyjaciel szukał więc innych możliwości dotarcia do celu. Trzeba mieć cierpliwość, powiedział wczoraj profesor Gutierrez.

Postanowiłem pojechać do Tunji.

Forero przysłał Juana Carlosa, który miał mnie pilotować przez intensywny ruch uliczny, a otem towarzyszyć aż do Tunji.

Dzięki przejrzystemu planowi ulic sporządzonemu przez ojca - wszystkie miejsca skrętu były zaznaczone na czerwono - wynajętym chevroletem wyrwaliśmy się z miasta i pojechaliśmy bardzo dobrą drogą na północny zachód. Mijaliśmy domy o intensywnych kolorach i wielkich metalowych piłkach futbolowych na dachach. Kibice piłki nożnej objawiali w ten sposób swoją radość z powodu mistrzostw świata, które miały się odbyć w Kolumbii w 1986 roku.

Jeżeliśmy przez okolice, przywodzące mi na myśl kanton Appenzell - czysty i lśniący krajobraz rejonów przedalpejskich. Wszędzie ludzie przy pracy: grodzący pastwiska, uprawiający pola, sprzedający owoce i ceramikę - ani śladu beczynności, z jaką często stykałem się na Wyżynie Meksykańskiej i w Boliwii.

W Facatativa, osadzie składającej się z kilku jednopiętrowych domów, Juan Carlos zaczął się dopytywać o Piedras de Tunja. Skierowano nas na skraj miejscowości. Kiedy zaparkowałem obok szkoły wojskowej, licznik wskazywał, że przejechaliśmy 40,5 km. Gutierrez niezwykle dokładnie wyliczył długość trasy.

O tym, że Piedras de Tunja znajdują się na terenie chronionym przez państwo, informuje niemożliwa do przeoczenia ogromna tablica: Parque Arqueológico de Facatativa. Na tablicy napisano także, czego nie wolno tu robić: palić ognia, jeździć pojazdami, pisać (okropny zwyczaj turystów) na drzewach i kamieniach. Błogosławiony niech będzie rząd w Bogocie!

Dziwny kompleks. Wypielęgnowanymi, bezludnymi drózkami człowiek - na którego ze zdumieniem patrzą tylko czarno-białe krowy

- przechodzi obok kolosów, czworokątnych i prostokątnych bloków skalnych: trudno sobie wyobrazić, że w tak ekscentryczny sposób igrała tu sama natura. Przy całym bogactwie pomysłów przyroda nie ma jednak w zwyczaju pozostawiania po sobie zupełnie prostych linii wokół całych bloków skalnych. Widok ten skłania raczej ku twierdzeniu, że jest to fryz świątynny, "sufit", który, nim runął, opierał się w zamierzonej przeszłości na mocnych kolumnach.

Czy są to relikty legendarnej kultury Masma, owej hipotetycznej kultury, istniejącej jakoby przed tysiącami lat, której ślady przeczuwa się na wszystkich kontynentach?

Zagadka naszego świata: kultura Masma

Pojęcie kultury Masma wprowadził do literatury peruwiański geolog Daniel Ruzo. Stworzył je na określenie domniemanej, legendarnej kultury, która pozostawiła po sobie ślady nie dające się wyjaśnić po dziś dzień. Widziałem je w Andach peruwiańskich na wysokości 3800 m, niecałe 50 km od Limy. Znajdują się na mającym zaledwie 3 km² plateau Marcahuasi.

Właśnie tam Daniel Ruzo sfotografował zniszczone przez erozję posągi zwierząt z mezozoiku - na przykład stegozaura, należącego do grupy dinozaurów a występującego od okresu dolnej jury do dolnej kredy. W trakcie swoich wypraw Ruzo natrafił też na reliefy przedstawiające lwy i wielbłądy, których jakoby nie było w Ameryce Południowej. O różnych porach dnia i roku geolog kierował obiektyw aparatu fotograficznego na zdumiewające formacje skalne Marcahuasi, aż doszedł do zaskakującego odkrycia: utrwalił masyw skalny o rysach głowy starca, który jednak po wywołaniu zdjęcia okazał się wizerunkiem twarzy młodzieńca.

Zafascynowany fenomenem Marcahuasi Ruzo objechał cały świat zbierając fotograficzne dowody zjawiska, które z braku innych określeń nazwał kulturą Masma. Jego pasjonująca książka była i jest ignorowana, ale ukazała się przecież dopiero w 1974 roku.

Zdjęcia Ruza przypomniały mi się w trakcie wędrowki przez Park Archeologiczny, nasunęła mi się również myśl, która zawsze mnie irytuje: właściwie dlaczego tak zawzięcie wzbraniamy się przed uznaniem w rzadkich i nie dających się wyjaśnić formacjach skalnych pozostałości prastarych kultur? Ponieważ uparcie trzymamy się jednej błędnej myśli, że ludzie żadnej epoki nie przeistaczali masywów skalnych w dzieła sztuki?

Monumentalne kamienne rzeźby z Mount Rushmore znane są nawet ludziom, którzy nigdy tam nie byli - z fotografii. W stanie Dakota, na południowy zachód od Rapid City, z nagich skał patrzą na nas pełne należnej im godności ogromne twarze prezydentów: Jerzego Waszyngtona, Tomasza Jeffersona, Teodora Roosevelta i Abrahama Lincolna. Właśnie teraz, tuż obok, powstaje dzieło ekscentrycznego artysty - przy pomocy młotów pneumatycznych i ton dynamitu przeobraża on masyw góry w gigantyczny posąg wodza Indian Sitting Bulla.

Głowy prezydentów są pod stałą "opieką", bo inaczej porosłyby mchami, zwietrzały i skruszały, wystawione na działanie deszczu i wiatru. Cóż ujrzą za tysiące lat mądrzy ludzie -jeśli ustaną konieczne prace renowacyjne - w zniszczonych erozją kamiennych rzeźbach? Czy cztery głowy i posąg jeźdźca będą interpretowane jako "geologiczny wybryk" natury? Prawdopodobnie. Bo przecież żaden rozsądny człowiek nie przerabiałby gór na pomniki.

Nasze czasy nie zadają sobie nawet tyle trudu, aby spróbować wyjaśnić pochodzenie i powstanie monolitów, które wyglądają, jakby po kamiennym parku Facatativa porozrzuciła ręka olbrzyma. To, co zagadkowe, to, co wskazuje na odległą przeszłość, to, co w szaroczerwonych wzorach jakby plastra miodu leży pod moimi nogami, dałoby się wyjaśnić dzięki archeologii porównawczej:

Po takich samych wzorach, wyglądających jak schemat plastra miodu, kroczyłem już w Brazyli w Sete Cidades, Siedmiu Miastach między miasteczkiem Piripiri a Rio Longe. Zarówno tam, jak i tu skała musiała znajdować się w stanie płynnym - jak lawa przy wybuchu wulkanu. Zarówno tam, jak i tu nic się nie poruszyło. Żar musiał nadejść z prędkością eksplozji, a potem temperatura natychmiast opadła tak, że w trakcie szybkiego stygnięcia od razu powstały wzory przypominające plaster miodu. Żelazo roztopiło się, utleniło i pozostawiło czerwonawe zabarwienie we wzorze.

Facatativa i Sete Cidades stały się dla Indian świętymi miejscami, w obu występują nie dające się wyjaśnić ryty i malowidła naskalne. Oba wizerunki przedstawiają obraz wyniszczającego kataklizmu, wyzwalającego strumienie ognia, w których ogromne skały wylatują w powietrze.

Przestrogi

W odłamach kamieni leżących pod wiszącymi u góry skałami Indianie ryli i wykuwali owe rysunki, które pokazał mi profesor Gutierrez. W Parku Archeologicznym szczególne miejsce zajmują Piedras de Tunja.

O czym mówią, o czym informują te ryty, wyglądające jak wzory chemiczne? Czy są to znaki ostrzegawcze? Czy opowiadają o katastrofie, która tu kiedyś nastąpiła? Czy są to znaki określające granicę strefy, dokąd wchodzenie może być niebezpieczne? Żeby odpowiedzieć na te pytania, trzeba przywołać na pomoc wyniki najnowszych badań.

Amerykańska Agencja Energii Atomowej zleciła grupie badawczej zaprojektowanie ostrzeżenia, które tysiące lat po naszej erze będzie ostrzegać przyszłe pokolenia, że wchodzenie w rejony składowania odpadów promieniotwórczych jest niebezpieczne.

Thomas Sebeok, szef zespołu, polecił oznaczyć te miejsca wielkimi tablicami ostrzegawczymi, na których wyryje się - ludzie przyszłych tysiącleci nie będą znali naszego języka - informację składającą się z symboli, obrazów i słów. Oprócz tego eksperci zaproponowali

uwzględnienie ludzkiej skłonności do przesądów: na tablicach należy wyryć w formie rysunków zakodowane groźby, aby przyszli ludzie uważali; że wchodzenie w dany rejon "będzie karane nadnaturalną zemstą". W związku z tym "Der Spiegel" napisał: "Ponieważ wiemy z doświadczenia, że ostrzeżenia tego rodzaju są dla osób ciekawych raczej intrygujące niż odstrasżające, Sebeok zaleca dodatkowo 'zaczadzenie' takich cmentarzysk nieprzyjemną wonią 'bomb zapachowych' o długotrwałym działaniu".

Nie wiem, czy możliwe jest wyprodukowanie bomb, które w tak odległej przyszłości będą katowały ludzkie nosy swoją zawartością - w każdym razie plan z tablicami ostrzegawczymi wydaje mi się problematyczny. Z czego należałoby je zrobić, żeby przetrwały tysiąclecia? Jeżeli użyje się do tego złota albo platyny, to na pewno znajdą się zaraz amatorzy tych metali. A może się założymy, że takie tablice niedługo będą stały na swoim miejscu?

Czy w Facatativie roztrząsano w zamierzczłej przeszłości problem powierzenia skałom takiej przestrogi? A zrobiono by to najprawdopodobniej na masywach skalnych, podobnie jak Indianie przekazywali swoje informacje? Wydawało mi się, że to najlepsza ze wszystkich możliwości. Dowiodła tego historia.

Pod groźbą globalnego unicestwienia wiele pieniędzy trwoni się na propagowanie pokoju i na tworzenie złudnych modeli ratowania ludzkości. Na badania prehistorii przeznaczają się mniej więcej tyle samo państwowych pieniędzy. Nie uwzględnia się, że niebezpieczne sytuacje, jakie najprawdopodobniej nas czekają, być może udało się już raz, a może wiele razy, przetrwać i przeżyć? Obawiam się, że nadal aktualne jest stwierdzenie Monteskiusza (1689-1755): "Człowiek prawie nigdy nie dochodzi do rozumu przez rozum".

Śladami bogów

Kiedy hiszpańscy konkwistadorzy w kwietniu 1538 roku opanowali wyżynę rozciągającą się wokół dzisiejszej Bogoty, Piedras de Tunja były już czczone jako świętość. Hiszpanie trafili do indiańskich plemion, zwanych z powodu wspólnoty językowej Czibczami. Plemiona te miały swoje siedliska między dzisiejszą Nikaragwą a Ekwadorem. Do grupy Czibczów należeli też Indianie Muiska. Nie wznosili oni wprawdzie monumentalnych budowli, opanowali jednak umiejętność wytwarzania ceramiki wysokiej jakości oraz sztukę obróbki złota; potrafili również tkać wyszukane materie.

Dlaczego już wtedy Piedras de Tunja były czczone jako świętość? Tu gdzie spacerowałem, Indianie Muiska fetowali swoje święta ku czci bogów, tu dla przebłagania boskiego gniewu składali ofiary z chłopców. Dlaczego właśnie tu, czy nie było to takie samo miejsce jak inne? Z przekazów Indian Muiska można wysnuć wniosek, że Piedras de Tunja były od bardzo, bardzo dawna uważane za święte.

Z mroków mitologii wyłania się bóg Słońca Chiminigagua - gagua znaczy słońce. Hiszpański kronikarz Simon Pedro tak przedstawił

według opowieści Indian przybycie tego boga:

"Była noc. Jeszcze nie było ani kawałka światła. Światło było zamknięte w wielkim 'niby-domu' i wyszło z niego. Ten 'niby-dom' jest 'Chiminigagua' i on krył w sobie światło, aby mogło wyjść. W blasku światła rzeczy zaczęły się stawać [...]"

Chiminigagua, bóg słońca albo światła, był dla Indian Muiska wszechmocnym władcą Universum, był przez nich uważany za boga dobrego, ale nie zbudowali świątyni, w której bóg ten miałby mieszkać. On przecież prowadził swój "niby-dom" ze sobą. Między bogiem Chiminigagua a Indianami Muiska kursowali "posłańcy", którzy przekazywali Indianom korzystne umiejętności, uczyli ich moałości i religii - w końcu zniknęli, nie zapowiedziawszy jednak, że wrócą.

W micie Indian Karibi przekaz ten ma swój odpowiednik. Plemię to zamieszkiwało tereny niziny kalumbijskiej przy północnych krańcach Andów. Jego mity opowiadają o tym, że ludzkość pochodzi od niejakiego Louquo, który - podobnie jak jego kolega u Indian Muiska - zstąpił z nieba. Najpierw stworzył inteligentnych ludzi, następnie nauczył ich połowu ryb, budowy domów i uprawy manioku... aż - wyniesiony do godności boskiej - powrócił do nieba.

Chiminigagua i Louquo, bóg Inków Wirakocza i bóg Majów Kukulcan znajdują się w centrum przekazów, które mówią to samo: "bogowie" zstąpili z nieba, stworzyli ludzi, byli ich nauczycielami i w końcu gdzieś zniknęli. Pozostały istoty ludzkie, które nie potrafiły pojąć cudu, jaki przeżyły.

Dopiero po wniebowstąpieniach te zadziwiające postacie uczyniono gwiazdami, a gwiazdy stały się symbolami "bogów", którzy zniknęli. Ponieważ uchwytnie objawienia uciekły z Ziemi bez śladu, to muszą mieszkać "tam w górze", skąd przybyły. Jasne, że miejsca, w których istoty te przebywały w postaci widzialnej i żywej, awansowały na miejsca święte... jak Piedras de Tunja w Parku Archeologicznym Facatativa.

El Dorado - Złota Kraina

Podczas podróży powrotnej Juan Carlos zapytał:

- Zna pan historię El Dorado?
- Niezbyt dobrze. Wiem, że El Dorado znaczy "połączany człowiek", wiem, że pojęcie to oznacza legendarny złoty kraj...
- Nie zna pan mitu Indian Muiska?
- A ty znasz?
- Si, si, señor. Uczymy się tego w szkole, w końcu zdarzyło się to w naszej ojczyźnie.
- Opowiedz mi o tym, proszę...

Juan Carlos usadowił się wygodniej na siedzeniu obok.

Swoją żywą relację podkreślał obrazowymi gestami, jakie są w stanie opanować tylko Latynosi.

- Było tak: W szesnastym wieku Hiszpanie przybyli na wyżynę i pokazali Indianom złoto i kamienie szlachetne. Pojmany torturowali, żeby się dowiedzieć, gdzie można znaleźć taki metal i takie kamienie. W strachu o własne życie Indianie, którzy nic nie wiedzieli

o miejscu przechowywania skarbu, opowiedzieli zdobywcom legendę przekazywaną z pokolenia na pokolenie. I, między nami mówiąc, narobili w ten sposób wiele niedobrego.

Oto historia, jaką Indianie opowiedzieli Hiszpanom:

Nim kolejny władca Indian Muisca zasiadł na tronie, musiał spędzić pewien czas samotnie w jaskini. W dzień wiosennego przesilenia dnia z nocą udawał się potem nad jezioro Guatavita, znajdujące się w górach, na wysokości 2600 m. Tam oczekiwali go wszyscy członkowie plemienia. Na brzegu budowali tratwę z trzciny i drewna, zdobiąc ją girlandami kwiatów. W ciemnościach nocy stawiali na tratwie cztery miski rozżarzonego węgla drzewnego z wielką ilością moque (kadzidła). Dzień ten był świętem, mężczyźni zatem stroili się w pióra, kobiety miały na sobie najpiękniejsze ozdoby ze złota, koralu i kamieni szlachetnych.

W mrokach nocy przyszłego władcę rozbierano do naga, nacierało żywiczną ziemią i posypywano warstwą złotego proszku. Złotem pokrywano całe ciało władcy, nawet włosy.

Po tym zabiegu wybrańca wprowadzano na środek tratwy, gdzie miał stać bez ruchu. Na rogach tratwy stawiali wodzowie. Nie wiem, czy był to obraz równie wspaniały jak w podręcznikach, musiał być jednak piękny! Wystarczy sobie tylko wyobrazić: mroki nocy, tratwa, na niej czterech wodzów przyozdobionych złotymi łańcuchami i kolczykami, u ich stóp góry, prawdziwe góry złota i kamieni szlachetnych.

A potem, kiedy słońce wzniosło się nad grzbiety gór, kiedy jego pierwsze promienie dosięgły tratwy, brzegi jeziora ożywały! Potężne dźwięki fletów, bębnów, śpiew rozbrzmiewały w dolinie.

Poruszana wiosłami tratwa z pięcioma mężczyznami wysuwała się powoli na środek jeziora.

Pokryty złotem młody władca składał ofarę bogu Słońca. Wrzucał wszystkie skarby do jeziora, za jego przykładem zaś szli pozostali czterej wodzowie.

Następnie tratwa zbliżała się z powrotem do brzegu, położony mężczyzna wchodził do jeziora i przy akompaniamencie rytualnych śpiewów następowało obmycie pomazańca. Był teraz nowym władcą Indian Muisca.

- Piękna legenda... - Znałem ją, nie chciałem jednak psuć chłopcu przyjemności opowiedzenia jej do końca.

- To wcale nie legenda, señor! Tak było! Przy osuszaniu jeziora Guatavita znaleziono bardzo wiele złota. Słowo honoru!

Prawdą było to, o czym tak żarliwie zapewniał mnie Juan Carlos.

Już w 1545 roku Hernan Perez de Quesada próbował obniżyć poziom wód. Tysiące Indian tykwami i drewnianymi czerpakami wybierało wodę z jeziora. Ponieważ panowała pora sucha, a poziom wody był niższy niż zazwyczaj, de Quesada zdołał - jak powiadają - obniżyć lustro wody o 3 m - dość, aby wydobyć 4000 złotych pesos.

W 1580 roku podjęto kolejną próbę. Bogaty kupiec Antonio de Sepulveda zwerbował 8000 Indaan, których szaleńcza praca przeobraziła okolicę - jest to widoczne po dziś dzień jako symbol jeziora Guatavita: od strony doliny Sepúlveda kazał wykopać kanał o przekroju litery V, przez który woda wypływała powoli z jeziora. Nim sztuczny odpływ się zapadł, poziom wody obniżył się o 20 m. Swojemu

chrześcijańskiemu królowi, Filipowi II, Sepúlveda wysłał do Madrytu złote napierśniki, węże, orły, sztabki oraz szmaragd wielkości kurzego jaja. Sobie zostawił 12000 złotych pesas, ale mimo to zmarł w nędzy. Sepúlveda, którego złoto urzekło i doprowadziło do rozpaczy, ma grób w kościele w Guatavita, niedaleko jeziora.

Złoto Indian Muiska nęciło ludzi przez tysiąclecia. Awanturnicy próbowali opróżnić jezioro z wody i zagarnąć skarb. Tworzono spółki akcyjne, które zlecały kapanie podziemnych kanałów. Wciąż wydobywano złote przedmioty, lecz ich lwia część nadal spoczywa w toni jeziora. Raz, jak się zdawało, dotarto do dna - stanowiło ono jednak mulistą pulpę głębokości 20 m, w której utonęli najodważniejsi nurkowie. Pompy z Bogoty sprowadzono za późno. W słonecznym żarze powierzchnia mułu zamieniała się w skorupę tak twardą, że można było po niej chodzić. Ale pora sucha szybko dobiegła końca. Masy wody na powrót pochłonęły skarb Muisków. Znaczący oceniali jego wartość na 100 mln dolarów,

Mit, którego ślady można uchwycić.

Kto kazał Muiskom przekazywać kosztowności w ofierze bogu Słońca? Kto skłonił ich do odprawiania zagadkowego rytuału połączenia przywódcy plemienia - człowieka w ich przekonaniu najbliższego bogom? Czy ich odlegli przodkowie ujrzeli jakąś postać, która wyglądała, jakby była połączona? Czy istoty pozaziemskie nosiły skafandry ochronne lśniące niczym złoto? Czy prostoduszni Indianie wierzyli, że tajemniczy bogowie, którzy przybyli tu ze Słońca, żądali ofiar ze złota i kamieni szlachetnych?

- Zna pan Museo del Ora? - zapytał Juan Carlos, żegnając się ze mną przed "Hiltonem" po przedarciu się przez ów kocioł czarownicy, jakim jest trzymilionowa Bogota. Tak, przed dziesięciu laty byłem w Muzeum Złota. Najeden raz jest ono w stanie eksponować tylko część z 28000 znalezisk archeologicznych. Kolejna wizyta może się więc opłacić. Umówiliśmy się na następny dzień, kolejny dzień oczekiwania, o ile jakieś nowe wieści nie zawiodą mnie w dżunglę.

Skarby Indian

Przeraźliwy dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu o nieprzyzwoicie wczesnej porze. Dzwonił dr Forero, od razu więc się obudziłem.

- Złapał pan profesora Soto?

- Nie, to nie uda się nam tak szybko. Czy zechciałby pan jednak przedstawić swoją teorię paru oficerom lotnictwa wojskowego?

- Jasne, zrobię wszystko, żeby tylko dotrzeć do Ciudad Perdida! Wykład może mi posłużyć, jeśli tylko któryś z tych panów będzie miał pod ręką jakiś helikopter!

- Co pan dziś robi?

- Umówiłem się z Juanem Carlosem w Muzeum Złota.

Muzeum Złota, przechowujące najbardziej zdumiewające znaleziska archeologiczne Kolumbii, zostało założone w 1939 roku przez Banco de la Republica. Urządzono je na drugim piętrze budynku banku przy

Szesnastej Ulicy - pomieszczenia muzeum są chronione potężnymi stalowymi drzwiami i strzeżone przez uzbrojonych strażników.

Z ulgą stwierdziłem, że dziś nadal - podobnie jak przed dziesięciu laty - wolno tu fotografować. W większości muzeów Europy, ale nie tylko tam, strażnicy muzealni dostają histerii na widok aparatu fotograficznego, który trzeba natychmiast oddać do depozytu. Twierdzi się, że eksponaty niszczą się od fotografowania. To prawda, gdy chodzi o stare dokumenty, wystawione na działanie lamp błyskowych, ale przecież od dawna stosuje się wysokoczułe filmy do 1600 ASA, umożliwiające fotografowanie nawet w półmroku.

Twierdzę, że archeolodzy - bo to w ich muzeach znajdują się najbardziej istotne eksponaty - zabraniają fotografowania z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby sprzedać własne albumy z fotografiami kolekcji. Jako autor znający się na prawach rynku uważam takie postępowanie za skandaliczne. Skąd archeolodzy biorą pieniądze na swoje badania, skąd muzea otrzymują subwencje? Z kieszeni podatnika. Dlatego za szalbierstwo uważam traktowanie zabytkowych przedmiotów jak własność prywatną. Po drugie, zawodowcy chcą zapewne uniknąć tego, aby archeolodzy-hobbyści - opierając się na fotografiach! - interpretowali znaleziska w sposób nie pasujący do bezbłędnych interpretacji naukowych. Wszystkie interpretacje są subiektywne. Kiedy nieakredytowanych gości z zewnątrz trzyma się na dystans od Dworu króla Nobla outsiderowi naprawdę trudno przeciwstawić własne, nowe punkty widzenia zastanym zapatrywaniom, uważanym za nietykalny dogmat. Louis Pauwels i Jacques Bergier napisali w książce Wymarsz w trzecie tysiąclecie:

"Dodatkowo do owych wolności, jakie gwarantuje nam konstytucja, trzeba zażądać jeszcze jednej: wolności wątpienia w naukę".

W przyciemnionych pomieszczeniach Museo del Oro panuje cisza. Grube wykładziny dywanowe tłumią każdy krok, rozmowy prowadzi się szeptem, widok obcej twarzy odbijającej się w szkle gabloty przeraża. Człowiek staje z szacunkiem przed górami prehistorycznych skarbów, spiętrzonych, powiązanych w girlandy.

Wartownicy prowadzą nas do zupełnie ciemnego pomieszczenia - z niewidocznych głośników płynie cicha muzyka. Za nami zamykają się automatycznie przeciwwłamaniowe stalowe drzwi. Próbuje się zorientować, gdzie jesteśmy, ale zaraz zapala się jaskrawe światło. Porażeni wspaniałością widoku odnajdujemy się w skarbcu. Za pancernym szkłem wznoszą się wzdłuż ścian - tylko ręką sięgnąć - dzieła sztuki Indian Kolumbii. Z sufitu zwisają kosztowności pozłacane, posrebrzane i uszlachetniane platyną.

Mój wzrok, sfrustrowany bogactwem oferty, kierował się na poszczególne przedmioty, których sens jest nader zagadkowy. Wtedy - tak jak i dziś - do wyrobu przedmiotów codziennego użytku nie stosowano metali szlachetnych. Gdy artyści wykuwali niegdyś z drogiego metalu postaci, twarze i hełmy, to chodziło - nie ulega to wątpiwości - o przedmioty kultowe, o stylizowane wyobrażenia ważnych bóstw.

Prawdziwe osobliwości znaleziono na terytorium Indian Kwimbaya. W muzealnym przewodniku czytamy: "Stylizacja antropomorficzna",

ludzkie rysy twarzy u nieludzkiej istoty. Dziecku naszych czasów mógłbym wytłumaczyć, że chodzi tu o robota: rozkraczone "nogi", coś jakby głowa, a nad nią dwie skorupy niczym obudowy budzików. Te "stylizacje antropomorficzne" istnieją w wielu wersjach - raz są ozdobione skrzydłami, innym razem prętami, ale zawsze widać części budzika, które przydają im atmosfery techniczności.

Sztuka Indian Kalima jest reprezentowana przez wizerunki potężnych głów o nosach szerokich i kościstych - kształt głów jest całkowicie obcy temu plemieniu. W uszach kolczyki, prawie wielkości głowy, z nosów natomiast "skapują" szerokie, złote maski twarzowe, tak, a do tego głowy te są w hełmach zakończonych skrzydłami, które z kolei są udekorowane kulami, płytkami, kropkami i prętami - zawsze widać tam również "budziki". Należy się zastanowić, kto albo co jest symbolizowane w ten sposób. Przewodnik po muzeum nie patyczkuje się, uznając prace Kalimów za "diademy". W sprawie diademów kompetentna jest Liz Taylor. Może ją należałoby zapytać, czy miałyby ochotę stroić się w stylu tych kwadratowych głów?

Jest tu też elegancki okrągły amulet z postacią, o której nie można powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta - po dokładniejszym przyjrzeniu się typuję raczej osobnika mojej płci. Artysta przedstawił przypuszczalnie symbol tragarza: na trójkątnej głowie, na ramionach i na nogach spoczywają ciężary - pnie drzew albo kamienne kolumny. Wspomnienia praprzodków, którzy w Facatativa jęczeli pod kamienym brzemieniem?

Interesujący wydał mi się również amulet z wizerunkiem postaci, z której czaszki wystrzelają promienie. Powyżej szerokiego pasa wisi na jej piersi tarcza. Baśniowa istota siedzi w kucki w lektyce, przypominającej tron a niesionej przez dwa embrionalne monstra (zwierzęta?). Jeśli tylko artysta miał dość miejsca, od razu pojawiały się też wyobrażenia kul. Wydaje się, że w świecie dawnej sztuki kule odgrywały nader istotną rolę.

Inna wyobrażona na napierśniku władcza istota pozwala się nieść w lektyce podobnej do tronu - tragarzami są tu oryginalnie stylizowane ludziki. W rękach istota trzyma dwa przedmioty, z których jeden (lewy) może być uznany za puchar, drugi natomiast wygląda na jakieś urządzenie techniczne. I ta postać jest otoczona kulami (albo tarczami). Ulubiona staroindiańska gra w kule nie pozwalała nawet stosować innych dodatkowych elementów graficznych poza kulami - różna mogła być tylko ich wielkość.

Podobno kule czy tarcze były po prostu symbolami Słońca i Księżycy. Nie mogę w to uwierzyć: nawet prekolumbijscy Indianie wiedzieli, że na niebie jest tylko jedno Słońce i jeden Księżyc! Dlaczego zatem takie elementy występują wciąż w liczbie mnogiej? Wydają się zbyt wyraziste jak na czystą ornamentykę, zajmują też za wiele miejsca. Czy należy je uznać za wyobrażenie Indian o świecie mającym kształt kuli? Czy kule (albo tarcze) były uważane przez nich za symbol wieczności?

O czym myślał indiański artysta wycinający na amulecie ludzką istotę z ogromnymi żabimi oczami, z rozkraczonymi cienkimi nogami i wyciągniętymi cienkimi rękoma? Dwa ptaki po bokach istoty są nadnatural-

nej wielkości w stosunku do postaci. Trójca stoi na gzymsie podpieranym przez skrzyżowane, długie nogi. Jedenaście kul stylizowanych na bławatki otacza pod fryzem dwie belki. Na niższym poziomie tej czteropiętrowej kompozycji umieszczono skrzyneczkę, na której wieku znów leżą dwie kule. Ten amulet jest podobno kolczykiem do nosa, bo część okrągłą można w jej górnej części otwierać - pozwalając zacześcić przedmiot u nosa. Może to i prawda, lecz wówczas wyobrażenia znajdowałyby się po bokach.

W Muzeum Złota jest też kilka modeli samolotów - przepraszam! - wizerunków owadów. Wszystkie modele to dolnopłaty, skrzydła znajdują się pod kadłubem. Wszystkie też mają zarys pionowej płetwy ogonowej. Z archeologicznego punktu widzenia te złote klejnoty zostały skatalogowane czy "zaszufladkowane", jak to się obrazowo mówi, jako "ozdoby religijne", atrybuty kultu ryb albo owadów. Cudownie! Tyle że u Indian kolumbijskich nie znaleziono ani śladu kultu ryb czy owadów. Modele samolotów nie mają poza tym ani głów rybich, ani owadzich.

Muzeum Złota było warte powtórnej wizyty. Tysiące wystawionych tu eksponatów ożywia fantazję i budzi podziw dla pradawnych indiańskich artystów, prowadząc zarazem w świat zagadek i tajemnic, w ów świat, który został zlukwidowany w tak bezwzględny sposób przez hiszpańskich zdobywców.

Adieu, Bogoto!

Wieczorem wyczerpała się moja cierpliwość. Dr Forero to człowiek miły, usłużny i godny zaufania i ani przez chwilę nie wątpiłem w jego próby załatwienia mojego problemu. Przy kolacji oświadczył jednak, że wielu spośród oficerów lotnictwa wojskowego, których chciał zaprosić pułkownik Baer-Ruiz, było akurat zajętych - brało udział w kursach i dowodziło, pułkownik nie mógł więc ode mnie żądać, abym mówił dla pozostałej garstki Qudzi. Zawisł nad nami upiór mañany.

Dr Forero zaproponował całkiem serio, abym został w Boliwii jeszcze trzy miesiące. W sierpniu odbędzie się w Bogocie wielki kongres ufologiczny, a organizatorzy zamierzają mi zaproponować, abym w jego trakcie wygłosił wykład. Wtedy udałoby się też spełnić moje pragnienie dotarcia do Zaginionego Miasta w dżungli. Mañana.

Przeznaczyłem na ten wyjazd tydzień, później miałem w programie wyznaczone umowami wykłady w Niemczech, Austrii i Szwajcarii.

- Polecę do Santa Marta i spróbuję dotrzeć do dżungli na własną odpowiedzialność! - zreasumowałem szybko moje możliwości. Dr Forero ostrzegwał: kiedy wojsko zamyka obszar wykopalisk, nie dotrze tam nawet Kolumbijczyk, nie mówiąc już o obcokrajowcu.

Podziękowałem mu serdecznie za pomoc i zaproponowałem przejście na ty:

- Wiem, że jeszcze się zobaczymy.

Następnego dnia odleciałem z powrotem do Szwajcarii.

V. Ósmy cud świata

Problemem jest dziś, jak przekonać
ludzkłość, aby zechciała przeżyć.

Bertrand Russel (1872-1970)

Przed odjazdem zamówiłem w "Hiltonie" pokój na 14 sierpnia. Pod koniec lipca potwierdziłem listownie dr. Forero, że będę na kongresie, ale że przyjeżdżam przede wszystkim po to, aby spotkać się wreszcie z profesorem Soto i zobaczyć Zaginione Miasto.

Samolot Lufthansy wylądował punktualnie o 21:40 na mokrym od deszczu pasie startowym w Bogocie. Czyżbym śnił? Czy to prawie trzy miesiące temu odlatywałem stąd zły? Pewność, że teraz ujrzę Zaginione Miasto, napełniała mnie nieopisaną radością.

W "Hiltonie" potwierdzono wprawdzie moje zamówienie, ale wolnego pokoju nie było, o czym powiedział mi młody kierownik recepcji. Jako że nastawała noc, a ja byłem zmęczony i nie miałem jakiegokolwiek nadziei na znalezienie innego schronienia, spróbowałem starego żartu:

- Czy znalazłby pan - zapytałem z najpoważniejszą miną, na jaką było mnie stać - pokój dla królowej Elżbiety, gdyby nieoczekiwanie przybyła do pańskiego hotelu?

Pod czaszką młodzieńca rozszalały się myśli.

- Tak - odparł z udumą. - Wtedy pewnie zrobilibyśmy wyjątek.

- To niech mi pan da ten pokój! Przymierzam panu, że królowa nie przyjedzie dzisiejszej nocy.

Pana w czarnym ubraniu opuściły resztki humoru, nie wykorzystał też swojej ostatniej szansy, aby skorzystać z żelaznej rezerwy, jaką ma każdy hotel tej kategorii. Po ostatnim pytaniu: - A więc nie ma pan dla mnie wolnego pokoju? - zacząłem otwierać walizkę, aby umościć się na kanapce w hotelowym hallu. Dlaczego mam cierpieć za błędy personelu? Byłem śmiertelnie zmęczony - lotem i zmianą czasu - marzyłem o łóżku. Zrozpaczony moim desperackim striptizem młodzieniec zawołał dyrektora - ten oczywiście znalazł dla mnie wolny pokój.

Czemu nie zrobiono tego od razu?

O dziewiątej rano telefon obudził mnie z długiego i zdrowego snu.

Dzwonił dr Forero.

- Jesteś jednak! Nie do wiary!

- Umawialiśmy się przecież na dziś!

Jak się okazało, przybyłem wcześniej niż mój list, wysłany z końcem lipca. Spotkaliśmy się godzinę później. Poza trzema wykładami w Teatro Libertador miałem przemawiać w dwa wieczory do członków Klubu Rotary oraz wygłosić wykład dla oficerów, zaplanowany przez pułkownika Baer-Ruiza jeszcze podczas mojego poprzedniego pobytu.

- A co z profesorem Soto?

Forero był przygotowany na moje pytanie - wyciągnął z aktówki pracę Buritaca 200 - Ciudad Perdida. Autor: Profesor Soto Holguin.

Zacząłem kartkować. Schody wśród lian, mury porośnięte mchami, tarasy w samym środku bujnej tropikalnej dżungli.

- Fantastyczne! - zdumiałem się. - A co z profesorem?
- Możesz się z nim spotkać jutro o jedenastej na uniwersytecie!

Rozmowa z szefem wykopalisk w Zaginionym Mieście

W tej metropolii łatwo się połączyć - Bogota ma układ ulic przecinających się pod kątem prostym. Biegące z północy na południe nazywają się carreras, a czasem - nieco na wyrost - avenidas. Ulice poprzeczne, przecinające carreras pod kątem prostym, nazywają się calles, a te są opatrzone numerami zwiększającymi się na południe.

Bez trudu trafiłem do instytutu profesora Soto przy Carrera 1. Wysoki, szczupły archeolog wyszedł mi naprzeciw z uśmiechem:

- A więc to pan pisze te książki!
- Ma pan coś przeciwko temu? - skontrolowałem.
- Nie, właściwie to nie, nauka jest otwarta na wszelkie opinie.

Dość młody, bo dopiero trzydziestoosmioletni profesor uznaje więc także punkty widzenia niezgodne z obowiązującą teorią. Zacząłem go podziwiać - to naprawdę rzadki okaz w tym zawodzie.

Zajęliśmy w audytorium miejsca w fotelach, które przy prawym podłokietniku miały o wiele za mały pulpit. Profesor usiadł swobodnie na poręczy i z wyraźnym zadowoleniem zaciągał się papierosem.

Zapytałem:

- Nazywa pan zaginione miasto Buritaca 200. Co to znaczy?
- Sierra Nevada de Santa Marta rozciąga się między długością geograficzną 72°50' a 74°15' na zachód od Greenwich. Jeśli wziąć pod uwagę szerokość geograficzną, to obszar ten zawiera się na północ od równika między 10°5' a 11°20'. Na tym terenie są źródła wielu rzeczek, z których kilka płynie na północny zachód, uchodząc do Morza Karaibskiego. Jedną z nich jest Rio Buritaca, nad której brzegami leży Zaginione Miasto. Dlatego Buritaca 200!

- A co oznacza liczba 200?
- Dwusetne siedlisko. Że tak powiem, dwusetne miasto, które zlokalizowaliśmy.
- Strasznie tego słuchać. Czy to znaczy, że w dżungli było niegdyś pełno ludzkich siedlisk i kultur miejskich?
- Tak, to ogromny obszar. Wyobrazi pan to sobie z grubsza, jeśli powiem, że dotąd odkryliśmy ponad 2000 km dróg i ulic wyłożonych kamieniami. Prace wykopaliskowe prowadzimy od 1976 roku, a końca nie widać. Buritaca 200 jest dziesięciokrotnie większe od znanej twierdzy Inków Machu Picchu w Peru.

Jakaś studentka podała nam kawę. Kolumbijska kawa na całym świecie smakuje wspaniale, lecz nigdzie nie parzy się jej tak mocno jak w kraju, w którym się ją uprawia. Interesujące byłoby się dowiedzieć, czy wszyscy Kolumbijczycy są chorzy na serce, czy z powodu kawy w ogóle nie wiedzą, gdzie jest serce. Zapytałem:

- Kto i kiedy wznosił to miasto?

- Na podstawie dotychczasowych datowań przy pomocy radioaktywnego izotopu węgla C-14 sądzymy, że Buritaca 200 zostało zbudowane około 800 r. po Chr. Budowniczymi byli Indianie Taironowie z grupy Czibczów. Istnieje również pojęcie kultura Taironów, ale w istocie jest to określenie groteskowe, bo Taironowie wcale siebie tak nie nazywają. To Hiszpanie nadali to imię Indianom żyjącym w Sierra Nevada. Nazwa nie może dziwić, bo wiadomo, że słowo tairo znaczy tyle co "odlewać metal", a żądni złota Hiszpanie poszukiwali właśnie tego szlachetnego metalu - złota.

- Znalazł pan ceramikę albo groby i mumie?
- Znaleźliśmy ceramikę, a nawet kilka przedmiotów z metalu, odkryliśmy parę skał, na których były ryty, a w końcu i groby, ale bez mumii. W dżungli jest zbyt wilgotno, aby mumifikować zwłoki.
- To prawda, że obszar wykopalisk jest zamknięty przez wojsko?
- Zamknięty? Niewłaściwe słowo. Na górze jest paru żołnierzy, którzy mają chronić naszych ludzi i odstraszać rabusiów grobów, mogących wyrządzić znaczne szkody.
- Nie ma pan więc nic do ukrycia? A poza tym: czy jest możliwe, żeby - teoretycznie - kompleks ten zwiedzały zorganizowane grupy turystów?
- Nie mamy nic do ukrycia, mimo wszystko jednak na miejscu wykopalisk nie chcielibyśmy mieć turystów. Chętnie dopuszczamy fachowców, którzy mogą się tam wiele nauczyć. Socjalny i ekologiczny system tego kompleksu jest wspaniały. Mimo że indiańscy budowniczy uprawiali rolę, prowadzili handel z miastami portowymi i budowali miasta w dżungli, nie zniszczyli środowiska.
- Miałby pan coś przeciwko temu, żebym tam pojechał?
- Nic.
- Jak tam dotrzeć?
- Śmigłowcem. Lot z Bogoty i z powrotem kosztuje około 8000 dolarów. Jeżeli jednak zechce pan poczekać dwa miesiące, bo teraz mam cykl wykładów, może pan polecieć ze mną!

Historia Zaginionego Miasta

Miła propozycja, tylko co zrobić z dwoma miesiącami czekania - to jedna szósta roku?! Tylko nie rezygnować, powiedziałem sobie.

Pierwsza rozmowa z Soto Holguinem była krótka, lecz potem spotkaliśmy się jeszcze dwa razy w jego mieszkaniu w wieżowcu przy Calle 7. na dłuższe rozmowy. Obraz Zaginionego Miasta dopełniał się powoli, niczym puzzle. Oto jego historia:

Kiedy Hiszpanie Rodrigo de Bastidas i Juan de la Cosa badali w 1501 roku wybrzeża dzisiejszej Wenezueli, wyruszali również w kierunku dzisiejszej Panamy. Prowadzili handel z Indianami z wybrzeża, gdzie zresztą zostawili członka ekspedycji Juana de Bonawenturę, aby nauczył się języka: kupcy muszą opanować język partnerów w interesach, żeby móc ich potem oszukiwać.

Zdobywcy byli wyczuleni na złoto, zrozumieli więc, że Indianie oferują im na handel wymienny również przedmioty z tego metalu.

Najwybitniejszy dziś znawca kultury Taironów, profesor Henning Bischof, pisze o gęstym osadnictwie w rejonie dzisiejszego miasta portowego Santa Marta:

"W wieku XVI i w początkach XVII Sierra Nevada przedstawiała zupełnie inny obraz [...] Ten sam wniosek dopuszczają relacje z ekspedycji i walk, z których wynika, iż Hiszpanie dysponowali lepszymi możliwościami obserwacyjnymi, niż gdyby znajdowali się w zalesionym rejonie górzystym. Za podstawę dowodu, że obraz tych okolic musiał się znacznie zmienić, mogą już służyć dane dotyczące gęstości zamieszkania tych regionów przez ludność indiańską".

Rodrigo de Bastidas osiadł w Santo Domingo - dziś stolicy Republiki Dominikańskiej na wybrzeżach Haiti. W 1524 został przez króla hiszpańskiego Karola I wyniesiony do godności gubernatora nowej prowincji Santa Marta. Z oddziałem dwustu-trzystu ludzi gubernator dotarł w czerwcu 1526 r. do Santa Marta, zapadłej dziury na wybrzeżu.

W trakcie kolejnych dziesięcioleci Hiszpanie prawie bez przerwy walczyli z Taironami, którzy rozpaczliwie bronili się przed paleniem i plądrowaniem ich wsi przez białych oraz więzieniem i mordowaniem mężczyzn. Konkwistadorzy, zdobywcy, byli pewni, że ich barbarzyńskie metody są uprawnione przez koronę w Madrycie, która dekretem uczyniła Indian niewolnikami i wyjęła spod prawa - można ich było zabijać albo zmuszać do najniższych usług.

Przeciw "nowoczesnej" broni Hiszpanów Indianie mieli kamienie drewniane pałki, dzidy oraz łuki i strzały. Strzały były zatrute. Truciznę uzyskiwano z naturalnych źródeł - z soku drzewa manzanilla, rośliny niezwykle trującej, podobnej do gruszy, a pochodzącej z rodziny wilczomleczowatych, rodzącej owoce podobne do jabłek, które dostarczały trującego soku. Strzały były w nim moczone, suszone na powietrzu, a następnie zawijane w liście palmowe, żeby sami strzelcy się nimi przypadkiem nie zadrasnęli. Z kory lian kulczyby pozyskiwali truciznę znaną medycynie pod nazwą kurara. Kurara powoduje porażenie zakończeń nerwów ruchowych, prowadzące do porażenia mięśni kończyn, potem tułowia, a w końcu mięśni oddechowych. Trucizna ta była chętnie stosowana przez Indian do polowania, bo porażona nią zwierzyna była jadalna, jeżeli tylko wycięto mięso wokół rany.

Podczas około stuletniej wojny z Taironami tysiące Hiszpanów zginęło w męczarniach spowodowanych zatrutymi strzałami, ale danna krwi indiańskiej była wielokrotnie większa, zginęły ich dziesiątki tysięcy.

Pełen obrzydzenia wobec brutalności, mimo że przyzwyczajony do okrucieństw, naoczny świadek Juan de Castellanos napisał, że kapitan Miguel Piñol wydał rozkaz, aby "odciąć nosy, uszy i wargi" schwytanym Indianom. Wyrżnięto w pień ponad 70 indiańskich wodzów, zabijano kobiety i dzieci, ścięto również ciężko rannego syna wodza, nie zapomniawszy jednak o jego uprzednim ochrzczeniu.

W końcu Hiszpanie zdobyli kilkaset tysięcy złotych pesos, poza tym kamienie szlachetne i perły. Zniszczono indiańskie osady w Sierra Nevada, nieliczni Taironowie którzy przeżyli, ukryli się w niedostępnych zatokach na wybrzeżu Morza Karaibskiego.

Kultura Taironów upadła, została zapomniana. Minęły stulecia. Dżungla pochłoneła żyzne niegdyś pola oraz kwitnące osady i miasta. Tylko z plotek można się było dowiedzieć, że w okolicach Santa Marta, w dżungli, gdzieś w górach, żył lud indiański, który uratował przed Hiszpanami złoto, wiele złota.

Imperium Taironów, którym zawładnęła teraz wilgotna tropikalna roślinność, stało się siedliskiem jaguarów, wyjców, orłów, sępów i jadowitych węży. Złoto jest jednak nieodpartą fascynacją, ludzie opętani gorączką złota nie boją się żadnych niebezpieczeństw.

Skok do współczesności

Jesienią 1940 roku poszukiwacz skarbów i archeolog-hobbysta Florentino Sepulveda trafił w cichej zatoce Morza Karaibskiego, tylko o 20 km od Santa Marta, na starca z plemienia Kogi. W rozmowie starzec ów, żyjący pod urokiem legend swoich przodków, zwierzył mu się, że w bezpośrednim sąsiedztwie są wielkie miasta i nie kończące się drogi, zbudowane niegdyś przez Taironów.

Sześćdziesięcioletni Sepúlveda nie wziął bajań wiekowego Indianina za dobrą monetę, ale uznał je za na tyle interesujące, aby opowiedzieć o nich swojemu dziewiętnastoletniemu synowi Julio Cesarowi.

Ale Julio Cesar, który o hiszpańskich zdobywcach wiedział, że byli napaleni na złoto, potraktował historię poważnie. Był przekonany o istnieniu El Dorado i czuł w tym wielką szansę: miał nadzieję na szóstkę w totolotku poszukiwaczy złota!

Od wybrzeży Julio Cesar szedł wzdłuż rzeczki Buritaca. Wiosną 1975 roku dosłownie potknął się o taras Zaginionego Miasta. Przekonany, że znalazł, czego szukał, zrobił łopata otwór w murze, przed którym stał. Po mozolnej, wielogodzinnej harówce stwierdził jednak, że mur jest częścią wielkich schodów. Otrzeźwiło to rozgorączkowanego poszukiwacza złota, który wsiadł na konia i po mozolnej siedmiodniowej jeździe powrócił do Santa Marta.

W jednym z hotelowych barów Julio Cesar zrobił to, czego nie powinien robić nigdy rabuś grobów - zaczął mówić. Chciwy wielkiego złotego skarbu, nie będąc jednak w stanie zrealizować samemu tego pomysłu, zdradził swoim kompanom parającym się tym samym ciemnym procederem miejsce, które odkrył w dżungli. Czy sprawiła to zazdrość czy gorączka złota - w każdym razie Julio Cesar został zastrzelony później w Zaginionym Mieście. Koledzy wykopali mu grób w pobliżu schodów, na które kiedyś natrafił.

Teraz wielkie szaleństwo ogarnęło rabusiów grobów - guagueros. Wdzierali się w kamienne ruiny. Wkrótce na czarnym rynku antyków coraz częściej zaczęły pojawiać się kultowe przedmioty Taironów. Kolumbijski Instytut Antropologii i Archeologii zwierzył trop. Gdy jeden z rabusiów wygadał, gdzie jest miejsce wydobywania skarbów, do Zaginionego Miasta skierowano wojsko.

Archeolodzy prowadzą wykopaliska w dżungli Sierra Nevada od 1976 roku a końca prac nie widać, jak powiedział mi profesor Soto. Oceniając miasto według wielkości odkrytych dotąd budowli, musiało

w nim kiedyś mieszkać 300 tys. Indian. Tyle mieszkańców mają Genewa i Berno razem wzięte.

O dzisiejszych Indianach Kogi i wczorajszych Taironach

Kim byli ci wspaniali Taironowie, którzy budowali tak gigantyczne struktury urbanistycznie, a jednak nie potrafili się obronić przed garstką hiszpańskich konkwistadorów?

Soto powiedział mi, że dzisiejsi Indianie Kogi, mieszkający na wybrzeżach i w dolinach Sierra Nevada, są najprawdopodobniej bezpośrednimi potomkami Taironów. Jego nauczyciel, profesor Gerardo Reichel-Dolmatoff, poświęcił całe lata na studiowanie historii i życia Indian Kogi - odkrył przy tym tak wiele zdumiewających zbieżności między nimi a Taironami, iż można przyjąć, że Indianie Kogi pochodzą od Taironów.

A zatem grupki Taironów przeżyły chyba masakrę dokonaną przez Hiszpanów, zachowały stare tradycje i zwyczaje religijne i przekazały je kolejnym pokoleniom. Żeby się dowiedzieć, kim byli Taironowie, muszę się zatrzymać przy żyjących współcześnie Indianach Kogi.

Pierwszym, który zajmował się nimi w sposób naukowy i wyczerpująco ich opisał, był profesor Preuss. Po tym jak wydobyl na światło dzienne relikty w San Agustin, zajął się legendami Indian Kagaba, bo tak nazywali się dawniej Kogi. Preuss odkrył, że Kagaba-Kogi przypisują stworzenie świata pramatce Gauteóvan, która ze swojej miesięcznej krwi stworzyła słońce i wszystko, co istnieje. Od Gauteóvan pochodzą również czterej arcykapłani, praojcowie dzisiejszego rodu kapłańskiego Kogi.

Legenda mówi też o tym, że prakapłani przekazali Indianom kulturę, dali im prawa i kształcili "we wszystkich rzeczach". Prakapłani mieli swoją ojczyznę w Kosmosie. Prawa dotarły do Indian Kagaba "z zewnątrz". Powiada się, że gdy prakapłani przybyli, mieli na twarzach maski a w końcu "zdjęli swoje twarze". Można przypuszczać, że wylądowali po locie międzygwiazdowym, wtedy "twarze" mogłyby być filtrami tlenowymi.

Synowie kapłanów dziedziczyli urząd ojców. Wychowywano ich w świątyniach w dziewięcioletnim nowicjacie, aby wiedza ojców przechodziła "nie splamiona" z jednego pokolenia na następne. Najwyżsi kapłani Kagaba-Kogi nazywali się mama. Mama był czymś więcej niż kapłanem. Mama był absolutnym władcą plemienia, jego rozkazy należało ślepo wykonywać. Bez żadnych ograniczeń mógł karać i nagradzać, był bowiem bezpośrednim następcą kosmicznego prakapłana. Jeszcze dziś mama jest przekonany, że ma duchowy kontakt i może się komunikować z Kosmosem.

Aby osiągnąć godność najwyższego kapłana, odbywający nowicjat przez dziewięć lat musieli przebywać zamknięci w całkowitej ciemności pod najsurowszą strażą, aby pod tą klauzurą osiągnąć hiperczułą duchowość pozwalającą na kontakty kosmiczne. Biedni chłopcy nie mogli przez dziewięć lat dotknąć kobiety, wykonywać najmniejszej pracy, używać soli. Tylko o północy podawano samotnym białą fasolę,

kartofle, ślimaki - nic, co zawierałoby krew.

Nie tylko pramatka Gauteóvan i czterej kapłani wyłonili się z Kosmosu. Do takich postaci należał również wuj Nivaleue, który zstąpił z nieba i stał się użyteczny dzięki rozpoczęciu uprawiania wielkich pól. Niebiańską postacią był też demon Namsau. Mity twierdzą, że "zjawiał się w podwójnej wielkości człowieka i zabijał ludzi zimnem, które odeń płynęło, tak że zostawały z nich tylko kości". O Namsau mówi się, że jego maska była czerwona, ubranie błękitne, on sam zaś miał nad bardzo długim nosem wyłupiaste oczy. Namsau był demonem "błyskającym", czynił grzmoty i spuszczał śnieg na ziemię.

Bogowie Indian Kagaba zstąpili z Kosmosu

Przed ponad 50 laty profesor Preuss zapisał mit o stworzeniu, przekazany przez Indian Kagaba. Z trzydziestu stron wybrałem najważniejsze wersy, świadczące o tym, że bogowie ci przybyli z Kosmosu i obdarzyli człowieka inteligencją.

Wers 1.: Matka całego naszego plemienia zrodziła nas na początku. Jest ona matką wszystkich rodzajów ludzi i matką wszystkich plemion [...]

Wers 2.: Ona sama jest matką ognia, matką Słońca i Drogi Mlecznej [...]

Wers 12.: Tak więc matka pozostawiła znaki we wszystkich świątyniach. Współ ze swymi synami Sintaną, Seicakuanem, Aluañuiko i Kultsavitabauą pozostawiła jako pamiątkę pieśni i tańce.

Wers 13.: Tako powiadali o tym kapłani, ojcowie i starsi bracia.

Potem jest mowa o walkach, które czterej prakapłani wiedli z demonami i zwierzętami. Ciskano "błyskawicami", latano "na wszystkie strony nieba", powierzano ziemi nasiona różnych roślin. Noszono boskie maski, jedna z nich została ukryta na pewnej górze:

Wers 30.: Dziś zakłada się ją, aby wpływać na choroby i wszelkie zło, żeby mówili z nią odbywający nowicjat, którzy uczyli się w świątyniach. Powiadali o tym ojcowie, kapłani oraz starsi bracia.

Czy dobrze przeczytałem? W pradawnych czasach kaptani rozmawiali z "maskami", aby za ich pośrednictwem "wpływać na choroby"? Opisy te stają się zrozumiałe dopiero z obecnego punktu widzenia: "maska" była hełmem z zamontowanym w środku aparatem nadawczo-odbiorczym, przez który kapłani zasięgali rady ekspertów.

W jak odległą przeszłość sięgają mity Indian Kagaba-Kogi, świadczą informacje o potopie:

Wers 38.: Tak przeszły stulecia, gdy ten świat wydał ludzi o skłonnościach przeciwnych naturze, takich, że parzyli się oni z wszelkimi rodzajami zwierząt. Matka pożyła syna, ojciec córki, brat siostry z tej samej krwi.

Wers 39.: Ujrzał to wódz Zantana i otworzył wrota nieba, aby deszcz padał przez cztery lata.

Wers 40.: A ponieważ kapłani ujrzeli, iż on to uczynił, kapłan Seizan-

kua zbudował czarodziejski statek i wsadził nań wszystkie gatunki zwierząt: zwierzęta czworonożne, ptaki i wszystkie gatunki roślin. Potem starszy brat Mulkueikai wstąpił na statek i zamknął drzwi.

Wers 41.: A wówczas zaczął padać deszcz czerwony i niebieski i trwał przez lat cztery, a z deszczem powiększały się morza na całym świecie.

Wers 42.: Starszy brat Mulkueikai leżał w czarodziejskim statku, który opuścił się na grzbiet Sierra Negra. Tam brat wyszedł w pobliże i pozostał na Sierra Negra przez dni dziewięć.

Wers 43.: Po owych dniach dziewięciu przeszło dziewięć stuleci, aż wyschły wszystkie morza, jak powiadali kapłani.

Wers 44.: I tak wszyscy źli ludzie zginęli, a kapłani, starsi bracia, wszyscy zstąpili z nieba, na co Mulkueikai otworzył drzwi i wysadził na ziemię wszystkie ptaki i zwierzęta czworonożne, wszystkie drzewa i rośliny. Uczyniły to osoby boskie, zwane ojciec Kalgusiza.

Wers 46.: A we wszystkich świątyniach pozostawili wspomnienie jako pomnik.

Przekaz Indian Kagaba opowiada o sodomii, również Mojżesz w Pierwszej Księdze mówi o zniszczeniu Sodomy i Gomory. Taki sam opis potopu znajduje się w sumerskim eposie o Gilgameszu.

"Wszyscy zstąpili z nieba", mówi mit Indian Kagaba. Na sumerskiej liście królów zapisano: "skoro potop odstąpił, królestwo znów zeszło z nieba"; brzmi tożak w eposie o Gilgameszu, opowiadającym o tym, jak po wielkim potopie "bogowie" zstąpili na ziemię.

Jakże bliskie są sobie te teksty!

Któż jeszcze będzie na tyle głupi, żeby wobec tak jednoznacznych zbieżności bredzić o przypadku? Jako przykład podaję tylko dwa mity identyczne z mitami Indian Kagaba, ale przykłady można znaleźć w każdym zakątku świata. Wszędzie realność przeżyta wchodzi do legend.

W tej nie kończącej się sztafecie kolejne pokolenia kapłanów przekazywały i chroniły dawną wiedzę otrzymaną od kosmicznych nauczycieli. Profesor Reichel-Dolmatoff udowodnił, że każda czynność Indian Kogi jest nadal przesiąknięta kosmicznymi prawami ich przodków - Indian Kagaba:

"Indianie Kogi są głęboko religijni. Ich pojmowanie wiary jest ściśle związane z pojmowaniem porządku i procesów zachodzących we Wszechświecie. Większość wsi ma naczelnika ucieleśniającego autoritet państwa, ale prawdziwa władza jest w rękach matki, miejscowego kapłana. Mężczyźni ci posiadają dokładną wiedzę o plemiennych zwyczajach. Są nie tylko szamanami czy znachorami, lecz jako kapłani przejmują również zadania, które wypełniają po wieloletniej nauce w świątecznych rytuałach!"

Architektura Indian Kogi a niebo gwiazdziste

W trakcie wieloletnich studiów profesor Reichel-Dolmatoff zorien-

tował się, że wszystkie budowle Indian Kogi można zrozumieć wyłącznie w kontekście procesów zachodzących w Kosmosie.

Jeżeli wznoszono taras, dom albo świątynię, to działo się to nie tylko wedle pradawnych założeń: Gdzie jest woda do picia? Gdzie jest światło? Gdzie jest cień? Nie - w obiekt "wbudowywano" również kosmiczne związki Indian Kogi z gwiazdami i kalendarzem.

Dla Indian Kogi Kosmos był przestrzenią o kształcie jaja, określoną przez siedem punktów: północ, południe, zachód, wschód, zenit, nadir (punkt po przeciwnej stronie zenitu na sklepieniu nieba) oraz środek. Wewnątrz tak zdefiniowanej przestrzeni znajduje się dziewięć płaszczyzn, siedem światów, z których płaszczyzna środkowa - piąta - wyobraża nasz świat. Według tego wzoru wszystkie świątynie i domy obrzędowe Indian Kogi są modelami Kosmosu.

W środku budowli obrzędowych znajdują się cztery okrągłe półki - jedna nad drugą. Na piątej, na Ziemi, żyją Indianie Kogi - cztery pozostałe prowadzą symbolicznie do Ziemi -jako wizerunek Kosmosu.

Służąc jako pomieszczenia do zgromadzeń religijnych, świątynie Indian Kogi są też obserwatoriami. Są urządzone w ten sposób, że w każdej chwili możliwe jest dokładne określenie daty. Reihel-Dolmatoff podaje następujący przykład:

Mężczyźni i kobiety mieszkają osobno. W każdej wsi tego plemienia wznosi się wielki, okrągły dom mężczyzn, z którego dachu wystrzela ku niebu niczym drzewce chorągwi masywna strzała. Naprzeciwko, po przekątnej, stoi - kobiety nie chcą być przecież za daleko od płci brzydszej - również okrągły dom kobiet. Ze szczytu dachu wystają dwie skrzyżowane belki. Między belkami a strzałą dochodzi do symbolicznego aktu!

Dokładnie 21 marca, w pierwszy dzień wiosny, strzała z domu mężczyzn rzuca długi cień na ziemię - cień ów leży precyzyjnie między cieniami skrzyżowanych belek domu kobiet: phallus wchodzi do vaginy, symbol wiosny, nasiona trzeba oddać ziemi.

W środku świątyni zwisająca od strzały na dachu gruba lina opada przez cztery płaszczyzny docierając do piątej - powierzchni Ziemi. Arcykapłan mamu jest przekonany, że dzięki tej linie ma bezpośredni kontakt z kosmicznymi nauczycielami.

Cóż zatem wiemy? Dziewięćlecie trwanie w ciemnościach wyzwala być może w człowieku zdolności telepatyczne, pozwalające na nawiązanie kontaktów z istotami spoza Ziemi. Droga radiowa jest, jak wiadomo, zbyt wolna dla komunikacji międzygwiazdnej. Najbliższa Ziemi gwiazda stała, Alfa Centauri, jest oddalona od niej o cztery lata świetlne, czyli o $4 \times 9,46 \times 10^{12}$ km. Odpowiedź na pytanie wysłane na Alfa Centauri otrzymalibyśmy dopiero po ośmiu latach. Telepatia wszakże jest równie szybka jak myśl, tej zaś nie kępują prawa czasu i przestrzeni. Czy wiedza, jaką dysponują Indianie Kogi, sprawia, że rozumiały dla nich staje się to, co dla nas jest nie do pojęcia?

Obiad i szczęśliwy traf

Kiedy zakończyłem wykłady w Teatro Libertador, wykorzystałem

czas na rozmowy z profesorem Soto i na wizyty w bibliotekach, pomyślałem sobie, że zobaczę jednak Zaginione Miasto, o którego budowniczych wiedziałem już tak wiele.

Ratunek nadszedł ze strony, do której przymierzaliśmy się od trzech miesięcy... a wszystko sprawił szczęśliwy przypadek.

Zaproszono mnie do Klubu Oficerskiego FAC. W centrum Bogoty [Fuerza Aerea Colombiana - kolumbijskie lotnictwo wojskowe.] lotnictwo wojskowe ma wspaniałą metę. Jest to wydłużony budynek, stojący w wypielegnowanym ogrodzie pełnym tropikalnych roślin. Jest tu też basen pływacki. Zaproszenie mówiło o obiedzie.

Od godziny trzynastej siedziałem, z dr. Forero u boku, rozwalony na sofie obitej granatowym pluszem. Wzrokiem obejmowałem szereg fotografii słynnych boliwijskich lotników. Lecz ani to, ani wermut zimny jak lód nie potrafiły wpłynąć na mój żołądek, który burczał gniewnie, domagając się pożywienia. Koło czternastej pojawił się pułkownik Baer-Ruiz w jasnoniebieskim, eleganckim mundurze. Pierwsze delikatne próby dowiedzenia się, jak mógłbym się dostać do dżungli w okolicach Santa Marta, utonęły w powitaniach innych lotników i emerytowanych wojskowych, którzy przybywali tu jeden po drugim.

Kiedy koło piętnastej kroczyliśmy ku świątecznie nakrytemu stołowi, mój żołądek wtrącał się - zachowywał się jak rozgniewany brzuchomówca - do każdej rozmowy, a gadaliśmy o Bogu, świecie i moich książkach. "Jeszcze was dopadnę", przyrzekłem sobie w duchu i po kilku kieliszkach wytrawnego chilijskiego białego wina zapytałem głośno oniemiałych zebranych:

- Panowie, jak mógłbym dotrzeć do Buritaca 200?

Oficerowie spojrzeli na mnie bezradnie.

- Dokąd? - zapytał młody kapitan.

Zrozumiałem bez trudu, że Buritaca 200 jest dla lotników pojęciem doskonale pustym. Słyszeli wprawdzie o Zaginionym Mieście, lecz gdzie ono się znajduje, choćby w przybliżeniu, nie wiedział literalnie nikt. Dzięki informacjom od profesora Soto, nieduży Szwajcar mógł więc teraz podać zdumionym Kolumbijczykom dokładne położenie geograficzne ich atrakcji narodowej.

Czy jest szansa dostania się tam śmigłowcem, dopytywałem się chytrze. Każdy z oficerów dorzucił tylko po kilka wyrazów do kaskady hiszpańskich słów, której nie byłem w stanie ogarnąć. W końcu pułkownik Baer-Ruiz poinformował mnie, że moją prośbę może rozpatrzyć tylko dowódca lotnictwa wojskowego generał Paredes Diago - który niestety dopiero wczoraj wrócił z dziesięciodniowej podróży do USA i jest tak zavalony terminami, że chyba nie byłby w stanie mnie obecnie przyjąć. Mañana.

- Szkoda - powiedziałem, tracąc ostatnią nadzieję. Jak dotrzeć do dżungli bez profesora Soto i dwóch miesięcy oczekiwania?

Przy obowiązkowej kawie i brandy moje czujne uszy zarejestrowały fakt, że generał Paredes Diago interesuje się moimi książkami... i jest namiętym kolekcjonerem fajek.

Kolekcjonerem fajek! W głowie błysnęła mi pewna myśl.

Od kiedy trafiłem na patentowy model, który nie wymaga uciążliwego czyszczenia stale brudnymi palcami, palę przy pracy czy przy

szachach fajkę przeznaczoną dla leniwych palaczy. Fajka ta nie ma zagiętej ku górze klasycznej główki! Tytoń mieści się w rozszerzonym przedłużeniu ustnika, w zamkniętym siateczką pojemniku, który z łatwością opróżnia się do popielniczki po lekkim naciśnięciu. Z kieszeni wyjąłem fabrycznie nowy egzemplarz.

- Czy generał Paredes Diago zna taki rodzaj fajki?

Pułkownik Baer-Ruiz zainteresował się. Rozłożyłem fajkę na części, złożyłem z powrotem i poprosiłem, aby zechciał przekazać ją panu generałowi z wyrazami szacunku ode mnie i powiedzieć, że jest jedynym człowiekiem w Kolumbii, który może mi pomóc w rozwiązaniu drobnego problemu.

Pułkownik Baer-Ruiz zadzwonił do mnie nazajutrz z rana: generał Paredes Diago oczekuje mnie o szesnastej w kwaterze głównej FAC. Dr Forero towarzyszył mi także i w trakcie tej wizyty.

Kwaterna główna znajduje się na peryferiach Bogoty. Jest to nowoczesny budynek ze szkła, betonu i stali. Nasze rzeczy zostały przeszukane, my sami obmacani. Kiedy oddaliśmy dokumenty, kapral przymocował nam do piersi tabliczki z numerami -jedyne odznaczenie wojskowe, jakie kiedykolwiek nosiłem.

W drodze do biura generała, obok gablot z modelami samolotów wszystkich roczników, śledziły nas, cywilów, taksujące spojrzenia oficerów czekających na wyznaczone spotkanie. Tylko kwadrans siedzieliśmy w sekretariacie, a potem drzwi do pokoju najświętszego stanęły przed nami otworem.

Generał Paredes Diago, który miał po pięć złotych gwiazdek na pagonach, wstał zza biurka trzymając w ręku moją fajkę. Zaprosił nas zaraz do niszy, gdzie ordynans podał kawę. Moje biedne serce!

Mimochodem dałem generałowi hiszpańskie wydanie mojej książki Prorok przeszłości (Prophet der Vergangenheit), opatrzone dedykacją. Wiedząc o braku czasu generała, szybko wyłuszczyłem moją prośbę - chodzi mi o przelot helikopterem do Buritaca 200.

Generał patrzył na mnie przez chwilę z namysłem, potem nacisnął guzik wzywając adiutanta.

- Jaką jednostkę mamy w Santa Marta?

- 5. Batalion Piechoty Cordova, panie generale! - odpowiedział młody oficer tak szybko, jakby strzelał z pistoletu.

- Proszę się natychmiast dowiedzieć, czy batalion ma helikopter i czy pojutrze maszyna mogłaby wykonać zadanie specjalne?

Gdzieś z sufitu zachrypiał głośnik. Generał odpowiedział przez mikrofon. Nie rozumiałem ani słowa. Generał skinął mi głową i zniknął. Dr Forero podniósł kciuk: wygrałem!

Po paru minutach generał wrócił i wręczył mi kopertę życząc szczęścia i sukcesów.

W taksówce przeczytałem tekst podyktowany przez generała:

FUERZA AEREA COLOMBIANA

Señor Teniente Coronel Hector Lopez Ramirez

Commandante Batallón de Infanteria No 5 Cordova Santa Marta

El señor ERICH VON DAENIKEN esta autorizado por este Comando para efectuar un vuelo en Helicótero Hughes que se encuentra en esa

Unidad, de la ciudad de Santa Marta a la ciudad perdida.
Cordial saludo.
General Raul Alberto PAREDES DIAGO
Comandante Fuerza A'erea

Hector Lopez Ramirez
Dowódca 5. Batalionu Piechoty Cordova Santa Marta
Pan Erich von Daniken jest upoważniony niniejszym rozkazem do odbycia lotu helikopterem Hughes, będącym na wyposażeniu waszej jednostki, z Santa Marta do Zaginionego Miasta.

Prawie u celu: gdzie leży Zaginione Miasto?

Południowym rejsem linii lotniczych Colombiana przyleciałem nazajutrz do Santa Marta i zamieszkałem tuż nad morzem w hotelu "Irotama", który dobre czasy miał już za sobą. Próbowałem jakoś rozruszać telefon, ale nie udało mi się dodzwonić pod numer pułkownika Ramireza. O piątej po południu człowiek nie ma czego szukać. Tak jest w wojsku na całym świecie. Mañanu.

W piątek, 21 sierpnia o 5:30 kazałem się zawieźć do 5. Batalionu Piechoty. Zanim wyjawiałem swoją sprawę, przy wejściu obszukało mnie jak trzeba - dwóch żołnierzy z pistoletami maszynowymi. Na szczęście generalski rozkaz, którym zamachałem, podziałał jak zaklęcie "sezamie otwórz się", ale do wiadomości przyjął go marszcząc czoło dopiero jakiś cywil w sekretariacie szefa. Niespodzianek nie lubiano tu także o poranku. Cywil zniknął bez słowa w biurze obok.

Na skutek dużej wilgotności powietrza już rano wszystko, co miałem na sobie, było mokre. Usiadłem na drewnianej ławce, zwilgotniałą chustką do nosa otarłem pot kapiący mi z czoła i czekałem. Cywil wrócił, usiadł przy biurku. Milczał. Oczekiwanie zdawało się nie mieć końca. Czy tak blisko celu zdarzy się jeszcze jakaś przeszkoda?

Będę tu siedział - w milczeniu, ale uparcie. Nie ustąpię, zanim rozkaz generała nie stanie się rzeczywistością. Basta.

- Basta ! - powiedział również młody człowiek w zielonym mundurze, który pojawił się nagle i po niezobowiązującym skinieniu głową oparł o ścianę skrzyżowawszy ręce na piersi. Na klapce prawej kieszonki ujrzałem wyhaftowany srebrem napis: FUERZA AEREA COLOMBIANA. Lotnik w piechocie?

To był na pewno pilot mojego helikoptera! Zagadnąłem go.

Nazywa się Hernando, powiedział, i ma polecieć helikopterem do Zaginionego Miasta z niejakim panem Erichem von Danikenem, tymczasem nie ma zielonego pojęcia, gdzie to w ogóle jest; a na dobitkę pogoda jest niezbyt sprzyjająca dla tak małej maszyny. Poza tym śmigłowiec zabiera paliwa tylko na dwie i pół godziny lotu, nie ma więc czasu na szukanie drogi - trzeba zawracać, jeśli po godzinie i kwadransie nie znajdzie się tego cholernego miasta.

Hernando nie grzeszył optymizmem. Rzeczowo opowiedział, jakie trudności mają piloci z właścicielami okolicznych plantacji marihuany, którzy całkiem słusznie obawiając się, że lotnicy wojskowi odkryją ich

uprawy, nie wahają się strzelać do samolotów. Nie raz zestrzelono samolot ogniem z dżungli, nigdy nie słyszano potem o załodze. Santa Marta jest ośrodkiem handlu marihuaną, miastem, w którym życie ludzkie przestawało mieć wartość, gdy tylko chodziło o narkotyki. W niezwykle krótkim czasie ludzie zarabiali tu fortuny, które napędzały inflację. Moralność zesłała na psy, strzelaniny były na porządku dziennym. "Złoto z Santa Marta" osiągało najwyższe ceny na rynkach międzynarodowych jako marihuana o największej zawartości narkotyku.

Ponieważ mężczyźni przybrali nagle służbową postawę, zorientowałem się, że oficerem, który otworzył drzwi i zajrzał do środka, był pułkownik Ramirez. Zerwałem się jak łasica, wymieniłem swoje nazwisko, przez chwilę znosiłem badawczy wzrok a w końcu zostałem miło poproszony, abym usiadł. Podano oczywiście kawę. Był to jeden z tych gatunków tego napoju, który gdy się go "zażyje" rano, to człowiek dochodzi do siebie dopiero wieczorem. Hernando przedstawił swoje problemy. Ale Ramirez zaraz mu przerwał:

- Czy ktoś w batalionie wie, gdzie dokładnie leży Zaginione Miasto?

Ramirez wydał przez interkom rozkaz, rozłożył na stole wojskowe mapy i wskazał na soczycie zielone kwadraty:

- To na pewno gdzieś tu!

Na moją uwagę, że miasto jest nad rzeczką Buritaca, Hernando chrząknął, że gdybym znał dżunglę, to bym wiedział że nie da się tam wylądować, mogę sobie co najwyżej wyskoczyć albo spuścić się na linie z helikoptera. Nie miałem na to wcale ochoty, stwierdziłem więc chłodno i rzeczowo:

- Może pan lądować w sercu dżungli na tarasach, zbudowanych przed ponad tysiącem lat!

Od profesora Soto wiedziałem, że właśnie tą drogą dostaje się on na teren wykopalisk.

- Tak pan sądzi? - Pułkownik spojrzał na mnie sceptycznie.

- Wiem o tym...

Zameldował się kapral, niewątpliwie Indianin z pochodzenia.

- Byliście w Zaginionym Mieście? - zapytał Ramirez.

- Si! Serior Commandante! - rozpromienił się Indianin i uderzył dumnie w pierś.

- To polecicie!

Aż do tej chwili nie wiedziałem, że czerwonoskórzy mogą robić się bladzi. Kapral przeżegnał się, jego promieniejąca przed chwilą twarz zwiędła nagle i zszarzała na popiół.

Lot do dżungli

Hernando, kapral-Indianin, inżynier pokładowy i ja - wszyscy wsiedliśmy do czteromiejscowego śmigłowca, który z ogłuszającym hałasem przeleciał nad Santa Marta i skierował się wzdłuż zalesionego wybrzeża do ujścia doliny Buritaca.

Miejscowych ludzi nazywa się tu błędnie Indianami. Pomyłka pochodzi jeszcze od Kolumba, któremu do końca życia wydawało się, że

odkrył Indie. Siedzący koło mnie Indianin wołał, ryczał coś do mnie, ja nic nie rozumiałem, kiwnąłem mu więc głową - dopiero potem zobaczyłem, że Hernando pokazuje coś przed nami. Niskie chmury przywarły do koron olbrzymich drzew. Gdzieś tam jest facet uprawiający marihuanę, ale gorsza od niebezpieczeństwa, że zaczniesz do nas strzelać, była możliwość zabłądzenia - nie istniały żadne punkty orientacyjne. Z góry zielone piekło wyglądało jak gigantyczny czarno-zielony kalafior. Gęsty. Nie do przebycia.

Helikopter wszedł w ostry zakręt i wtedy ujrzałem pierwszy taras, a potem drugi i trzeci. Dostrzegł je też Hernando i rzucił mi krótkie spojrzenie pełne uznania. Zręcznie posadził Hughesa na najwyższym tarasie. Nie wyłączył jednak silnika. Wirnik rozpętał huragan w stojącym powietrzu. Hernando chciał od razu lecieć z powrotem - nie wierzył pogodzie.

- A więc umawiamy się tu za pięć godzin! - krzyknąłem do niego wzniosłszy rękę z rozcapierzonymi pięcioma palcami.

- Okay! Za pięć godzin! - odwrzasnął wskazując kciukiem na taras, na którym staliśmy.

Helikopter wznosił się pionowo, hałas silnika zdawał się kleić do drzew i lian. Kiedy wszystko umilkło, przez kilka sekund nad dżunglą wisiała zupełna cisza, dopiero po chwili zwierzęta otrząsnęły się z szoku po hałaśliwej wizycie. Małpy zaczęły się przekrzykiwać, ptaki gaworzyć a niewidoczne zwierzęta wrzeszczeć. I cały czas ciągnąłem za sobą brzęczenie moskitów, które okazały się do mnie bardzo przywiązane. Po saunie dżungli biegałbym najchętniej w stroju Adama, tyle że moskity przypomniały mi w najmniej przyjemny sposób o tym, że nie znajduję się w raj. Gdzieś przeczytałem, że istnieje około 1,5 miliona gatunków owadów. Większość przebywa zapewne w Buritaca.

Miła niespodzianka

Zagubiony stałem w Zaginionym Mieście, być może jako pierwszy Europejczyk - na pewno jednak żaden Europejczyk nie robił tu jeszcze zdjęć i nie opisywał tego miejsca.

Jestem człowiekiem przedsiębiorczym, ale nie bohaterem. Niechętnie i z odrazą pakuję się w niejasne sytuacje. A teraz zadawałem sobie pytania: Co będzie, jeżeli za pięć godzin pogoda nie pozwoli na lądowanie helikoptera? Co będzie, jeżeli jedyny helikopter zepsuje się po drodze? Co będzie, jeśli Hernando otrzyma ważny rozkaz i nie przyleci? Możliwość nocowania tutaj wcale nie stanowiła różowej perspektywy. Co robić? Zarzuciłem aparaty fotograficzne na ramię i zszedłem o taras niżej.

Naprzeciw, na stromym zboczu - między gęstwiną dżungli, cedrami, drzewami orzechowymi, eukaliptusami, drzewami awokado, drzewami kauczukowymi, palmami, paprociami, stał porośnięty lianami drewniany barak! To na pewno obozowisko archeologów. Ale na moje wołania nie było odpowiedzi. Bóg jeden wie, gdzie harują dziś ludzie, żeby powstrzymać dżunglę przed powtórny wtargnięciem w ruiny. Na pewno widzieli i słyszeli helikopter.

Jakby spod ziemi wyrosli przede mną nagle dwaj żołnierze w zielonych mundurach polowych w czerwona-wobrazowe plamy, jeden z karabinem, drugi z pistoletem.

- Buenos dias, señores! - zawołałem, ale ich śniade twarze nie wyrażały nic. W chlebaku miałem jeszcze otrzymane w samolocie Lufthansy dwa cygara w metalowych opakowaniach, dałem je żołnierzom. Powiedzieli: Gracias! - i poszli dalej. Nie byli rozmowni. W każdym razie wiedziałem, że gdzieś w tej zielonej cieplarni są ludzie.

Powoli schodziłem szerokimi na dobre półtora metra schodami, prowadzącymi w nieskończoność. Co chwila się odwracałem i ze zdumieniem stwierdzałem, że wciąż widać elipsoidalny taras, na którym wylądowaliśmy. Im znajdowałem się niżej, tym wyraźniejsze było, że najwyższa platforma znajdowała się na niższej, która z kolei spoczywała na trzeciej, ta zaś na czwartej i tak dalej. Sztuczne kamienne plateau wznosiły się aż do szczytu niczym niezwykle tort urodzinowy.

Czyżbym miał halucynacje? Na porośniętej, wyłożonej mchem drodze ujrzałem dwie urocze dziewczyny. Jedna - w długich szerokich spodniach i luźnej zielonej bluzie, z kręconymi włosami w nieładzie - podeszła do mnie z uśmiechem i podając rękę powiedziała:

- Nazywam się Sylwia. Witam w Buritaca 200!

Druga amazonka - w niebieskich džinsach, uwydatniających jej apetyczne kształty, z szerokim paskiem na biodrach i w słomianym kapeluszu z szerokim rondem - wydawała mi się nieco starsza od pierwszej, ale cóż to znaczy dla tak młodych kobiet. Sylwia była archeologiem, a Margarita, bo tak nazywała się młoda dama, architektem - i już od pół roku pracowała w zespole archeologów.

Moje anioły dżungli bez skrupowania poprosiły o papierosa -jedyną rzecz, jakiej im brakowało do szczęścia. Zaproponowałem więc wszystko, co miałem do palenia. Mnie natomiast do szczęścia brakowało właśnie dwóch takich dziewczyn, do tego mówiących doskonale po angielsku. Udzielając rzeczowych wyjaśnień poprowadziły mnie wyłożoną kamieniami drogą przez najprawdziwszą dżunglę, las tropikalny. Wilgotność powietrza waha się tu między 60 a 95%. Kiedy się pstryknie palcami, prawie zaczyna padać.

Buritaca 200 leży po obu brzegach rzeczki, która nadała miastu imię, przytulone do wąwozów wznoszącej się na 3055 m Cerro Corea. Budowlami są wielopiętrowe tarasy - wzniesione wzdłuż szerokiej drogi. Główne wejście do miasta znajduje się na wysokości 900 m. Od końca jednego z wąwozów strome schody o nachyleniu 50° i długości 1100 m prowadzą w górę do wielkich, płaskich tarasów. Wydaje się, że centrum miasta było na górze: 26 większych i mniejszych tarasów, zagnieżdżających się w sobie i wyrastających jeden z drugiego a mających powierzchnię od 50 do 880 m², wznosi się na wielką wysokość. Odslonięto je w 1976 roku - katorżnicza praca.

Czym było naprawdę Buritaca 200?

Skomplikowane warunki topograficzne narzuciła natura. Dlatego dawni architekci dla splantowania powierzchni pod wznoszone budowle musieli metr po metrze wyrównywać góry. Kasowano urwiska wypełniając je kamieniami, ziemią i podpierając murami oporowymi. Mury miały od 60 cm do 10 m wysokości! Archeolodzy odkryli system kanalizacyjny, zintegrowany z murami i tarasami, który mimo stałej wilgoci i przypominających potop opadów deszczu utrzymywał ów potężny kompleks w stanie względnie suchym.

Margarita oświadczyła, że archeolodzy podzielili z grubsza zabytkowy zespół na cztery sektory. W sektorze pierwszym znaleziono resztki takich przedmiotów codziennego użytku jak żarna do mielenia kukurydzy, w drugim ceramikę - miski, wazy i naczynia stołowe, w trzecim - przedmioty ceremonialne jak wspinałe niewielkie fujarki, w czwartym przedmioty kultowe - pierścienie kapłańskie, figurki bóstw i przedmioty wkładane zmarłym do grobów.

Mimo tych znalezisk archeolodzy, a przede wszystkim ich szef Soto Holguin, stoją przed zagadką. Nikt nie wie, czym było naprawdę Buritaca 200. Olbrzymią świątynią, zorientowaną według stron nieba, według kalendarza? Miastem kapłanów, w którym jak w kolosalnym klasztorze mieszkali tylko wybrańcy? Miastem-sypialnią, gdzie nocowało 300 tys. Indian, aby dzień w dzień iść gdzie indziej do pracy? Czy był to kompleks militarny, twierdza?

Ekologiczny cud

Wszyscy są zgodni tylko co do jednego - że wśród budowniczych tych miast byli architekci z szerokimi perspektywami oraz inżynierowie o wielkich umiejętnościach. Koncepcja zdradza potęgę perspektyw, bo przecież siedliska w Sierra Nevada nie mogły być dziełem jednej generacji. Gigantyczne rozmiary pozwalają na wyciągnięcie wniosku, że plan całości istniał zanim ruszono pierwszy kamień. W przedsięwzięciu tym brali udział, co najmniej jako doradcy, również astronomowie, wykazano bowiem, że niektóre tarasy są zorientowane według gwiazd. Fachową współpracę inżynierów widać po doskonałym systemie ekologicznym: do dyspozycji było wprawdzie niewiele roli, uprawiano jednak kukurydzę, fasolę, maniok i kartofle dla 300 tys. Indian - nie degradując przy tym środowiska.

Aby móc ocenić całe znaczenie tego osiągnięcia, trzeba wiedzieć, co działo się w rejonie Santa Marta do 1975 r., zanim Sierra Nevada znalazła się pod ochroną państwa. Ludność portowego miasta i słynnego kąpieliska Santa Marta rosła w przerażającym tempie, wylewała się poza jego granice, docierając do zboczy Sierra Nevada. Wypalano dżunglę, na urodzajnej ziemi przez kilka lat uprawiano kartofle i banany, przy gorszych zbiorach posuwano się dalej w dżunglę, pozostawiając po sobie blizny cywilizacji. Tu, na tym terenie, od kwietnia do listopada prawie każdego dnia pada deszcz, ziemia pozbawiona ochronnego parasola i korzeni drzew tropikalnych ulega bardzo szybkiej erozji. Gleba wysycha i w ciągu kilku lat staje się nieurodzajna. Jeszcze dziś obszar wokół Santa Marta stanowi smutne

świadełtwo gospodarki rabunkowej, prowadzonej do 1975 roku przez dzikich osadników. Ruina.

Zdarzyło się to w stosunkowo krótkim czasie. A przecież Taironowie żyli w swoich miastach prawie tysiąc lat i wytwarzali wielkie ilości produktów rolnych, nie niszcząc przy tym dżungli. W jaki sposób rozwiązywali problemy ekologiczne i rolnicze? Profesor Soto tak odpowiedział mi na to pytanie:

"Aby stworzyć to, co stworzono w Buritaca 200, musiała istnieć organizacja społeczna, różniąca się od innych. Taironowie musieli znać i stosować szczególną wiedzę. Ludzie ci byli wszystkim tylko nie prymitywami, a świat współczesny mógłby się od nich uczyć. Niszczymy lasy tropikalne rabunkową gospodarką i wciąż powodujemy nowe kryzysy środowiska. O tym, że można postępować zupełnie inaczej, dowiedli budowniczowie tych siedlisk".

Ósmy cud świata

Z początku myślałem, że najwyższy taras powstał za sprawą przypadku - przez spiętrzenie kamiennych płyt. Powiedziałem o tym również Sylvii i Margaricie, ale one zwraciły mi uwagę na fakt, że znajdowałem się przecież w celowo dziwacznie wymodelowanej okolicy - w okolicy pełnej kamiennych kręgów, łukowatych murów, elips, wieżyczek, schodów i dróg. W nie dającej się opisać gmatwaniu form, jakie nie przyszyby do głowy nawet takiemu artyście jak Pablo Picasso w najbardziej odważnym okresie przetwarzania rzeczywistości przedmiotowej w struktury geometryczne.

Sylvia podniosła zasłony z lian otwierając widok na dalsze nie spodzianki, rozciągające się w dół zbocza ku rzeczce Buritaca i położone na stromych zboczach jej drugiego brzegu. Dokądkolwiek prowadziła droga w niezrozumiałą przeszłość, wciąż szliśmy po gruncie wyrównanym ręką ludzką. "Wiszące ogrody" Semiramidy w Babilonie są uważane za siódmy cud świata. Apeluję, aby Buritaca 200 została uznana za ósmy.

Dziewczęta widziały, jak z jednego zdumienia przechodzę w drugie. Mój aparat pstrykał. Jeśli udowodnię fotografami, co widziałem, nikt nie będzie mógł umniejszyć mojego opisu tego widoku, jedyne w swoim rodzaju. Gdy tylko odsuwałem zasłaniający pole widzenia olbrzymi liść drzewa kauczukowego, widziałem kolejne potężne, zbudowane z precyzją mury i drogi. Między poukładanymi kamieniami przeciskały się z niszczycielską siłą tropikalnej fauny grube drzewa słońówki wielkoowocowej, wawrzynu szlachetnego, cedrów i paproci we wszystkich odcieniach zieleni. Była to zupełna płatanina: labirynt jak z encyklopedii - z mylącymi drózkami i nieogarnionymi skrzyżowaniami. Patrzyłem w górę, w dół, w prawo, w lewo - a wokół mnie wciąż pojawiały się coraz to nowe platformy. Kiedy wydawało mi się, że stoję na ziemi, była to ziemia wyrównana w sposób sztuczny.

W myślach wyobraziłem sobie ową odległą przeszłość, kiedy to na

najwyższym tarasie kapłani oddawali cześć bogom, kiedy tarasy były otoczone przez tysiące Indian, kiedy ze wszystkich platform wznosiły się ku niebu dymy ofiar całopalnych jednocząc się z modlitwami, kiedy mama pozostawali w wewnętrznym kontakcie z Kosmosem. Jeśli się puści wodze fantazji, pozwalając ujrzeć oczami wyobraźni, jak wyglądało to wszystko niegdyś, jeśli znikną drzewa rosnące teraz na zboczach, wówczas stanie nam przed oczyma obraz tej okolicy o utopijnym wyglądzie. Przyszły mi do głowy słowa profesora Soto: "Całość miała pewien plan, wielki plan, nie wiemy tylko, czego to był plan!"

Głaz ponad dwumetrowej wysokości stał owinięty w plastyk.

- Co to jest? - spytałem.

Sylvia i Margarita odwiązały sznury i ściągnęły ochronne nakrycie z olbrzyma. Przede mną stał monolit z wieloma wyrytymi liniami, przecinającymi się pod kątem prostym.

- Co to jest? - powtórzyłem.

Sylvia odpowiedziała:

- Indianie mówią, że to plan tego kompleksu.

- A więc coś jakby plan miasta?

Dziewczyny skinęły głowami, zaznaczyły jednak od razu, że profesor Soto żywi co do tego pewne wątpliwości. Kazał owinać kamień, aby ochronić go przed wietrzeniem - z nadzieją, że kiedyś odsłoni on swoją tajemnicę przed naukowcami.

Wodotryski

Nieopisane odgłosy dżungli zagłuszył nagle szum wody, której jednak nigdzie nie było widać. Sylvię i Margaritę rozbawiło moje zdumienie, a potem razem odsunęły żaluzję lian: z urwiska spadał wodospad, woda wpadała w zgrabnie zbudowaną kamienną rynnę, a następnie płynęła porządnym kanałem obok kolistej platformy.

Kiedy pomyśleć, że rejon tak obfitujący w tropikalne deszcze był osuszany, rośnie bezgraniczny respekt wobec projektantów. Znam słynne tarasy ryżowe w górach Filipin, a także strome tarasy do uprawy roli w Machu Picchu w Peru. Ani jednego, ani drugiego nie można porównywać z Buritaca 200.

Tu nie stosowano - jak w Tiahuanaco i Puma Punku w Boliwii albo w Sacsayhuaman w Peru - monolitów o ogromnym obwodzie, a jednak poruszono miliony metrów sześciennych kamieni, bo okazało się, że wszystkie zbocza są wzmocnione sztucznie. Po pierwszych znaleziskach rozpoczęło narastać ogromne zdumienie, które towarzyszy zawsze początkom wielkich odkryć. Buritaca 200 wciąż będzie nam dostarczać nowych niespodzianek.

Nagle wyjce i ptaki zamilkły. Od zboczy zaczął odbijać się warkot helikoptera. Minęło pięć godzin.

Sylvia, Margarita i ja pośpieszyliśmy wąską drogą, a następnie schodami na taras służący za lądowisko. Bez dziewcząt zabłądziłbym jak amen w pacierzu.

Hernando rozmawiał z żołnierzami, którzy powitali mnie tak intensywnym milczeniem. Wyjąłem z toreb wszystko, co nie było mi

koniecznie potrzebne i oddałem dziewczętom, które tak mi pomogły - lekką wiatrówkę NASA, spray na owady, plaster, dynamolatarkę, dwa śrubokręty i taśmę mierniczą. W dżungli wszystko może się przydać.

Helikopter wzniósł się, zrobił pętlę tuż nad koronami drzew i poleciał w kierunku morza. Nasze lądowisko oddalało się coraz bardziej, a w końcu pochłonęła je dżungla.

Starsi i młodszy bracia

Profesor Soto powiedział mi, że Indianie Kogi uważali się - jak ich przodkowie, Taironowie - za "starszych braci" na naszej planecie. Pozostali ludzie są dla nich "młodszymi braćmi", bo to prakapłani Taironów przynieśli życie z Kosmosu do ich kraju.

Taironowie mieli niegdyś wielką kulturę. Dlaczego Indianie Kogi ubierają się dziś tak nędznie? Dlaczego nie wykonują już przedmiotów ze złota, dlaczego nie przędą nici i nie tkają kunsztownych tkanin? Dlaczego nie malują już mitologicznych scen na ceramice?

Mama, ich najwyżsi wszechwiedzący kapłani, powiedzieli Indianom Kogi, że już nie warto. Bogowie dali "młodszym braciom" szansę stworzenia tak niebezpiecznych rzeczy jak armaty, helikoptery, samoloty, samochody, łodzie podwodne i rakiety, ale "młodszy bracia" nie wiedzieli, jak się z nimi obchodzić. A więc wkrótce te zabawki wznecą pożogę na świecie, dlatego już nie warto, chociaż mama - a więc i wszyscy Kogi - są przekonani, że to właśnie oni zachowają rodzaj ludzki po końcu świata.

Gdy zaburzy się spokój świętych gór

Jestem przeciwnikiem proroka, zwiastującego koniec świata. Jestem optymistą, bo nadal stawiam na inteligencję ludzi, która zdoła rozpoznać i odsunąć niebezpieczeństwo, w jakie się wmanewrowaliśmy. Nie mogę jednak nie zauważyć, że proroctwa Indian Kogi zgadzają się z przekazami innych plemion indiańskich - od Chile po Kanadę.

W styczniu 1980 roku odbyło się w Montrealu spotkanie, na które przybyli zewsząd indiańscy kapłani. Przedstawiciel Indian Yanomano z Wenezueli powiedział na kongresie:

"W pobliżu kraju, w którym żyje mój lud, jest kilka gór, są to dla nas góry święte. Jedną nazywamy 'Niedźwiedź', drugą 'Małpa', trzecią 'Ptak'. Na długo nim przyszli tu biali, nasi czarownicy wędrowali często ku tym górcom. Nikomu innemu nie było wolno wchodzić w te okolice. W górach tkwiły wielkie moce, starzy zaś mędrcy naszego ludu powiadali o jakimś niebezpiecznym materiale, który tam leży. Nasza tradycja mówi, że gdy zaburzy się spokój tych gór, zdarzy się okropne nieszczęście. Wielki deszcz zaleje wtedy wszystko i zabije nasz lud".

Tak, a potem Indianin Yanomano wyjawiał rzecz najstraszliwszą: przed kilku laty japońscy naukowcy prowadzili badania w tych

górach... i znaleźli tam złoża uranu!

Jak takie informacje - potwierdzone naukowo dopiero przed dwoma laty - dostały się do prastarych indiańskich legend? Kto przed tysiącem lat i wcześniej wiedział, że w górach są niebezpieczne substancje? Kto mógł przewidywać, że wykorzystywanie złóż świętych gór wywoła straszliwe nieszczęście?

Ponieważ dawni Indianie na pewno nie byli w stanie skonstruować instrumentów pomiarowych, którymi dałoby się zlokalizować uran, należy zadać pytanie: Skąd czerpali informacje? Czy ich wrażliwość pozwalała umiejscowić niebezpieczne promieniowanie? A może w pobliżu świętych gór widzieli żywe istoty umierające w męczarniach? Możliwe jest przecież, że przyroda nie zabezpiecza swoich zasobów uranu tak troskliwie jak nowoczesne elektrownie jądrowe. Przyroda nie troszczy się o żywych i umarłych.

Lecz i w takim przypadku, gdy Indianie przeczuwali - nieważne, w jaki sposób - istnienie niebezpiecznej substancji w górach, niezrozumiałe jest, skąd mogli wiedzieć o ukrytym niebezpieczeństwie grożącym przy eksploatacji złóż. Jesteśmy dumni z tego, że nasza tak rozwinięta technicznie nauka może zmierzyć to, co niewidzialne. Kto jednak zdeponował wiedzę prekognitywną? Kto uczulił Indian Yanomano na niebezpieczeństwo ukryte w górach?

Odpowiedzi udzielają Indianie: byli to ich niebiańscy nauczyciele!

Oczywiście, że można pójść na łatwiznę i uznać "niebiańskich nauczycieli" za wytwory fantazji, lecz wówczas dostaniemy się w ślepy zaułek. Zrzucimy bowiem w ten sposób relacjom wszystkich indiańskich plemion - i vice versa również naszym biblijnym prorokom - że nałgali i nakłamali we wszystkim, co opowiadali o rozmowach z istotami niebiańskimi.

Taki prorok jak Henoch nie oświadczał przecież, że rozmawiał ze ścianami i widziadłami albo że poruszał się po krainie fantazji. Henoch wyjaśnia bez ogródek, że rozmawiał z nauczycielami, którzy zstąpili z nieba, i że to właśnie owe istoty niebiańskie instruowały go, co ma robić. Czy kłamie więc Henoch, Mojżesz, Gilgamesz, czy kłamia Indianie Yanomano, Hopi, Kogi, czy kłamia Dogoni z Afryki Zachodniej, czy kłamia staroindyjscy mędrcy? Czy niemy do czynienia z ogólnościowym porozumieniem opowiadaczy, których roznosi fantazja?

Drugie "rozwiązanie" problemu niezrozumiałych mitologicznych posłań i kamiennych świadków prehistorii za pomocą interpretacji psychologicznej r. odbija się o niepodważalne fakty, które nie poddają się próbom postawienia przed nimi zasłony dymnej. Istnieje Buritaca 200. Kosmologiczny model pachodzi z nie dającej się zweryfikować zamierchłej przeszłości - istniał na długo przedtem, zanim przed stuleciami biali zaczęli okupować te tereny i "odkryli" Indian. Ci przecież istnieliby, istnieliby nadal, gdyby ich nie wypłaszano i nie maltretowano!

Jest to droga zapewne niewygodna i trudna dla naszych naukowców, lecz inna nie doprowadzi nas do celu: pranauczycielami ludzkości były istoty spoza Ziemi.

Jeżeli zaakceptujemy ten - dla mnie oczywisty - fakt, wówczas cała

historia ludzkości rozjaśni się jaskrawym światłem. Pokażmy w końcu besserwisserom, gdzie raki zimują! Trzeba wreszcie przebadać to, o czym mówią Indianie Kogi: że ich prakapłani pozostawili w świątyniach "wspomnienia", które zrozumie ludzkość na wyższym etapie rozwoju. Być może kamienne phallusy, strzelające w niebo są symbolami życia, które przybyło "z góry". Być może "płytki genetyczna" jest zapisem powstania pierwszych form życia. Być może wśród rytów na Piedras de Tunja są wzory zawierające informacje o pobycie istot pozaziemskich na naszej planecie. Być może archeologiczny park w San Agustin jest gigantycznym pomnikiem, który pozostawiono - jako wspomnienie z przyszłości.

Imponującą ilość takich pamiątek oferuje nasza Błękitna Planeta. Co musi się jeszcze stać, aby zostały one przyjęte do wiadomości przez naukę? Po globalnej katastrofie będzie za późno. Nie możemy sobie już pozwolić na przeoczenie ostrzeżeń, na ignorowanie dróg wyjścia.

"Jesteśmy odpowiedzialni nie tylko za nasze czyny, lecz również za nasze zaniechania!" (Molier 1622-1673).